

SZKICE WSCHODOZNAWCZE
INSTYTUTU WSCHODNIEGO W WARSZAWIE

T. 1.

T A D E U S Z V E T U L A N I

WZDŁUŻ ANATOLII

W A R S Z A W A 1937

WYDAWNICTWO INSTYTUTU WSCHODNIEGO W WARSZAWIE
SKŁAD GŁÓWNY: INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA“

~~3461~~

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. ~~3461~~

WZDŁUŻ ANATOLII



Vet
Wzd
91

Pracą Prof. Dr T. Vetulaniego rozpoczynamy wydawnictwo mające na celu zarówno otwarcie pola dla polskich badań krajoznawczych Bliskiego i Dalekiego Wschodu, jak też zaznajomienie polskiego czytelnictwa z obecnym stanem państw i narodów Wschodu.



INSTYTUT WSCHODNI
W WARSZAWIE

SM 18900



MUSTAFA KEMAL ATATÜRK
Prezydent Republiki Tureckiej (zdjęcie tureckie)

SZKICE WSCHODOZNAWCZE
INSTYTUTU WSCHODNIEGO W WARSZAWIE

T. 1.

T A D E U S Z V E T U L A N I

WZDŁUŻ ANATOLII

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
№ 3964~~



W A R S Z A W A 1937

WYDAWNICTWO INSTYTUTU WSCHODNIEGO W WARSZAWIE
SKŁAD GŁÓWNY: INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”



SN 18900

910.41913(560)

C Z Ę Ś Ć P I E R W S Z A

WRAŻENIA Z PIERWSZEJ PODRÓŻY NAUKOWEJ
DO TURCJI (ROK 1929)

Z 19 RYCINAMI

1. Wstęp.

Ponieważ Anatolia, jako jeden z odwiecznych pomostów wzajemnego przenikania się starych kultur Azji Przedniej i Europy, przedstawia tereny szczególnie ważne dla badań nad pochodzeniem zwierząt domowych, tych bodajże najstarszych kulturalnych dorobków ludzkości, przeto uzyskawszy za pośrednictwem Polskiej Akademii Umiejętności i Wydziału Wschodniego Ministerstwa Spraw Zagranicznych stypendium od Departamentu Szkół Wyższych Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, wybrałem się z początkiem września 1929 roku w pierwszą naukową podróż do Turcji.

Miałem za zadanie uzupełnić w Turcji materiały do mych badań nad pochodzeniem konia, oraz zbadać typy rodzimych ras anatolijskich zwierząt domowych. Obecność brata mego w Turcji na stanowisku radcy handlowego naszego poselstwa była bardzo sprzyjającą okolicznością dla mych studiów w Anatolii, ułatwiała mi bowiem nawiązanie kontaktu z miarodajnymi sferami tureckimi, a przede wszystkim ustrzegła mnie od płacenia „frycowego“, z czym każda pierwsza podróż do nieznanego kraju bywa zwykle związana. W Turcji spędziłem ogółem 79 dni, w porządku następującym: w Stambule¹⁾ 5 dni, w Ankarze i najbliższej okolicy 27 dni, w Eskiszehir, Czifteler i okolicy 8 dni, w Brussie i okolicy 6 dni, w Karadżabej w tamtejszej stadninie rządowej i w okolicy 11 dni, w Balikesir i Balii 2 dni, w Smyrnie 5 dni, w Konii 1 dzień; nadto w przejazdach pociągami 14 dni.

¹⁾ Nazwy miejscowości oraz nazwiska i wyrazy tureckie podaję tu na ogół, poza utartymi polskimi nazwami tureckich miejscowości, pisownią naszą, w brzmieniu tureckim.

Ponieważ ta 1-sza część książki jest jedynie nieco zmienionym przedrukiem mego artykułu pt. „Obrazki z współczesnej Turcji“, drukowanego w Przeglądzie Powszechnym w Krakowie 1930 r, przeto dla uwydatnienia zmian i przeobrażeń zachodzących w Turcji na tle postępującej stale modernizacji, zatrzymuję w tej części pracy imiona tureckie, oraz wyrazy pasza, bej, efendi i i., wówczas jeszcze obowiązujące.

Powyższy program mej podróży w Turcji wyznaczył mi turecki profesor hodowli zwierząt Ihsan Abidin-bej, ówczesny podsekretarz stanu dla rolnictwa w Ministerstwie Gospodarstwa Krajowego, który wyjeżdżając niestety na dłuższy pobyt do Polski i Niemiec w sam dzień mego przybycia do Ankary, zaopatrzył mnie jednak w bardzo cenne pisma polecające do podwładnych mu urzędów i osób na przestrzeni objętej programem mych studiów, oraz oddał mnie pod opiekę bardzo inteligentnego i sympatycznego Nurettin-beja, dyrektora Wydziału Hodowlanego w Departamencie Weterynarii i Hodowli Zwierząt. Temu to Nurettin-bejowi zawdzięczam dalsze cenne ułatwienia i listy polecające do fachowców władających językiem niemieckim w poszczególnych etapach mojej podróży, a niewątpliwie było to w pewnej części i jego zasługą, że Szakir-bej, Minister Gospodarstwa Krajowego, któremu z okazji otwarcia wystawy hodowlanej w Ankarze zostałem przez brata mego przedstawiony, polecił Nurettin-bejowi przydzielić mi z urzędu tłumacza, a to na odcinku z Karadżabey do Smyrny, gdzie nie było widoków znalezienia władających językiem niemieckim tłumaczy spośród podwładnych Ministerstwu miejscowych urzędników. Wspomnianym tłumaczem, który w sposób jak najbardziej przyjazny i wielce uprzejmy dzielił ze mną częściowo trudy i niewygody podróży, był młody bakteriolog i lekarz weterynaryjny ze stadniny rządowej w Karadżabey, dr Lütfi-bej. Bardzo dużym ułatwieniem mającym chronić mnie jako obcokrajowca przed administracyjno-policyjnymi formalnościami, o których tyle uprzednio słyszałem, była dla mnie tzw. „wesika generalna“ czyli „generalna przepustka“, wydana mi dzięki interwencji poselstwa na specjalne zarządzenie tureckiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Zresztą stosunki wewnętrzno-polityczne i administracyjne w Turcji niezawodnie bardzo się unormowały, skoro obcokrajowiec nie podlega już dziś częstej indagacji ze strony władz policyjnych i żandarmeryjnych, o czym tak wiele pisano przedtem i mówiono. Raz tylko jeden za cały czas moich rozjazdów w Turcji, a mianowicie gdy po przybyciu na stację kolejową w małej miejscowości Karaköj, obładowany bagażami przesiadałem do autobusu, miejscowy żandarm w uprzejmej formie poprosił o pokazanie przepustki. Że jednak władze tureckie, prowadzące najdokładniejszą ewidencję osób przeprawiających się ze Stambułu do Hajdarpasza, a więc na stronę anatolijską Turcji, śledzą w dalszym ciągu bacznie kroki i zachowanie się obcokrajowców, może świadczyć fakt jakiego doświadczyłem w Eskiszehir. Gdy mianowicie rano drugiego dnia po moim przyjeździe do tego miasta, już po za-

meldowaniu się, czekałem przed zamkniętym jeszcze urzędem weterynaryjnym i nie wiedziałem, w jakim kierunku obrócić się, by dostać się tymczasem do miejscowej rzeźni, stanął przede mną po cywilnemu ubrany mężczyzna, a zapytawszy najuprzejmiej, na kogo czekam i czego szukam, oraz wskazując drogę, wyczytał równocześnie ku memu zdumieniu z kartek swego notesu moje nazwisko i szczegóły dotyczące się mej osoby i podróży.

Nie miejsce pisać tu o przebiegu, wzgl. o wynikach badań i spostrzeżeń fachowych. Sprawy te były już bowiem przedmiotem specjalnych publikacyj. Tutaj natomiast pragnę pokrótce podzielić się wrażeniami natury ogólnej, jakie przywozłem z pięknej Turcji, z kraju w którym sentyment dla naszego narodu i państwa tętni tak żywo, że gdyby nie kilka niedość zręcznych pierwszych kroków naszych w Turcji powojennej, byłibyśmy tam dzisiaj nie tylko narodem cieszącym się po Węgrach największą sympatią, ale też niewątpliwie znacznie więcej wpływowym przyjacielem! Jest rzeczą bardzo uwagi godną, że n. p. Niemcy, tak różni usposobieniem od społeczeństwa tureckiego, i jako tacy w Turcji mniej lubiani, są tam jednak cenieni za solidną i dobrą pracę i chętnie przyjmowani na stanowiska rzetelnych fachowców i doradców. Ale mimo iż na niektórych posterunkach fachowej współpracy daliśmy się z własnej winy zastąpić w Turcji przez przedstawicieli innych narodów i uszczuplić tym samym przynajmniej na najbliższą przyszłość nasze wpływy, możemy jednak uważać za okoliczność wysoce szczęśliwą, że społeczeństwo tureckie umie być na tyle obiektywne i krytyczne, że zawodów doznanych ze strony pojedynczych osób nie uogólnia.

Było poza tym dla mnie istotnie prawdziwą niespodzianką, gdy stwierdziłem, że we wszystkich warstwach społecznych z jakimi się w Turcji zetknąłem, a więc zarówno wśród osób czołowe zajmujących stanowisko, jak i wśród ogółu inteligencji, a także wśród mieszczan i włościan, nazwa „Lehistan“ lub „Polonia“ bynajmniej nie jest obcą i nieznaną, ale że wręcz przeciwnie, nazwę naszej ojczyzny wymawiano stale ze szczerą sympatią. Jedni podkreślali historyczną solidarność okazaną nam przez Turcję w tragicznych chwilach naszych dziejów, drudzy bitność i waleczność naszego narodu, inni wspólnotę pochodzenia lub pewne analogie ciężkich momentów jakie ojczyzny nasze przeżywały. Byli też tacy, którzy wspominali Małopolskę z czasów ostatniej wojny światowej, względnie uprzejmość polskich władz granicznych, przy późniejszych przejazdach przez Polskę, dalej na zachód Europy. Po prostu uderzyło mnie, że w naszych rozmowach pomijali Turcy dziejowe fakty

turecko-polskich wojen, względnie, że jak gdyby dla potwierdzenia naszego przysłowia o „czubieniu się przyjaciół“, z okresów tamtych zostało dziś w Turcji jedynie wspomnienie tego, co dzielnemu narodowi tureckiemu najwięcej imponować może, a więc bitność polskiego oręża!

Zdaję sobie w zupełności sprawę, że niespełna trzymiesięczny pobyt w Turcji i to dla badań całkiem specjalnych, nie uprawnia nawet do pobieżnej choćby oceny całokształtu wewnętrznych stosunków tego państwa. W sposób rzeczowy, ścisły i bezstronny stosunki te przedstawili w swych publikacjach o Turcji m. i. już inni autorzy nasi²⁾. Pragnę przeto tutaj jedynie szkicowo przytoczyć z Turcji i jej współczesnego życia niektóre obrazki, jakie najsilniej zarysowały się w mojej pamięci. Pozwoli to może sprostować niektóre mylne wyobrażenia o Turcji, gdyż po przejściu jej z atmosfery „powojennej“ w „pokojową“, jej stosunki wewnętrzne konsolidują się i rozwijają niekiedy w tak szybkim tempie, że aby mieć wierny i żywy obraz tego kraju, trzeba obraz ten stale korygować i uzupełniać. I trzeba to czynić tym więcej, że niestety, jak na to w sferach tureckich często się żalono, nie wszyscy europejscy autorzy piszący o Turcji, umieli względem niej zachować bezstronność.

Już to jakąś wrogą propagandą dyktowane tendencje lub niedostateczny krytycyzm, już to nadmierna fantazja podróżnika mogły się złożyć na to, że nawet i u nas spotyka się jeszcze najniesłuszniejsze i po prostu krzywdzące Turków uogólnienia o brudzie i bakszyszach, o dzikości i lenistwie, wreszcie o braku inicjatywy społeczeństwa tureckiego, jak gdyby w odrodzonej Turcji nic się nie zmieniło i jak gdyby przywary te miały istotnie w sposób całkiem wyłączny charakteryzować naród turecki i wyróżniać go tym samym od innych narodów! Musiałby być naprawdę pozbawiony wszelkiej dozy obiektywizmu, kto by np. dziś jeszcze głosił i zwłaszcza uogólniał ujemną ocenę stosunków tureckich na podstawie mocno przestarzałych, sprzed kilku lat choćby pochodzących niekorzystnych spostrzeżeń, poczynionych w dodatku w okresie chaosu, jaki w każdym państwie musi być przejściowym następstwem wojny, połączonej zwłaszcza ze zrzuceniem kilkuletniej zbrojnej okupacji; padłby zaś ofiarą takich bezkrytycznych i nieaktualnych informacji, kto by na współczesną Turcję patrzył przez szkiełka zaproszone choćby atmosferą sultańskich apatycznych czasów!

²⁾ Np. Tadeusz Kowalski: *Turcja powojenna*. Lwów, 1925. — Zygmunt Vetulani: *Turcja* (Sprawozdanie ekonom. urzędów zagran. Rzeczyposp. Polsk.) Warszawa 1928.

Toteż, czyniąc zadość prośbie, z jaką kilkakrotnie spotykałem się w Turcji: bym spostrzeżenia moje oddał jak najobiektywniej, czynię to niniejszym z przyjemnością. Olśniony bowiem pięknem i potęgą tureckiej przyrody, już to skąpanej w zieleni i nadmiernie hojnej, już to pozornie mniej szczodrej, gdyż trudniej dostępnej, a nadto ujęty całkowicie prostotą, sercem i szczerością społeczeństwa tureckiego, we wszystkich jego odłamach, nie mogłem powrócić do kraju w innym nastroju, aniżeli jak gorący entuzjasta przepięknej Turcji i szczerzy przyjaciel jej nader sympatycznego narodu!

2. Krajobrazy.

Pod względem krajobrazowym Turcja, rozpatrywana oczywiście nie w szczegółach lecz w szerszym ujęciu, jest wielce urozmaicona. Obrazy przyrody zmieniają się jak w barwnym artystycznym kalejdoskopie, wiążą oko i raz po raz cisną na usta wyrazy zachwyту.

Już sam wjazd do portu w Galacie od Morza Czarnego przez przepiękny Bosfor, to przy czystym i słonecznym lazurze nieba, jak gdyby w baśni czarownicy wyśniony jakiś pochód triumfalny, wśród mieniących się tysiącem barw coraz wspanialszych i bogatszych osiedli, pałaców, meczetów, słowem istnych arcydzieł sztuki, rozsianych wzdłuż górzystych brzegów, zarówno europejskiej jak i azjatyckiej Turcji. — A potem, w drodze do Ankarę, serca współczesnej Turcji, co na mapach tureckich bywa specjalnie zaznaczane wizerunkiem Kemala-Zwycięzcy, dalszy ciąg panoramy: widok na przepiękny Stambuł, Książęce Wyspy na morzu Marmara, zatoka Izmit tegoż morza, rozciągnięta na długiej przestrzeni, upstrzona żaglowcami i błyskotliwa ustawicznie mieniącym się kolorytem wody. Potem aż do jeziora Sabandża, pasma gór wysokich, a dalej wzdłuż południowego wybrzeża jeziora, jak gdyby raj biblijny, las drzew lśniący od bogactwa owoców.

W dalszym ciągu krajobraz się zmienia, roztaczają się szerokie przestrzenie dzikich pastwisk, po czym za chwilę w dolinie Sakarii, cudem zwycięstwa podobnie jak Wisła nasza okrytej, wylaniają się uprawne łąny kukurydzy i tytoniu, ujęte na horyzoncie w pasma gór zalesionych. — Wąziutkim przesmykiem, wśród gór porośniętych krzakami lub drzewem liściastym, wśród gór tu i ówdzie od nadmiaru soli żelazowych czerwoniuteńkich, albo niekiedy imitujących spiętrzonymi na szczycie głazami, jak gdyby ruiny wyniosłych zamczysk, wjeżdża się następnie w żyzną dolinę Porsuku, gdzie otwiera się widok na pastwiska ożywione pasącym się bydłem,

i na pola uprawne. Z całą starannością w okolicach Eskiszehir prowadzone warzywniki, zasilane w razie potrzeby umiejętnie rozprowadzaną wodą ze wspomnianej rzeki, widniejące na wzgórzach winnice, racjonalnie użytkowane kamieniołomy, a na pastwiskach piękne artezyjskie studnie dopełniają obrazu. W dalszej drodze z Eskiszehir do Ankar, na znacznej przestrzeni w dolinie rzeki Porsuku długo jeszcze dają się widzieć względnie łagodne, barwne kolorytem gleby wzgórze, niekiedy nawet gęsto porośnięte krzakami, kępy i smugi drzew, oraz bujna zieleń kośnych łąk i pól uprawnych.

Ale w miarę posuwania się ku środkowej Anatolii, nawet w obrębie doliny Porsuku, krajobraz zatracą swe żywe barwy. Na horyzoncie mniej lub więcej odległe rysują się góry, z których łagodnych zboczy sterczą ku górze nagie pionowe i płaskie trzony bazaltowe, na pierwszym zaś planie wypalone stepy i brzegi rzeki już tylko odosobnionymi niskimi krzakami, bądź też jedynie trawą obrosnięte. Podobnie nagie lub słabo tylko trawą zadarnione wzgórze-wulkany, i od żaru słońca oraz nadmiernie słonego środowiska gleby żółkniałe pastwiska, przecięte tu i ówdzie jakimś zupełnie wyschniętym strumykiem, towarzyszą niemal do samej stolicy i z trudem tylko dolina rzeki Engürü jest w stanie cośkolwiek ożywić krajobraz, już to jakimś odosobnionym drzewem liściastym, już to ciemną zielenią sitowia i swoistych, mięsistych ostów, już to wreszcie stadami zwierząt pasących się pod ochroną potężnych psów anatolijskich.

Dopiero przed samą Ankarą, wzorowa wieś Ahimezut, a zwłaszcza zaraz dalej wzorowa ferma rolnicza „Gazi-ciftlik“, założona przez Kemala-paszę braciom tureckim na przykład i zachętę, odcinają się wyraźnie od otoczenia zamarłego stepu i cieszą oko, jako prawdziwe zielone oazy, symbolizujące zarazem owocność każdej przemyślanej, celowej i konsekwentnie prowadzonej, choćby na pozór bardzo trudnej pracy.

Lecz oto Ankar! — Już nie tak jak dawniej, skoncentrowana jedynie w murach starej seldżuckiej cytadeli, względnie ścieśniona u stóp przyległych wyniosłości terenu; ale coraz silniejszym tętnem pulsujące serce Turcji, stolica państwa, utrzymywana w możliwie starannej czystości, zdobna skwerami i pomnikami swego bohatera! On zaś sam, Gazi Kemal-pasza, usadowiwszy się na wzgórzach zamiejskiej dzielnicy Czankaja, obejmując okiem całość swego dzieła, skoncentrowanego w życiu i pracy stolicy, zakreślił też niejako kierunek rozbudowy miasta, które istotnie „jak na drożdżach“ narasta w tę stronę, poprzez całkiem nowoczesne dzielnice Jeniszehir

Ruiny zamku
z czasów
bizantyńskich
(koniec VII w. po
Chr.) w Ankarze
(zdjęcie
tureckie)



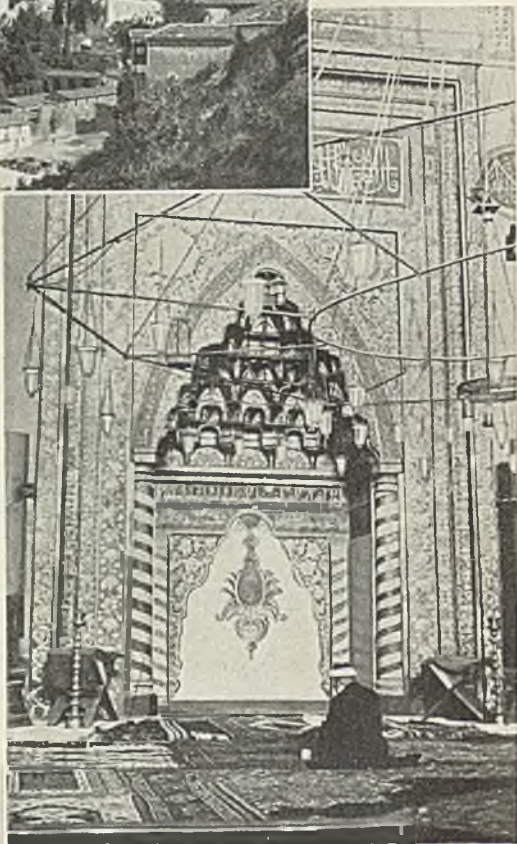
Meczet
Aja Sofia
w Stam-
bule
(zdjęcie
tureckie)

Pomnik Wolności
Narodu i Isz
Bankasy (bank
pracy) w Ankarze
(zdjęcie tureckie)





Widok ogólny
„zielonej Brusy“
(„jeszil Bursa“)
(zdjęcie tureckie)



Fragment wnętrza meczetu
„Ulu Dżami“ (XV w. po Chr.) w Brusie
(zdjęcie tureckie)



Widok ogólny
górniczego miasta
Balıca w północno-
zachodniej Anatolii
(zdjęcie autora)

(„Nowe Miasto“) i Kawakly („dzielnica topolowa“), w której to ostatniej, na fasadzie nowego stylowego gmachu poselstwa polskiego rozpięty do lotu nasz Biały Orzeł, przejeżdżającemu obok Kemalowi-paszy zwiastuje, że wreszcie wrócił poseł z Lehistanu!

Wypalone stepy, nagie, niekiedy skaliste góry, pustkowie, ożywione jedynie tu i ówdzie kępą drzew, jakimś lanem kukurydzy czy ściernią zbożową, względnie winnicą o poślednim gronie, oto charakter najbliższego otoczenia stolicy. Poza rzeką Engürü, inne mniejsze strumyki wyschnięte; tak samo na dużej przestrzeni wyschnięte o tej porze roku słone jeziora „Emir“ i „Mohan“, położone na południe od Ankarę, gdzie chmury najróżnorodniejszego wodnego i błotnego ptactwa wabią myśliwców. Całe życie w terenie stepowym, poza pasącymi się tłusto ogonowymi owcami, kozami angorskimi i małym bydelkiem, ogranicza się do dróg i szlaków, którymi raz po raz przesuwają się w karawanach to sznury wielbłądów, to objuczone osiołki, to wreszcie bawoły i bydelko, ciągnące dwukolne, skrzypiące i prymitywne wozy zbożowe, i gdzie pobożny wędrowny mahometanin, rozciągnąwszy modlitewnik na skraju drogi, bije ku Mecce pokłony swemu Allahowi. Piękny fiołkowy koloryt tufów wulkanicznych, jaki przy równocześnie barwnym kolorycie obłoków na niebie, obserwuje się w okolicy Ankarę o zachodzie słońca, sprawia przepiękne wrażenie!

Całkiem inne „cuda przyrody“ można oglądać w Turcji na przestrzeni z Karaköj do Brussy, przy czym droga ta jest w dodatku uwieniczona malowniczym i pięknym widokiem „zielonej Brussy“ („jeszil Bursa“). Mimo iż przestrzeń tę oglądałem w warunkach bardzo niewygodnych, gdyż z okien pocztowego autobusu i stłoczony „jak śledek w beczce“, jechałem do Brussy z zapartym oddechem.

Zrazu roztacza się rozległy widok na faliste pola w dobrej kulturze; potem gdzieś od Pazardzik droga wiedzie ustawicznie w górę, serpentynami tak zawrotnymi i po tak stromych szkar-pach, że człowiek jazdy takiej niezwykły, raz po raz kurczowo chwytą się ławki, jak gdyby to miało coś pomóc. Jedyna nadzieja w Opatrzności Bożej i szoferze, który jak wszyscy zresztą tureccy szoferzy, dzięki przytomności umysłu i zimnej krwi, oraz trzeźwości, nie tylko cieszy się zaufaniem miejscowego społeczeństwa, ale nadto dzięki tym zaletom ma być szczególnie ceniony w stolicach Europy. Świadomość tego, potwierdzona już własnym choćby przeżyciem z okolic Eskiszehir, gdzie po prostu cudem jakimś i dzięki wyjątkowej wprost przytomności umysłu szofera, autobus którym jechałem nie uległ rozbiciu, odwraca myśl od niebezpie-

czeństwa i pozwala rozglądać się wśród gór przepięknych, pokrytych niewidzialnym dotąd, zwartym drzewostanem, o przewadze dębu, urozmaiconego wiązem i białą topolą. Czas jakiś jedzie się niemal na wysokości szczytów, które w tej więcej niż inne wilgotnej części Anatolii nurzają się w mgłę powiewnej, po czym zjeżdża się w dół i od wsi Kursunly mknie się wśród bujnej zieleni drzew, za którą w środkowej Anatolii zateęskniło oko. Ta zieleń morwy oraz coraz obfitszych plantacyj tytoniu, jeszcze w połowie października świeża i soczysta, sprawia naprawdę jakieś radosne wrażenie!

Ale to wszystko mało wobec widoku samej Brussy, pierwszej stolicy Turcji z czasów bizantyńskich, rozłożonej przecudnie u stóp oraz na zboczach zadrzewionych gór, z potężnym Olimpem na czele. Wspaniale budowle miasta, jak odwieczne meczety „Jeszil Dżami“, „Emir Sultan Dżami“, „Ulu Dżami“, „Muradije“ i inne, a dalej na najwyższym punkcie miasta wzniesiona dawna rezydencja sułtańska, nadto szkoła kadecka, liczne szkoły jedwabnicze i wiele, wiele innych, swoją alabastrową bielą wprost bajkowo odcinają się od zielonego tła otoczenia. Wartkie kaskady rzeki „Gök-dere“, spływające ze stoków przez miasto, możność tanich autobusowych wycieczek nawet na sam szczyt Olimpu³⁾, lecznicze i nadzwyczaj wygodnie urządzone żelaziste oraz siarczane termy, mieszczące się w zdrowotnej, wyżej położonej kąpielowej dzielnicy miasta w tzw. „Czekirge“, gdzie każdy dom ma własny dopływ gorących wód mineralnych i gdzie dwuosobowy schludny pokój z „banio“ czyli kąpielą (2—3 razy dziennie), kosztował zaledwie dwa funty tureckie, czyli 9—10 złotych dziennie, obecność alkalicznych wód mineralnych do picia, bogactwo owoców i jarzyn, wreszcie poważne cementarne cyprysy lub wesole dla oka topole przydrożne, wszystko to nadaje „zielonej Brussie“ charakter jednego z najpiękniejszych i najbardziej ponętnych zakątków ziemi.

Z Brussy na zachód, do Karadzabej, droga prowadzi przez piękną falistą dolinę, obfitującą w pola uprawne, oraz rojne od bydła i owiec pastwiska. Po godzinnej jeździe autobusem, osiąga się malownicze jezioro Abuliond, którego brzegiem jedzie się przez dalszą godzinę. Ptactwa tu nie widać. Brzeg jeziora miejscami poszarpany licznymi zatokami, a w pobliżu niego wyspy i wysepki, rozsiane dość często. Na jednym z półwyspów rozsiadło się miasto nazwy tej samej co jezioro.

³⁾ Ponieważ autobusy na Olimp kursują jedynie w okresie sezonu kąpielowego, a za jazdę zwyczajnym autem zażądano aż 20 funtów tureckich, tj. ca 100 złotych, przeto na szczycie Olimpu niestety nie byłem.

W przedłużeniu północnego wybrzeża jeziora, okolice miasteczka Karadzabey i rozległe tereny stadniny rządowej, na ogół równiutkie a miejscami tylko nieznacznie faliste, monotonią krajobrazu dają wytchnienie oku od nadmiaru wrażeń. Tutaj jeszcze w ostatnich dniach października, ciepłe powietrze drgało od licznych ważek, unoszących się nad dziko rosnącymi drzewami fig lub kępami drzew oliwkowych, w tych też stronach zwiedzałem w stepowym terenie tabun dziko puszczonej małych koni anatolijskich dających się chwycić jedynie na arkan. Są to niewątpliwie także ważne i ciekawe osobliwości tureckiej przyrody.

Na południowy zachód od Karadzabey, w okolicach Balikesir i pięknie wśród gór i na górze położonego miasta Balia, bogatego w kopalnie rudy srebra i ołowiu, krajobraz znowu urozmaicony; góry krzewiem liściastym poszyte, rozległe polany, piękne serpenty! Dziko chowane i bardzo ruchliwe bydło robocze na specjalne chwytane arkany, przedstawia szczególną osobliwość okolic Balii. W tych stronach, które przemierzałem autem, miałem znowu możliwość podziwiać zimną krew i opanowanie szoferów tureckich. — A gdy wzdłuż pociągu pnącego się w górę na drodze do Balikesir, malcy anatolijscy, podążając czas jakiś równoległe wołali „gazeta“ — „gazeta“ — „gazetaaa...“ jakże wymownie wyczuwałem wtedy ducha współczesnej odrodzonej Turcji, której najmłodsza latorośl garnie się skwapliwie do czytania gazet, drukowanych „nowym“ alfabetem.

Z Balikesir w stronę Smyrny, linia kolejowa wiedzie poprzez kilka tuneli, górzystą okolicą, gdzie brunatniejące już liście krzaków i młodszych dębów oraz przydrożne, ogolone z liści topole przypomniały mi, że u nas w tym czasie tj. w pierwszych dniach listopada, niekiedy już pierwszy śnieg przyprósza pola. Ale wkrótce wjeżdża się w dolinę, w której u stóp gór malowniczo położone miasto Soma tonie w zieleni i całością obrazu przypomina Brusse. Potem Kyrkaacz, miejscowość równie pięknie położona, słynąca z plantacji melonów, sprzedawanych tam za bezcen. Odtąd dolina znacznie się rozszerza i wybijają się na plan pierwszy wzorowe winnice, oliwkowe i figowe gaje, oraz plantacje bawełny. Szurom przydrożnych topoli odpowiadały ciągnące się sznurem wielbłądzie karawany.

Jeszcze za jakiś czas Manisa, położona u stóp gór skalistych, wynurza się z toni pól winogronowych i gajów oliwnych, po czym inny cud Turcji, Smyrna, nie nadarmo nosząca tam przydomek „pięknej“ („güzel Izmir“). Majestatycznie, częścią na płaszczyźnie, częścią na przyległych wzgórzach po obu brzegach zatoki rozło-

żona, oddychająca szeroką piersią morza Egejskiego, a zresztą obramowana górami, jest ona istotnie piękna! Obfitujący w nieegzotyczne już tam palmy i rośliny park, z przepyszną panoramą zatoki, rojnej od okrętów, żaglowców i łodzi, cementarne cyprysy i resztki starych wodociągów na drodze do Budży, sprawiają niezatarte wrażenie. Stosy zaś rodzynek młynkowanych i sortowanych w magazynach nadbrzeżnych, tak jak u nas zboże, stosy fig, obfitość winogron, pomarańcz, mandarynek, granatów, a także pęki sprowadzanych z Tunisu daktyli jeszcze w stanie cynobrowej czerwieni, necą i wabią. Tu w Smyrnie, po raz drugi i przedostatni za cały czas mego pobytu w Turcji, drobniutki deszczyk nocny skropił przelotnie ziemię. Ale „piękna Smyrna” jest na ogół wilgotna. W lecie jest tam podobno jak w łaźni, a i w pierwszej dekadzie listopada, jak to sam przeżywałem, komary i muszki dają się jeszcze we znaki, tak iż na noc trzeba było chronić się pod moskitierę. To też komu nadmiar wilgoci nie służy, niech popatrzy, zachwyci się i wraca do Brussy lub w głąb Anatolii.

Na północ od Smyrny, na przeciwległym brzegu zatoki, za kolejową stacją Czizli zwiedzałem wieś Kaklycz, oraz stepowe tereny majątku Güle, gdzie po raz drugi było mi dane oglądać tabun dziko chowanych koni. Nie zatrze się chyba w pamięci przestrzeń od Kaklycz do Kumtepe, którą wraz z Lüfti-bejem i przydzielonym przez urząd weterynaryjny w Smyrnie urzędnikiem, odbywaliśmy małym Fordem, spośród różnych systemów aut nadającym się najlepiej w niejednokrotnie tak trudnych topograficznych i komunikacyjnych warunkach Turcji.

Przez step z rzadkimi śladami uprawy kukurydzy względnie słonecznika, a miejscami przez tereny tak nagusieńkie i o tak swoistej konsystencji gleby, że jechało się jak po plastelinie, pędziliśmy z zawrotną szybkością, po bezdrożach, po prostu na oślep, zmieniając często kierunek za ręką przewodnika i lakonicznymi jego wskazówkami: „burda“ (tutaj), „orda“ (tam). Po raz czwarty po powrocie z tej podróży dziękowałem Bogu za całość kości i obiecywałem szoferowi wzmiankę o nim w mych publikacjach.

Wreszcie ostatni etap mej podróży, droga ze Smyrny do Konii. Krajobraz bardzo interesujący i inny niż dotąd. Od Alaszehir aż po Uszak pociąg pnie się ustawicznie w górę, w czym na przestrzeni po Ginekój poprzez 21 tuneli. Drzewostan gór, złożony przeważnie z dębu i dzikiej gruszy, na ogół skąpy. Domów i pól uprawnych prawie ani śladu, a tylko szczątki zabudowań świadczą, że przeszła tędy zawierucha wojny. Począwszy od stacji kolejowej Uszak, po raz pierwszy pociąg opalano; było to już



Rzeka Porsuk
w wilajecie
Eskiszehir, ze
śluzami do
sztucznego
nawadniania
okolicznych pól
(zdjęcie autora)



Studnia artezyjska
na stepie
w okolicach
Eskiszehiru
(zdjęcie autora)



Grupa kóz angorskich ze środkowej Anatolii (zdjęcie tureckie)



Fragment
ogólnego
widoku
„pięknej
Smyrny“
(„güzel
Izmir“
(zdjęcie
autora)



Palmy parku
smyrneńskiego
(zdjęcie autora)



Zatoka
smyrneńska
Morza
Egejskiego
i nadbrzeże
portu
(zdjęcie autora)

przecież 10 listopada; zresztą jeszcze czekały nas w dalszej drodze nie tylko góry, ale coraz więcej kontynentalny klimat środkowej, wysoko położonej Anatolii (pamiętny zwycięską ofensywą Turków przeciw Grekom i słynący z plantacji maku oraz ze źródeł wody mineralnej do picia Afion Karahisar na wysokości 1004 m, Konia 1028 m). Droga od stacji kolejowej Yğyn aż do Konii obserwowana od świtu, zahaczała o słony step, którego widoku oczekiwałem z napięciem. Doznałem jednak pewnego zawodu, gdyż zamiast pustki stepowej, zrazu na dużej przestrzeni widniały uprawne pola o lössowej czerwonej glebie.

Ale stopniowo, po północnej względnie wschodniej stronie linii kolejowej, wzrastał się teren stepowy, z lekka falisty, na ogół jednak płaski i odcinał się coraz szerzej od nagich gór widniejących na niedalekim horyzoncie, po drugiej stronie toru. Wreszcie w odległości jakiejś pół godziny jazdy przed Konią, wyłonił się step najtypowszy, posyty rzadko, gdyż wypaloną już trawą lub też porostami, step z typowymi kurhanami, z osiedlami z cegły niepalonej o płaskich dachach, nad którymi unoszące się dymy imitowały do złudzenia, jak gdyby fantastyczne stawy czy jeziora. Była to fata morgana.

3. Społeczeństwo.

To piękne i dziewicze środowisko, którego częściowy krajobraz naszkicowałem, nie mogło oczywiście pozostać bez znacznego wpływu na sam charakter społeczeństwa! I tak jest w istocie. Malownicza i bardzo ciekawa przyroda turecka — piękny charakter i obyczaje narodu. W kraju, w którym starsi oraz młodszy mężczyźni przemawiają do siebie: „synu“, wzgl. „ojcze“, młodzieńcy oraz malcy „braciszku“ lub „bracie“, gdzie wyraz „pan“ wśród nich nie ma miejsca a wszyscy tworzą jak gdyby rodzinę, solidarność, braterstwo i wzajemna dobroć dają się obserwować na każdym kroku. Czy to gdy w stadninie rządowej w Karadzabey miałem możliwość przez kilkanaście dni z rzędu obserwować tok życia i pracy większego zbiorowiska ludzi, czy to gdy dzięki uprzejmości tureckich kolegów, dane mi było poznać wieś i sposób życia chłopca tureckiego, czy to wreszcie spotykając się ciągle z nowymi ludźmi i nowymi obrazkami życia, obserwowałem wszędzie te siły moralne, które wyzwolone z okresów sułtaństwa, prowadzą dziś Turcję ku lepszej przyszłości. Skromność w wymaganiach i obejściu, tak daleka od naszego „zastaw się — a postaw się“, tak wolna od cienia wszelkiej bufonady, rzuca się w oczy. Turek nie

wstydzi się mówić, że mu czegoś brak, że go na coś nie stać, że odbudowa państwa dopiero w początkach, że stąd liczne jeszcze luki.

W Karadżabej, gdzie jak zresztą w Turcji całej, czułem się jak w Polsce, *notabene* w gronie najlepszych przyjaciół, nie mogłem po prostu nadziwić się tym bratnim stosunkom wiążącym podwładnych z zwierzchnikami. Cały zespół administracyjny, oderwawszy się na cały dzień od swych rodzin, razem pracuje w zgodnych wysiłkach, razem zasiada do stołu i strawy, a wolne od pracy chwile bądź to na wspólnych spędza pogawędkach, bądź to przy smętnych tonach muzyki tureckiej. We wzajemnych stosunkach dyrektora i podwładnych nie widać sztucznej wyniosłości, ani z drugiej strony uniżoności czy też pochlebstwa. Wzajemny szacunek jest obowiązkiem, ale zarazem przywilejem wszystkich. Naprawdę, jak w najlepszej rodzinie pomiędzy starszymi i młodszymi braćmi. Obrazków takich i podobnych widziałem w Turcji bardzo wiele i jak mi mówiono, a co naocznie mogłem także stwierdzić, nie zmieniają się one wobec obcych także wówczas, gdy w środowisku istnieją nawet dysonanse. Wrodzona kultura turecka, nie mająca nic wspólnego z tak często u nas wynaturzoną „pseudokulturą“, nie pozwala wywlekać śmieci poza własne gniazdo. A jest to niewątpliwie coś znacznie więcej, niż rozwielenione na naszym kontynencie tolerowanie eleganckiej formy obok brudnej nieraz treści, gdyż jest to opanowanie własnych namiętności, ugruntowane na fundamentach głębokiej etyki i zalet moralnych.

A gdzież ta wrodzona niechęć do pracy u Turków, opierana najczęściej na tak „ważkich“ kryteriach, jak obrazki z kawiarnianego życia Sambułu? Czyż można, biologicznie wytłumaczalną na tle stosunków klimatycznych, pewną ociężałość usposobienia Turków i związane z tym względnie powolniejsze tempo ich pracy identyfikować w sposób całkiem bezkrytyczny z lenistwem? To też mimo powyższych przejawów wpływów klimatycznych, sprawiających, że społeczeństwo tureckie jest ogniste raczej uczuciem, aniżeli zewnętrznymi przejawami temperamentu, należy stwierdzić, że jest ono zarazem bardzo pracowite. Poczucie dumy narodowej, płynącej z niezależnienia się spod wpływów obcych, usiłowanie zmierzające do umocnienia kulturalnych i gospodarczych podstaw odrodzonej ojczyzny, są niewątpliwie źródłem tej uderzającej wprost „radości pracy“, jaką na każdym niemal kroku można dziś obserwować wśród bardzo patriotycznego społeczeństwa Turcji. Pracuje tedy dziatwa szkolna, która np. we wsi Muttalip pod Eskiszehir pokazywała mi z dumą swe kajety, zapisane nowym

alfabetem, pracuje kupiec, bez żadnych ograniczeń od świtu do nocy stojący na straży swych interesów, przekupień, który stwarza tak typową dla Orientu, barwną i zgiełkliwą atmosferę bazarów, a także ogrodnik, rolnik, rzemieślnik, których tak często widywałem w pracy w razie koniecznej potrzeby nawet w dni świąteczne, a którzy poza tym korzystają tłumnie z wieczornych kursów czytania i pisania.

A gdy zbudowany pełną energii i poświęcenia wielokrotnie piękną pracą fachowców i badaczy tureckich, na zadawane im pytanie, kiedy oni właściwie znajdują czas na wytchnienie i życie rodzinne, otrzymywałem odpowiedź, że Turcja na dziś i na przyszłość potrzebuje przede wszystkim pracy, wówczas przestały mnie dziwić nawet takie osobliwości dla naszych warunków, jak dniem i nocą w ciągu miesiąca trwające obsiewy pól domeny rządowej, a to wobec braku dostatecznej ilości traktorów i konieczności przysporzenia państwu jak najwięcej dochodów. Jedynie duże prywatne majątki ziemskie w Turcji, tzw. „cziftliki“, wykazują jeszcze poważne braki zarówno pod względem technicznym jak i organizacyjnym, a przy skąpym nakładzie pracy, bynajmniej nie są one tym, czym być powinny, tj. ogniskami kultury rolniczej. Natomiast na uznanie zasługuje także skrupulatna i sumienna praca tureckiego urzędnika, odbywająca się w gorszych i na gorszych niż u nas warunkach.

Wobec takiego rozpędu i zapału do pracy, przy równoczesnych reformach społecznych, sławetne a przez obcych tak wyolbrzymiane „bakszysze“ tureckie, owa zgodnie z przysłowiem o krajach i obyczajach odmienna nieco zresztą niż u nas, forma żebractwa czy łapownictwa, są dzisiaj tam znikome. Natomiast zresztą rzadkie żebractwo na ulicy i w pobliżu meczetów oraz innych gmachów publicznych jest po prostu zakazane i policyjnie zwalczane, a zasługuje nadto na szczególne podkreślenie, że „bakszysze“ w formie napiwków, w niektórych okolicach Turcji tak dalece nie są znane, że zdarzało mi się, iż służący względnie prywatny „arabadzi“ (stangret), z gestem jak gdyby urażonego, cofał rękę przed moją zapłatą.

Dla charakterystyki uczciwości społeczeństwa tureckiego może posłużyć choćby taki obrazek z Eskişehir, obserwowany nadto w innych miejscowościach, a mianowicie, że na placach miejskich suchą porą jesienną, całymi dniami, odkryte i pod gołym niebem, zalegały stopy pszenicy i innego zboża, przez nikogo specjalnie nie pilnowane i przez nikogo nie tknięte. Jak o tym zresztą często słyszałem wśród kolonii polskiej w Turcji, są Turcy narodem

nawskroś uczciwym, a rzadkie kradzieże są tam zwykle popełniane przez element napływowo. W tych warunkach stosunki bezpieczeństwa w Turcji, zarówno w miastach, miasteczkach jak i po wsiach są zupełnie normalne. Jak się okaże z dalszego opisu, bywały wypadki, że sam jak palec zapuszczałem się do wsi tureckiej, stale bez broni i zawsze bez najmniejszej jakiejś przykrej przygody. Poza tym władze tureckie przy pomocy bardzo sprawnej policji i żandarmerii, tępią surowo wszelkie nadużycia.

Wprost niezwykła, a przy tym całkiem bezinteresowna jest usłużność społeczeństwa tureckiego. Doznawałem jej na każdym kroku mego pobytu w Turcji i to nie tylko ze strony tych wszystkich osób, do których miałem polecenia, względnie którym byłem przedstawiony, a które istotnie nie szczędziły mi czasu, trudu a nawet osobistych kosztów, związanych z towarzyszeniem mi do różnych punktów mych badań. Ale usłużności tej całkiem samorzutnej doznawałem także od ludzi najprostszych; i tak gdy np. w poszukiwaniu za owadami, o zebranie których proszono mnie w Polsce, zaczynałem „grzebać” pod kamieniami i wazonkami podmiejskich ogródków, przechodnie zrazu przystawali, dziwili się i cmokali zwyczajem tureckim, a następnie zorientowawszy się o co chodzi, pomagali mi nieraz gromadką całą i znosili schwytane owady. Tak samo przy pomiarach zwierząt miałem zawsze aż nadmiar chętnych i całkiem bezinteresownych pomocników. Innym znów razem pewien oficer turecki w Eskiszehir, jak się okazało wojskowy fotograf lotniczy, widząc pewne braki w mych początkowych zdjęciach fotograficznych, zabrał mnie do siebie do domu, ponieważ mogliśmy się porozumieć jedynie na migi, i przy pomocy aparatów i katalogów wytłumaczył obrazowo, jakimi kliszami winienem się posługiwać i w jaki sposób unikać dotychczasowych usterek.

Co się tyczy czystości, to wobec wzmianek u niektórych autorów o „brudach tureckich“, uogólnianych krótkowzrocznie na podstawie nieuregulowanych stosunków powojennych, lub też po prostu na podstawie oderwanych wypadków, ocenianych w dodatku z jakąś przesadną czułościowością, byłem zaskoczony czymś wręcz przeciwnym. Abstrahując od czystości osobistej, do której w dużej mierze przyczyniają się przepisy religijne dotyczące czystości i higieny, a spełniane wśród tureckich mas pobożnych w sposób nie tylko symboliczny, ale istotny i gruntowny, oraz pomijając zwyczaje takie, jak częste mycie rąk, szczególne przestrzeganie czystości obuwia, zdejmowanie obuwia, w razie braku kaloszy, przy wchodzeniu do chaty pobożnego Turka itd., pragnę przede wszystkim

poruszyć czystość ulic i hoteli. Jeżeli istotnie według dawniejszych opisów i spostrzeżeń stosunki czystości Stambułu miały pozostawiać wiele do życzenia, to dzisiaj nie można już tego mówić ani o Stambule, ani o Ankarze, ani o innych miastach, które na wstępie wymieniałem. Czystość i porządek ruchu ulicznego całkiem normalne, przy czym oczywiście różnice w poszczególnych dzielnicach miasta wykazują w zależności od stopnia zamożności i poziomu kulturalnego mieszkańców powszechne zresztą odchylenia. Jedyne zły stan umundurowania obsługi autobusowej w Ankarze, co oczywiście z czystością nie ma nic wspólnego, a co widocznie należy położyć na karb pewnych trudności finansowych, sprawiał mniej dobre wrażenie.

Co się zaś tyczy czystości w hotelach, z których poza Stambułem i Ankarą wszędzie korzystałem i to bynajmniej nie z pierwszorzędnych, gdyż jako stypendysta na takie pozwolić sobie nie mogłem, muszę stwierdzić, iż pod tym względem zaszły widoczne w Turcji zasadnicze zmiany. W Eskiszehir w „Palas oteli“, w Brussie w „Hayat oteli“ na Czekirge, w Karadzabej w nowym jedynym hotelu miasteczka, w Smyrnie w hotelu wojskowym „Askrei oteli“, wszędzie spotkałem czystość bez zarzutu. Jedyne stary hotel „Darbali“ w Balikesir, oraz hotel „Osmanie“ w Brussie, pozostawiały więcej do życzenia. W Brussie jednakże zwrócono mi od razu uwagę, że źle zajechałem i że najlepiej jest zajeżdżać wprost na Czekirge (nazwa dzielnicy kąpielowej miasta), gdzie za tę samą cenę, jak to już wspomniałem, otrzymuje się czyściutki pokój wraz z mineralną kąpielą. Urządzenia wspólnych umywalni tureckich, jakie spotykałem w hotelu „Darbali“ w Balikesir, w „Hayat oteli“ w Brussie oraz w Karadzabej, a nadto w instytucjach rządowych, w których nocowałem, prowadzające się do cienkiej nieraz strugi ściekającej wody, niewątpliwie wygodne nie są, aczkolwiek zostały podyktowane względami higieny. Natomiast obecność bezpłatnych urządzeń kąpielowych dla ubogiej ludności w poszczególnych miastach, a w Brussie nawet kąpeli mineralnych, zasługują na podkreślenie.

Etyka i moralność społeczeństwa tureckiego, oparte na wiekowej tradycji, ujawniają się w Turcji najwyraźniej. Rozważając te cechy charakteru Turków ze stanowiska mej specjalności, raz po raz umacniałem się w przeświadczeniu, że podobnie jak na tle dziewiczej i pięknej przyrody anatolijskiej tamtejsze formy zwierzęce dalekie są jeszcze od stanu degeneracji jako następstwa „przechodowania“, a więc „przekulturzenia“, tak też i samo społeczeństwo nie ma dotąd jeszcze nic wspólnego z tymi zna-

mionami fizycznego i moralnego upadku, który na kontynencie Europy zaczyna być coraz więcej niepokojący.

A jeśli jakiemuś żądnemu sensacji podróżnikowi, patrzącemu na społeczeństwo tureckie okiem stosunków własnego kraju, nie może się po prostu pomieścić w głowie, by mogło istnieć państwo, gdzie ulica miasta nie jest zarazem siedliskiem zepsucia i deprawacji, i skutkiem tego zaczyna on na okrężnej drodze snuć fantastyczne, na legendach oparte przesłanki, które by przecież dowiodły, że nie ma tam moralności, to nie potrzeba chyba udowadniać absurdalności tego rodzaju ujmowania zagadnień społecznych! Dla oceny stopnia moralności i obyczajności społeczeństwa może być miarodajna jedynie analiza porównawcza, oparta na udzielających się oku, masowych przejawach życia. Mogę osobiście z całym naciskiem stwierdzić, że etyczność i moralność społeczeństwa tureckiego, to najsilniej rzucające się w oczy i najbardziej ujmuje cechy jego charakteru. Toteż za cały czas mego bardzo urozmaiconego pobytu w Turcji, nie spotkałem się tam z najmniejszym wykroczeniem przeciwko moralności i obyczajności publicznej.

Poza tym stosunki obyczajowe współczesnej Turcji nie są bynajmniej „puszczone samopas“, ale znajdują się pod najściślejszą kontrolą powołanych ku temu czynników rządowych. Musi oczywiście uderzyć Europejczyka i może dziwić go np. osobliwość taka, jak poza Stambułem i Smyrną obserwowana dość powszechnie w Turcji na ulicy i w ogóle poza obrębem domu mieszkalnego, jak gdyby separacja męskiej i żeńskiej części społeczeństwa. Wypływa to jednakże niewątpliwie stąd, że społeczna rola kobiety tureckiej do ostatnich niemal czasów ograniczała się do życia rodzinnego i kończyła się w obrębie domu. Tak np. za cały czas mego pobytu w Karadzabej, jako gość tamtejszej stadniny rządowej, mimo iż zawiązałem bardzo serdeczne stosunki koleżeńskie ze wszystkimi panami zarządu, nie tylko nie miałem możności poznać rodziny któregokolwiek z nich, ale najdosłowniej podczas tego całego okresu nie widziałem w ogóle kobiety tureckiej na oczy. Panie, mieszkając na uboczu, zdala od gmachu zarządu stadniny, w którym panowie cały dzień spędzali, nie pokazywały się tam wcale.

Dzisiaj jednakże i pod tym względem stosunki się zmieniają. Turczynka nie musi już zakrywać swego oblicza przed wzrokiem mężczyzny, coraz częściej styka się z nim na terenie wspólnej pracy w szkołach i urzędach, a dziatwa szkolna, ta najmłodsza latorośl „młodej Turcji“, której zadaniem będzie kontynuować wielkie dzieło odrodzenia, razem się dziś uczy i wychowuje, na podstawie zupełnie nowoczesnych metod. To też w Ankarze, w Sazowa pod

Eskeszehir i w Smyrnie miałem możność już to w prywatnych domach, już to w kinoteatrach spotykać się z żonami wzgl. rodzinami znajomych mi Turków, co oczywiście należy uważać za wyraz współczesnej, coraz więcej powszechnej modernizacji inteligencji tureckiej.

Ażeby dać pojęcie o wrodzonej Turkowi gościnności, która także naszą przysłowiową gościnność znacznie przewyższa, przytoczę kilka obrazków z własnych przeżyć, gdyż równocześnie uzupełniają one dotychczasowe uwagi o zwyczajach i obyczajach tureckich. Dzięki uprzejmości Emdzet-beja, młodego, postępowego inżyniera rolnictwa i wzorowego kierownika stacji hodowli roślin w Sazowa pod Eskiszehir, miałem uzyskać możność odwiedzenia w okolicznej wsi Muttalip, po raz pierwszy, wieśniaka tureckiego, niejakiego Hatip zade Mehmet efendi, właściciela gospodarstwa 25-hektarowego. Przy wyjeździe z Eskiszehiru umówioną drogą, miałem za miastem spotkać Emdzeta wraz z owym gospodarzem i wspólnie mieliśmy udać się do wsi.

Tymczasem mój „arabadzi“ (dorożkarz) zmylił widocznie kierunek, gdyż przybyliśmy do wsi, nie spotkawszy po drodze nikogo. „Kawalkada“ wracających z pola na osiołkach wieśniaków tureckich, z długimi tykami w ręku, służącymi już to do popędzania zwierząt (przez nakłuwanie ich tępą zaostrzonym końcem), już to do czyszczenia pługów i innych narzędzi rolniczych (końcem zaopatrzonym spłaszczonym żelazem), nadjechała cwałem na widok obcej araby (w tym wypadku zwyczajnej dorożki). Zaraz też zebrała się gromadka wieśniaków i dziatwy męskiej, podczas gdy kobiety zwyczajem miejscowym zasłaniały chustkami twarz po oczy i kryły się za murami zagród. W przeciwieństwie do kobiet miejskich, używających „czarszafów“ tj. czarnych welonkowych zasłon spuszczonej na twarz, kobiety wiejskie zasłaniały twarz chustkami⁴⁾.

Barwny strój chłopów tureckich, złożony z sandałów lub trzewików, z grubych wełnianych białych pończoch sięgających po kolana, z granatowych, wzgl. czarnych, wpuszczonych w pończochy spodni, z czerwonych pasów wełnianych, mających chronić organizm od przeziębienia wobec raptownych w Turcji zmian temperatury, wreszcie z barwnych czerwono pasiastych koszul i zwyczajnych

⁴⁾ „Czarszafy“ spotykane dziś w Turcji w większych ilościach jedynie na głębokiej prowincji, wychodzą coraz bardziej z użycia, a w czasie podróży spotykałem w Turcji także bardzo duże ilości kobiet podmiejskich i wiejskich z twarzą zupełnie odsłoniętą.

kaszkietów („szapka“), przekreślonych najczęściej daszkiem na bok albo w tył, rzadziej z turbanów, sprawia na przybyszu miłe i radosne wrażenie⁵⁾.

Zachęcony sympatycznymi na ogół twarzami moich obserwatorów i upewniwszy się, że w razie potrzeby zostaną wiejską arabą odesłany do miasta, zapłaciłem dorożkę i po raz pierwszy znalazłem się we wsi tureckiej bez żadnego tłumacza.

Znając już cośkolwiek upodobania tureckie, zrobiłem przede wszystkim zdjęcia fotograficzne zgromadzonych włościan, potwierdzając ich zapytania, że ukażą się w „sinema“ tj. na filmie, poza fotografią i boksem, trzecią z rzędu, jak miałem możliwość obserwować, „pasją“ Turków. Następnie, aby wobec licznych zapytań zgrabniej niż przy pomocy słowniczka wylegitymować się wobec mieszkańców wsi, odczytałem im na głos w tłumaczeniu tureckim pismo polecające, wystawione mi na drogę przez Polską Akademię Umiejętności, oraz pismo tureckiego podsekretarza stanu dla rolnictwa skierowane do urzędów weterynaryjnych. Zrozumieli, pokiwali głowami, gdyż cmoknąwszy i powtórzywszy kilkakrotnie „Lehistan“ i „Poloniadan“ (z Polski), oraz „bajtar“ (weterynarz⁶⁾), wobec chwilowej nieobecności we wsi sołtysa, z własnego rozumnego konceptu i w słusznym przeświadczeniu, że tak będzie najlepiej, zaprowadzili mnie, narastającą po drodze hurmą, do wieśniaka władającego językiem rosyjskim, przy pomocy którego mogliśmy się istotnie najzupełniej dobrze porozumieć. Poprosiłem o dwóch przewodników i udałem się z nimi na przeciąg kilku godzin na pastwiska, by czas ten i doskonałą okazję wykorzystać dla studiów.

Jakżeż ciekawa wieś turecka! Każdy dom wraz z ogródkiem otoczony wysokim murem; domy i mury, które łącząc się, tworzą istny labirynt uliczek i zaułków, budowane z cegły niepalonej, są w tonie szarym; okna domów wychodzą na zamknięte podwórza.

⁵⁾ Jak wiadomo, fezy obok turbanów powszechne dawniej nakrycie głowy u Turków, zostały obecnie ustawowo zniesione jako symbol sułtańskich czasów, a użycie ich jest karane w Turcji jako jawne występowanie przeciw republice tureckiej. Ciemne brązowe fezy utrzymały się jedynie jako przepisowe nakrycie głowy mahometańskich duchownych. Turbany spotyka się jeszcze tu i ówdzie po wsiach. Nasze czapki są przez lud wiejski noszone często na bakier, lub daszkiem w tył. Niektórzy Europejczycy zauważają, że jest to cichy protest przeciw skasowaniu fezów. Wydaje się jednak więcej prawdopodobne, że ten sposób noszenia czapek wynika po prostu z przyzwyczajenia do odsłaniania ku słońcu czoła.

⁶⁾ Ponieważ w Turcji akcję hodowlaną prowadzą lekarze weterynarii, przeto w potocznej mowie nie odróżnia się tam hodowców od weterynarzy.



„Kawalkada”
wieśniaków
tureckich ze wsi
Muttalip, wraca-
jących z pola
na osłach
(zdjęcie autora)



Fragment
wsi Mut-
talip
w okoli-
cach Eski-
szehiru
(zdjęcie
autora)



Grupa
wieśni-
aków tu-
reckich ze
wsi Mut-
talip
(zdjęcie
autora)



Fragment wsi
Esebej w okoli-
cach Brussy
(zdjęcie autora)

W gościnie
u wieśniaka-
ogrodnika
Salih-otu
Mehmet,
we wsi Esebej
koło Brussy
(zdjęcie autora)



Prymitywny
dwukolny wóz
anatolijski zw.
„kağny“
(zdjęcie autora)

Na placykach wiejskich kępy drzew, a obok studnie artezyjskie ze stale spływającą czyściutką wodą i z wodopojami dla zwierząt domowych. Wielka i rozciągnięta wieś Muttalip, obejmująca 600 domów i zatem 6 meczetów ze strzelistymi minaretami dzięki owym obmurowanym uliczkom poprzecznym, prowadzącym z jednej strony wsi na drugą, sprawia wrażenie jak gdyby twierdzy. Przyznawano mi, że tak jest istotnie, że mianowicie te wąskie uliczki, prowadzące do wsi, miały ongiś na celu łatwiejszą jej w razie potrzeby obronę. Zaraz za wsią rozciągały się dwa duże cmentarze, a dalej pastwiska z ładnie zdobnymi studniami artezyjskimi i wodopojami.

Wróciwszy wieczór do wsi, zastałem już gospodarza Hatip zade Mehmet efendi; wybiegł na przeciwko mnie przystojny smukły blondyn w sile wieku, robiący wrażenie inteligentnego i postępowego włościanina, o czym świadczył zresztą także fakt, że właśnie w dniu tym odbierał od Emdżet-beja selekcyjną pszenicę do siewu. Pozdrowiwszy mnie swoim zwyczajem i uściskawszy następnie dłoń, oświadczył mi, że zna już moje personalia i wyraził żal, oraz niepokój Emdżet-beja, z powodu naszego niespotkania się.

Wprowadzony przez gospodarza do męskiej komnaty gościnnej, zastałem tam jego ojca „hoǰę“ tj. mahometańskiego duchownego, młodszego brata, młodzieńca o pięknych i szlachetnych rysach, oraz dwóch małych berbeciów, synków gospodarza, którzy zwyczajem tureckim, przeszedłszy już pod opiekę ojca, mogli też brać udział w męskich przyjęciach. Zarówno żony jak i córeczek gospodarza, zajmujących żeńską część mieszkania, a więc „harem“⁷⁾, nie widziałem. Urządzenie pokoju gościnnego, w którym się znalazłem, jak na nasze stosunki było bardzo oryginalne; pod drewnianymi ścianami pokoju w barwie naturalnej, leżały na podłodze rozciągnięte

⁷⁾ Ażeby sprostować nieściśle wyobrażenia „o zniesieniu haremów“ w Turcji, podaję na podstawie źródłowych informacji następujące wyjaśnienie tej sprawy. Żadnej ustawy o zniesieniu haremów w Turcji nie było, gdyż haremy, które wynikły z poligamii, są to części mieszkań przeznaczone tylko dla kobiet. Natomiast wielożeństwo zostało zniesione prawnie w r. 1926 przez zaprowadzenie w Turcji szwajcarskiego kodeksu cywilnego. Ale już przed tym, wskutek ubożenia kraju i reformatorskiej akcji rządu młodotureckiego, wielożeństwo było zjawiskiem coraz rzadszym, zaś niezwykle rzadkim u stanu średniego i u inteligencji. Wypadki wielożeństwa miały więc przede wszystkim miejsce u magnatów, którzy mogli pozwolić sobie na kosztowne utrzymanie większego domu, oraz u ludu wiejskiego, gdzie kobieta była parą rąk roboczych i gdzie sytuacja jej pokrywała się prawie z sytuacją robotnicy czy służącej. Te poligamiczne małżeństwa, które istniały w chwili wprowadzenia nowego kodeksu, oczywiście nie zostały rozerwane.

maty trzciniowe, a na nich miękkie czarne poduszki; oto wszystko. W okienku, wychodzącym do sieni, ciekawi familianci (mężczyźni), którzy jako niezamożni, patriarchalnym i gościnnym obyczajem tureckim, w domu zamożniejszego wieśniaka tureckiego znajdują dach nad głową oraz strawę — obserwowali zachowanie się gościa. Przywitawszy się serdecznie z hodżą i wymienioną najbliższą rodziną gospodarza, obecną w pokoju, byłem nie tylko bardzo onieśmielony trudnością rozmowy, ale znalazłem się nadto w kłopotcie, gdy uprzejmymi wyrazami „bujrun“, „bujrun“ (proszę), oraz odpowiednimi gestami zapraszano mnie, bym usiadł. Człowiek zapomniał mimo woli, że jest w środowisku tureckim, że to co mu się dziwnym wydaje, jest tam naturalne; instynktownie tedy oglądałem się za krzesłem, po czym zrazu niezgrabnie przykucnąłem, a wreszcie na dalszą zachętę, ku zadowoleniu zebranych usiadłem „w kuczki“ na poduszce.

Przyniesiono wodę do mycia rąk, którą tureckim zwyczajem w tym wypadku z pięknego cynowego dzbana polewano na ręce nad zdobną cynową czarą, przykrytą również zdobnym, wgłębionym, dziurkowanym wierzchem (jak mnie informowano, zwyczaj mahometański każe usuwać sprzed oczu brudną wodę). Nie brakło mydła i czystego ręcznika. Umył też ręce gospodarz, który jako przyjmujący swego gościa usiadł naprzeciw mnie. Hodża poważnie przysiadł na macie pod przeciwległą ścianą izby; reszta obecnych towarzyszyła już to stojąc, już to przykucnąwszy, wszyscy z nakrytymi głowami.

Wniesiono kolację podaną w metalowych naczyniach na niskim okrągłym stoliku tureckim o metalowym blacie. Złożyły się na nią następujące dania: na patelni jaja smażone, na talerzach kromy chleba pszenno-razowego, kwaśna sałatka z kiszonej rzepy, pilaw, jogurt z mleka bawolego, wreszcie po kolacji czarna kawa. Jedliśmy we dwójkę z gospodarzem; pozostali przyglądali się i skinieniami oczu oraz gestami zachęcali mnie do śmielszego i obfitszego spożywania darów. Jedliśmy oczywiście z wspólnych misek, jajecznicę po prostu nabierając chlebem, inne zaś potrawy czystymi drewnianymi łyżkami, przyniesionymi dodatkowo na moją prośbę. Schłodnością w mieszkaniu i w sposobie podania strawy, oraz całym tym tak bezinteresownym, pięknym i szczerze gościnnym przyjęciem byłem po prostu olśniony, a już punktem kulminacyjnym był dla mnie moment, gdy poważny hodża w czarnym, szerokim, niemal po kostki sięgającym surducie i w ciemnym fezie na głowie, opasanym białym zawojem, w czasie naszej kolacji, dając gestem znak bym się nie krępował, rozłożył na macie zdjęty z okna modlitew-

nik (dywanik), ściągnął skarpetki i stanąwszy bosą nogą na skraju modlitewnika, odprawiał w skupieniu przepisaną modlitwę wieczorną! Cała ta scena wywarła na mnie wprost niezwykle głębokie i niezatarte wrażenie. Wtedy dopiero spostrzegłem, że pośród obecnych, ja jeden siedziałem w izbie w obuwiu; chciałem je zdjąć, lecz obecni nie zgodzili się na to.

Gościnny gospodarz i jego rodzina nie chcieli wprost słyszeć, bym miał opuścić ich dom nie przenocowawszy. Gdy jednak nalegałem, podnosząc, że właściciel hotelu może być zaniepokojony, przygotowano arabę, w tym wypadku czterokolny wóz wiejski z prostokątną niską skrzynią, zdobną malowidłami na zewnętrznych ścianach, wyścieloną guńką i poduszkami. Późnym wieczorem powróciłem do miasta, oczekiwany z niepokojem przez poczcziwego Hüssejn Rizę, który będąc kiedyś właścicielem cukierni w Suwałkach, nie wie doprawdy jak ma okazać przyjaźń i serdeczność swym gościom Polakom. Zamierzał już uwiadomić policję o mej nieco przydługiej nieobecności i opowiadał mi, jak Emdzet-bej (mieszkający pod Eskiszehir) kilkakrotnie się o mnie dopytywał. Tak to więc spędziłem naprawdę jeden z najpiękniejszych dni mego pobytu w Turcji.

Innym znów razem pewien młody i sympatyczny inżynier-geometra, którego poznałem przygodnie w Brussie⁸⁾, a któremu zawdzięczam bardzo wiele pomocy, ułatwił mi poznanie niedaleko od Brussy położonej, wsi Esebej⁹⁾. Wieś ta całkiem innego typu niż Muttalip; domki wiejskie piętrowe przylegają do siebie, okna pokoi haremowych zakratowane do połowy drewnianymi listewkami. W środku wsi zatrzymaliśmy się przy kawiarni, zdobnej dużą altaną i przyległą fontanną. Otoczyli nas zaraz włościanie, częstując kawą, herbatą i papierosami, a nie przyjmując wzamian poczęstunków „od gości“. Wieś Esebej, jak cała zresztą okolica, bogata, gdyż tonie w sadach i warzywnikach, które dają poważne dochody.

⁸⁾ Był to typ bardzo inteligentnego, ale zarazem rzadkiego w Turcji lekkomyślnego młodzieńca, wobec którego, jako nie odstępującego mnie, zresztą bardzo pomocnego mi towarzysza, musiałem jednakże zachowywać niezbędną rezerwę. W porównaniu z naszymi stosunkami, przedstawiał on jednak typ „lekkoducha“ bardzo powściągliwego.

⁹⁾ Oprócz obu odmiennych opisanych typów wsi, spotykałem też, np. na drodze z Karaköj do Brussy lub w okolicach Smyrny, wioski do naszych podobne, z małymi chatami i ogródkami, otoczonymi niskimi plecionymi płotami, albo obciążniętymi drutem.

Gospodarz Salih oğlu Mehmet efendi, właściciel 40-hektarowego, starannie utrzymywanego sadu, obfitującego zwłaszcza w pigwy, brzoskwinię i kasztany, a zarazem plantator kawonów i innych warzyw, zaprosił nas do siebie. W podwórzu w szopie zalegały stosy pigwy i sznury suszonych na zimę kasztanów. Dom piętrowy obejmował również cztery izby, prócz kuchni na dole i dużego holu na pięterku, zaślanego kaczanami kukurydzy i dorodnymi kawonami. Widziałem tylko górną, męską część mieszkania, przepojoną jabłkową wonią bukietów pigwy („ajwa“), zwisających u stropu. W obu pokojach, zarówno sypialnym jak i gościnnym, stały pod ścianami pluszem obite kanapy, a przy stołach solidne krzesła. W sypialni obserwowałem wygodne mosiężne łóżko, w pokoju gościnnym okrągły stół, ładną komodę i dużą szafę, nadto dywany na ziemi i ścianach, firanki względnie portiery u okien. Środek drewnianego stropu w gościnnym pokoju zdobiła piękna kolistą rzeźba.

Przyniesiono wodę do mycia rąk, po czym gospodarz i jego krewniak podali ser, konfitury z brzoskwini, kawony, chleb, wreszcie kawę lub herbatę. W czasie posiłku toczyliśmy pogawędkę o Lehistanie, o obecnych lepszych czasach w odrodzonej Turcji, o sprawach codziennego życia. Gospodarz, jak mnie potem informował towarzyszący mi inżynier, bojąc się zabobonnie, aby nie urzec urodzaju przyszłego roku, zρέcznie wymijał rozmowę na temat wysokości tegorocznych plonów; ale kuzyn gospodarza mówił mi, że urodzaj samych kawonów wynosił w tym roku 40 tysięcy oka (tj. ponad 51 tysięcy kg); o sąsiedzie natomiast mówiono już całkiem otwarcie, iż tegoroczne zbiory wynosiły u niego 200 tysięcy oka pigwy (tj. ponad 256 tysięcy kg), oraz 15 tysięcy oka brzoskwini (ponad 19 tysięcy kg), mimo iż rok obecny, skutkiem zeszłorocznej ostrej zimy, miał wykazywać urodzaj znacznie niższy, niż normalnie. Należy tu zaznaczyć, że drzewa owocowe są w Turcji bardzo starannie pielęgnowane i wapnowane, przy czym właściciele ponoszą koszty prowadzonej przez rząd akcji zwalczania szkodników.

W czasie całej tej wizyty z oczu gospodarza tryskało tak charakterystyczne dla Turków zadowolenie z możliwości ugoszczenia kogoś, a cóż dopiero przybysza z dalekiego kraju! Obdarzony na drogę najpiękniejszym jaki był w domu, kawonem, odjechałem do Brussy, pełen zachwytu dla kultury, społecznienia i warunków życia tureckiego wieśniaka-ogrodnika.

Opisanych dobrych warunków egzystencji, z jakimi osobiście zetknąłem się wśród włościan tureckich w obu przytoczonych wsiach anatolijskich, nie można oczywiście uogólniać. Obie

te wsi bowiem, są położone w żyznych okolicach kraju. W Polsce informowano mnie np. o skrajnej nędzy i zacofaniu chłopów tureckiego w innych stronach Turcji. Niemniej wynika z powyższego, że także tej nędzy nie można uogólniać. Należy przy tym szczególnie podkreślić, że dola chłopów tureckiego jest dziś znacznie lepsza aniżeli dawniej, a stawszy się przedmiotem szczególnej troskliwości czynników państwowych, poprawia się w dalszym ciągu najwyraźniej.

Pomijając już w tym moim przydługim opisie nadzwyczajną, a pełną prostoty gościnność także inteligencji tureckiej, z jaką to gościnnością spotykałem się w Ankarze, w Czifteler, w Sazowa pod Eskiszehir, w stadninie rządowej w Karadzabej, w Galipasza Czamandra cziflik i w Balikesir, dorzucę na zakończenie tego rozdziału obrazek z okolic Smyrny, gdzie właściciel „cziftliku“ (majątku ziemskiego) Güle, nazwiskiem Musa Kjahja, nie mogąc mnie i moich towarzyszków (tj. dra Lüfti-beja, oraz urzędnika, przydzielonego przez smyrneński urząd weterynaryjny), ugościć u siebie gęsiną, gdyż spieszo nam było na pociąg, chciał nam koniecznie ofiarować bodaj gęsi zabite na drogę, byśmy je w Smyrnie upiekli i skonsumowali. Był po prostu nieszczęśliwy, gdyśmy i tego musieli odmówić, a pocieszyły go dopiero moje uwagi, że w tym wypadku chęci wystarczą za czyny i że za którymś przysłym pobytem w Turcji nie omieszka odwiedzić jego tak gościnnych progów.

W związku z omawianą gościnnością turecką wypada mi jeszcze podkreślić, że za cały czas mego pobytu w Turcji, poza jednym jedynym wypadkiem w Ankarze, gdzie jeden z poważnych mężów stanu, zresztą sam nie pijąc, próbował mnie częstować kieliszkiem jakiejś słodkiej domowej nalewki, nie spotkałem się zresztą nigdy w prywatnym domu tureckim, względnie jako gość instytucyj rządowych, z jakimkolwiek napojem alkoholowym. Jedynie w restauracjach piją niektórzy Turcy tzw. „raki“ (tj. „anyżówkę“ mieszaną z wodą).

Powyższa charakterystyka społeczeństwa tureckiego byłaby jednakże pozbawiona swej żywej barwy, gdybym tu w zakończeniu nie wspomniał choćby pokrótce, o tym podniosłym, postępowym a na wskroś patriotycznym duchu młodej republiki tureckiej, który jako symbol twórczej inicjatywy społeczeństwa, wyzwolony z bezwładności sultańskich czasów i z kajdan zbrojnej okupacji, porwał cały naród do zwycięskiego czynu i wzbija się wysoko nad przepiękną turecką krainą.

Polityczna zwartość społeczeństwa, nacechowana najgłębszą wdzięcznością i największym zaufaniem do poczynañ swych pa-szów-zwycięzców, zmierzających tak wyraźnie ku lepszej przy-szłości narodu i państwa, utrwała się coraz silniej na granitowych filarach całego społeczeństwa, a przede wszystkim młodszego po-kolenia, wzrastającego już w tej świeżej atmosferze. Nie zatarte pozostaną w mej pamięci przejawy entuzjazmu tureckiego narodu dla odrodzonej ojczyzny jakie obserwowałem w Ankarze, w związku z powrotem Kemala-paszy po dłuższej nieobecności w stolicy, a następnie w miasteczku Karadżabej w dniu święta republiki tureckiej „Dżumhurjet bajramy“ (dnia 29 października), kiedy to wraz z całym zarządem stadniny rządowej, uczestniczyłem w uroczystościach narodowych, zakończonych gratulacjami, skła-danymi w gabinecie miejscowego starosty. Nie potrzebuję chyba opisywać z jakim wzruszeniem słuchałem gorących patriotycz-nych przemówień poszczególnych prelegentów, a w szczególności przedstawiciela dziatwy szkolnej, który akcentując zdania i żywo gestykułując, wskazywał nie tylko na gorącość uczuć narodowych, ale też na zrozumienie treści swego przemówienia! Nie rozumiałem wprawdzie słów, ale wrażliwym na przejawy szczerego patriotyzmu sercem polskim jakże doskonale wyczuwałem ich sens i jakże dobrze rozumiałem lży względnie zadumę, dostrzegalne na twarzach ucze-sników uroczystości, wśród których nie brakło licznej rzeszy włościan!

Jak wiadomo, naród turecki musiał długo czekać na wy-zwolenie się z marazmu czasów otomańskich i zdobycie pełnej suwerenności. Znajduje się on jednak w tym pomyślnym położe-niu, że w wysiłkach zmierzających do gospodarczego i kultural-nego odrodzenia, może korzystać dziś z gotowych wzorów, oku-pywanych przez inne narody długoletnim i kosztownym nieraz doświadczeniem. Świadom i pamiętając o tym, że wzorów tych, nawet najlepszych, dosłownie przeszczepiać nie można, oraz że należy je stopniowo i każdorazowo umiejętnie dostosowywać do własnych swoistych warunków, naród turecki prowadzi swą młodą republikę śmiałym i szybkim krokiem naprzód. My zaś tu, w odległym „Lehistanie“, z wdzięcznym sercem wspominajmy przyjaźń narodu tureckiego okazaną nam w bolesnych chwilach naszych dziejów, i życzymy mu pełni sukcesu w jego kulturalnym pochodzie!

W związku z pierwszą podróżą naukową do Turcji, winien jestem wdzięczność następującym instytucjom i osobom:

Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, w osobach: ówczesnego Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego Prof. Dra Henryka Hoyera, jako Przewodniczącego Komisji Fizjograficznej Polsk. Akad. Umiejętn., Sekretarza Generalnego Akademii Prof. Dra Stanisława Kutrzeby, oraz Dyrektora Muzeum Fizjograficznego Prof. Jana Stacha; Wydziałowi Wschodniemu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w osobie ówczesnego Naczelnika Wydziału, ś. p. Tadeusza Hołówki; Departamentowi Nauki i Szkół Wyższych Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w osobach: ówczesnego Dyrektora Departamentu Pana W. Suchodolskiego i ówczesnego Naczelnika Wydziału Nauki Pana F. Dzika; Poselstwu Polskiemu w Ankarze, a w szczególności: ś. p. Ministrowi Kazimierzowi Olszowskiemu, ówczesnemu Posłowi Rzeczypospolitej Polskiej w Turcji, Pani Ministrowej Stefanii Olszowskiej, bratu memu Zygmunutowi Vetulaniemu ówczesnemu Radcy Handlowemu Poselstwa, ówczesnemu Radcy Poselstwa Panu Ministrowi J. Gawrońskiemu, Sekretarzowi Poselstwa P. Dr J. Kruszyńskiemu, Tłumaczowi Dyplomatycznemu Poselstwa P. R. Buczyńskiemu, jak również urzędnikom i pracownikom Poselstwa: P. Edwardowi Wieszczykiemu, Fazli-bejowi, oraz P. Godymirskiemu; Konsulatowi Polskiemu w Stambule, a mianowicie: ówczesnemu Konsulowi Panu W. Łopatto, Sekretarzowi Konsulatu P. Gruji, a w pierwszym rządzie Sekretarzowi Radcy Handlowego Panu Domanowi Rogoyskiemu.

W Turcji wdzięczność moja należy się nadto następującym instytucjom oraz członkom społeczeństwa tureckiego:

Ministerstwu Gospodarstwa Krajowego w Ankarze, w osobach: Ministra Gospodarstwa Krajowego Szakira, Podsekretarza Stanu dla rolnictwa Prof. Ihsan Abidina, Naczelnika Wydziału Hodowli Zwierząt Mehmet Nurettina; Członkom Rady Stanu: Prof. Ali Riza (sen.) i Prof. M. Sureya; Zarządowi i Pracownikom Naczelnej Stadniny Państwowej w Karadzabej, w osobach: Dyrektora A. Szevki, Dra F. Csiki, Prof. A. Samuela, Dra B. Lütfi, oraz Panów: Kenana, Tevfika, Nazima, Ömera i Kemala; w Cifteler Dyrektorowi Naczelnego Państwowego Stada Ogierów P. Giray; w Sazova Dyrektorowi Stacji Hodowli Roślin, Inż. Emcet Jektaj; w Brussie: Dyrektorowi Szpitala Wojskowego Dr Ahmet Dzewat, oraz Dyrektorowi Szkoły Rolniczej M. Refetowi; Pracownikom Naukowym Szkoły Rolniczej w Ankarze, pp. Dr H. Kadri i Kerimowi Ömer; Dyrektorowi Muzeum Etnograficznego w Ankarze, Dr Mészáros Gyula; Dyrektorom Wilajetowych Urzędów Weterynaryjno-Hodowlanych, a mianowicie: Panu Niyazi w Eskiszehir, Panu Hasan Fehmi w Bursie, Panu Adil w Smyrnie i Panu Behdżet w Balikesir.

Wszystkim wymienionym instytucjom i osobom, jak również tym wszystkim osobom w Turcji, od których w czasie mego tam pobytu doznawałem życzliwości i pomocy, a których może pominąłem, składam najszczerze podziękowania.

Panu Profesorowi Dr. Tadeuszowi Kowalskiemu z Krakowa niech mi będzie wolno dołączyć na tym miejscu szczerą podziękę, za łaskawe przejrzenie rękopisu części pierwszej.

C Z Ę Ś Ć D R U G A

WRAŻENIA Z DRUGIEJ PODRÓŻY NAUKOWEJ
DO TURCJI (ROK 1934)

Z 37 RYCINAMI

1. Nad Bosforem.

Dzięki pomocy i poparciu Funduszu Kultury Narodowej, Polskiej Akademii Umiejętności, Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, oraz Wydziału Wschodniego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie, podjąłem w ostatnich dniach lipca 1934 r. drugą z rzędu podróż naukową do Turcji, w celach badań naukowych z zakresu pochodzenia i hodowli tamtejszych zwierząt domowych. W podróży tej wziąłem sobie za zadanie zbadać interesujące mnie zagadnienia w Anatolii północno-wschodniej. Najważniejszymi ośrodkami tych badań były wilajety: Ankara, Samsun, Trabzon (Trapezunt), Erzurum i Kars. W omawianej podróży bawiłem od 27 lipca do 17 października 1934 roku.

Już pierwsza omówiona poprzednio podróż do Turcji, której rezultaty ogłosiłem drukiem w szeregu artykułów i prac naukowych, potwierdzała niezbicie, że Anatolia, tak mało dotychczas zbadana pod względem naukowym w zakresie rolnictwa i hodowli zwierząt domowych, jest także w odniesieniu do tych zagadnień szczególnie interesującym i ważnym terenem. Odnośne zainteresowania stosunkami panującymi w północno-wschodniej Anatolii musiały się jeszcze więcej spotęgować, gdy zwłaszcza ostatnio wybitny i również w Polsce wielce zasłużony zoobiolog prof. dr Leopold Adametz z Wiednia, z uwzględnieniem m. i. także moich wyników badań oraz w oparciu o zebrane przeze mnie w Turcji materiały, wskazał na Anatolię, jako na pomost, poprzez który, w zamierzchłej przeszłości neolitu, plemiona Azji Przedniej przeszczepiły do Europy środkowej z Azji Przedniej, łącznie z Zakaukaziem, początki rolniczo-hodowlanej kultury w Europie.

Niezależnie od tych względów czysto naukowych, omawiana podróż nęciła mnie także przez wzgląd na samą Turcję, znaną mi już z malowniczości i różnorodności przyrody, oraz z ujmujących właściwości charakteru społeczeństwa tureckiego. Wiodły mnie tam zatem właściwe Turkom gorące i braterskie serca, i te wszystkie przyjacielskie węzły, które raz zawiązane, na tle histo-

rycznych sympatyj naszych narodów, oraz dużych podobieństw niektórych rysów charakterów, pozostają na zawsze żywe i mocne, bez względu na odległość przestrzeni i czasu, a nawet bez względu na zmienność politycznych koniunktur.

Zresztą współczesna Turcja jest dziś słusznie przedmiotem żywego zainteresowania całego świata kulturalnego, jako młoda i żywotna republika, utrwalająca swój nowy byt na granitowych podwalinach patriotycznych serc i walecznych ramion, oraz na najnowszych i w miarę możliwości najlepszych zdobyczach ogólnoswiatowej cywilizacji.

Odkładając wyniki badań naukowych do publikacyj fachowych, pragnę tutaj, podobnie jak w części pierwszej, podzielić się z czytelnikami jedynie osobistymi wrażeniami i przeżyciami, już to rozpatrywanymi w perspektywie minionego pięciolecia w odniesieniu do niektórych omawianych zagadnień i dziedzin, już to szkicowanymi całkiem na nowo, gdy mowa o nieznanym mi przedtem okolicach Anatolii, położonych na wschód od Ankary.

Już sama jazda z Krakowa do Stambułu obfitowała w urozmaicenia. Wprawdzie lipcowa rewolta wiedeńska i inne przeszkody zmusiły mnie do rezygnacji z ponętnej jazdy przez Wiedeń, a stamtąd Dunajem nad Morze Czarne, ale groźna powódź małopolska, która żywiołem wezbranych wód pozrywała tory kolejowe i mosty na terenie naszych ziem południowych, zmusiła mnie zakosztować po raz pierwszy w życiu podróży powietrznej, na odcinku z Krakowa do Lwowa. Ten przelot Junkersem naszej doskonałej linii powietrznej był tym obfitszy we wrażenia, że jako jedyny pasażer aeroplanu, unosząc się ponad doskonale znanymi mi okolicami kraju, mogłem obserwować w nich z całą plastycznością, żywe jeszcze dzieło niszczyielskiej powodzi.

Do dalszych urozmaień, a nadto przyjemności podróży w drodze do Turcji, przyczyniał się parudniowy pobyt w Bukareszcie i w Konstancy, gdzie w oczekiwaniu na rumuński statek Regele Karol I, na rumuńskich plażach w Mamaia i Eforia można było dowoli otrząsać się ze znużenia, a kąpiąc się w południowym słońcu, zaprawiać się stopniowo do upałów, panujących w Turcji w większym jeszcze nasileniu.

Podróż z Konstancy do Stambułu wspomnianym okrętem odbywałem w pierwszych dniach sierpnia przy tak idealnie spokojnej tafli Czarnego Morza i wśród tak pięknej księżycowej nocy, że nic dziwnego, iż zdążając z północnego Wilna, długo nie mogłem rozstać się z pokładem statku, z bajkowo pięknym, nocnym i w blaskach księżycy skąpanym pejzażem majestatycznego morza, oraz

z czystym i ożywczym powietrzem. A potem, skoro tylko ranne wstały zorze, biegło się znowu na pokład, by chwalić potęgę Bożą, i by wraz z rozbawionymi delfinami i mewami pławić się w ożywczym powietrzu i słońcu, oraz kąpać wzrok w bezdennej toni.

Wspaniała panorama Bosforu i jego wybrzeży zachowała w pełni swój urok. Ogrody seraju i słynne meczety starego Stambułu kolorytem swych subtelnych pastelowych barw mieniły się przepysznie w skwarze południowego słońca. Życie portu w Galacie było ruchliwe jak dawniej. Bazary Stambułu pulsowały tak znamioną, barwną, żywą i zgiełkliwą atmosferą Orientu. Europejska dzielnica miasta Beyoğlu (Pera) kipiała wielkomięjskim ruchem na swych najruchliwszych arteriach, jak Istiklal-dżaddeşi (ulica Niepodległości), plac Taxim i in., i chełpiła się bogactwem sklepowych wystaw, barwnością świetlnych wieczornych reklam, wytwornością pędzących aut, doskonałym i barwnym umundurowaniem licznych stróżów bezpieczeństwa, przede wszystkim jednak mnogością nowych solidnych budowli i bruków, będących tworem ostatniego pięciolecia.

A gdy po parnych spiekotach dnia zstępowały ożywcze wieczory, jakżeż miło było wówczas wsłuchiwać się w ogródku stambulskiej panoramy w melancholijne tony tureckiej muzyki, albo w oryginalne melodie pełnej wdzięku słynnej Fikryje-hanum, której nieznośne muszki i inne brzęczące stworzonka, jak gdyby zazdrosne o laury słynnej artystki, dokuczały w sposób nie zawsze dyskretny, ku ogólnemu rozbawieniu śpiewaczki i całego audytorium. Ale już po dwóch dniach pobytu, przeznaczonych na załatwienie grzecznościowych formalności w naszym konsulacie, trzeba było pożegnać piękny Stambuł. Opuściwszy schludny hotelik „Alp“ na Tepe-baszy, nie ominałem przed wyjazdem doskonałej tureckiej restauracji Abdullaha, a przeprawiwszy się małym statkiem na azjatycki brzeg Stambułu do Hajdarpasza, znalazłem się wkrótce w pociągu, zmierzającym w kierunku Ankarę.

2. Eskiszehir.

I znowu jak ongiś, roztaczał się z okien pociągu widok na czarujący Stambuł, na cztery książęce wyspy morza Marmara: Bujuk Ada (Prinkipo), Hejbeli, Burgas, i Kynały, i znowu na przestrzeni 60 km jechało się wzdłuż zatoki Izmit morza Marmara, u kresu której sympatyczny towarzysz podróży — młody podchorąży turecki z Adapazary, pokazywał mi z dumą nowy dok wojenny.

Nad brzegiem jeziora Sabandza znane mi sprzed pięciu laty lasy drzew owocowych, rozrosły się jeszcze więcej, a na stacji teje nazwy roiło się od sprzedawców owoców, tak samo jak dawniej. Było już po północy, gdy przerwałem jazdę w Eskiszehir, aby dostać się nazajutrz do znanej mi z roku 1929 wzorowej stacji hodowli roślin w Sazowa, pozostającej pod doskonałym kierownictwem inżyniera Emdzet Jektaj. Proszony przez dział roślin pastewnych Instytutu Puławskiego o nasiona niektórych roślin tureckich dla naszych celów doświadczalnych, tą właśnie drogą chciałem wywiązać się z odnośnego przyrzeczenia. W Eskiszehir jak poprzednio, zajechałem oczywiście do hotelu Palas, którego znany nam już właściciel, ongiś cukiernik w Suwałkach, tak serdecznie wita zawsze gości z Lehistanu. Serdeczny mój znajomy i przyjaciel inżynier Emdzet Jektaj, który nazajutrz wczesnym rankiem przyjechał po mnie do miasta z odległej o 4 km Sazowa, podejmował mnie u siebie wspólnie ze swą sympatyczną żoną i dzieciami, ze znaną turecką gościnnością.

Chociaż miał powód do dumy, z prostotą i skromnością sumiennego naukowca pokazywał mi potężne inwestycje, przeprowadzone w ciągu ostatniego pięciolecia w tej największej tureckiej stacji hodowli roślin. Więc wspaniałe i bogato urządzone budynki, postawione w roku 1931 za cenę 100 000 funtów tureckich (tj. 450 000 złotych), obejmujące m. i. laboratorium, spichlerz zbożowy, obszerną halę wegetacyjną i szklarnię, oraz nowe urządzenia elektryczne. Z całą dokładnością zaznajamiał mnie następnie z organizacją najnowszych doświadczeń, oraz z najaktualniejszymi zagadnieniami tureckiej hodowli roślin, o których niepodobna tutaj pisać. Najlepszym wyrazem postępów rozwojowych stacji hodowli roślin w Sazowa były dwie wielce wymowne fotografie, ofiarowane mi przez gościnnego gospodarza na wyjeździe, z których jedna, pochodząca z roku 1923 przedstawiała nagi step, druga zaś z r. 1933, na tle tego samego widnokregu wzorową fermę wraz z jej zabudowaniami i powołaną przez nią do życia bujną wegetacją. Piękny to, żywotny i niezniszczalny pomnik dziesięciolecia odrodzonej Turcji powojennej, jeden z tych licznych żywych pomników, których wiele miałem możność oglądać w czasie omawianego ostatniego pobytu w Turcji.

Potem w samym Eskiszehir, w drodze do rządowej stadniny w Czifteler, odległym o 52 km na południowy wschód od miasta, przyjaciele moi inżynier Emdzet Jektaj oraz Tevfik Bulak, obecny dyrektor tej stadniny, skierowywali moją uwagę, na założoną w roku 1933 przez trzy banki tureckie fabrykę cukru o rocznej

produkcji 10 000 wagonów cukru, na nowe warsztaty aeroplanów wojskowych, na szkołę lotniczą i liczne przynależne do niej zabudowania, na nowy solidny gmach rzeźni miejskiej, itd. Stara szosa wiodąca nas do Czifteler, ta sama z której już przed pięciu laty z powodu licznych wyboi trzeba było zjeżdżać autem na stepowe trakty, ma się podobno wkrótce doczekać wreszcie gruntownej, a tak już pożądanej naprawy. Po drodze przystawaliśmy na chwilę jedynie w osadzie Jenihan, mieszczącej rodzaj zajazdu na stepie, której właściciel Arslan-czawusz („lew-sierżant“) zaprzątnięty właśnie młocką zboża, demonstrował mi z prymitywnych narzędzi rolniczych znane mi już z dawniej döğen¹⁾ oraz juwak²⁾ służące do młocki. Uwagę moją zwracał tu również tzw. „tezek“, tj. suszone odchody zwierzęce, służące w postaci placków lub brykietów, na opał. W Czifteler zgotowano mi prawdziwą niespodziankę, demonstrując mi nowy piękny dorobek z dziedziny mej specjalności, a mianowicie zapoczątkowaną w roku 1930 — jak podkreślano, na skutek moich poprzednich zaleceń — racjonalną hodowlę drobnego czarnego bydła środkowej Anatolii, znajdującego się przedtem w całkowitym zaniedbaniu. W nocy rozstałem się z moimi przyjaciółmi, i po tej krótkiej lecz miłej i pouczającej przerwie, ruszyłem z Eskiszehiru, w kierunku Ankary.

3. Ankara.

Przed samą Ankarą — jak zawsze — zatrzymał się pociąg na chwilę przed piękną stacyjką w Gazi, gdzie słynna i wzorowa ferma rolnicza, założona przez prezydenta republiki Kemala Atatürka na szczerym przedtem stepie, sprawia dziś tak radosne wrażenie, jako zachęta do dalszej wyteżonej pracy rolniczej w Turcji i żywy przykład jej celowości. Drzewa, które jeszcze przed pięciu laty tak widocznie walczyły z brakiem wody, nie poschły, lecz pielęgnowane z niezłomną wolą i z żelazną wytrwałością,

1) Pod nazwą anatolijskiego narzędzia rolniczego „döğen“, należy rozumieć ciężką i podczas pracy dodatkowo obciążaną jeszcze deskę, od spodu gęsto nabitą odłamkami krzemieni, która ciągnięta przez zwierzęta robocze (najczęściej przez woły) w koło po okrągłym klepisku, służy do młocki.

2) „Juvak“ albo „tasz-juvak“, jest to służący do młocki, gęsto i głęboko na obwodzie żłobiony walec kamienny, ciągnięty podczas pracy przez zwierzęta robocze w koło po okrągłym klepisku. Wielkość obwodu, na którym narzędzie to ma pracować, reguluje się każdorazowo z pomocą sznura, przymocowanego do pala, sterczącego w środku klepiska.

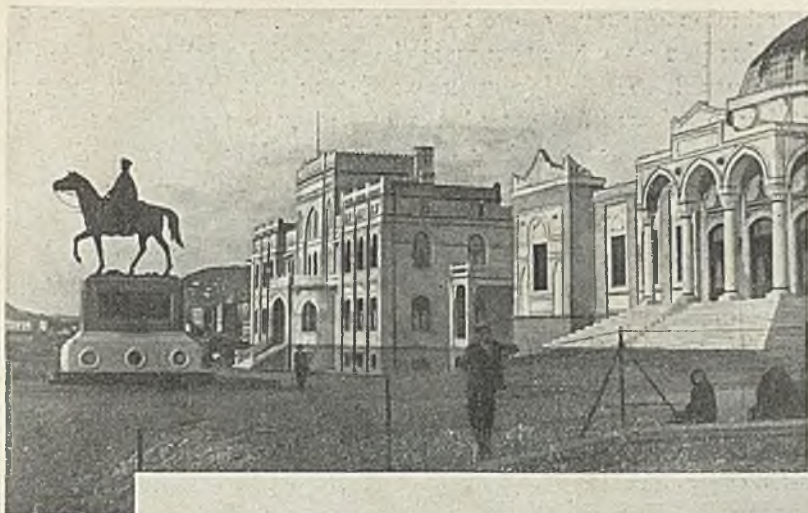
przyjęły się na dobre. Na wypłukanych z nadmiaru soli stepach ruszyła wreszcie swobodnie wegetacja i przyjęło się na pustkowiu życie, wypiełgnowane sercem i rozumem.

Wkrótce ukazała się oczom Ankara, stolica państwa, licząca w roku 1934 — 90 000 mieszkańców, która jako ognisko i kuźnia najwznioślejszych uczuć i dążeń narodu tureckiego, jest dziś tak droga nie tylko każdemu Turkowi, ale na równi każdemu szczeremu przyjacielowi współczesnej Turcji. Gdy bowiem barwny przepięknym położeniem, kolorytem pejzażu i wspaniałością zabytków, kosmopolityczny jednak pod wielu względami Sambał nęci przelotnie swoją urodą, rdzennie turecka Ankara, piękny i solidny w swej planowej rozbudowie wykwit najszlachetniejszych ambicji rycerskiego narodu tureckiego, wiąże od razu uczuciami głębszych sympatyj i jak gdyby przyjaźni wypróbowanej w atmosferze tych wszystkich ideałów, z jakimi łączą się dzieje współczesnej Turcji i jej dzisiejszej stolicy.

Już z okien wagonu oraz z samego dworca kolejowego w Ankarze uderzają przybysza duże postępy w rozbudowie stolicy. Potężne nowe gmachy zarówno w starej jak i w nowej rozległej części miasta pną się niekiedy tak wysoko w górę, że przysłaniając chwilami stare bizantyjskie mury, pogłębiają tym silniej wrażenie zmian i postępów.

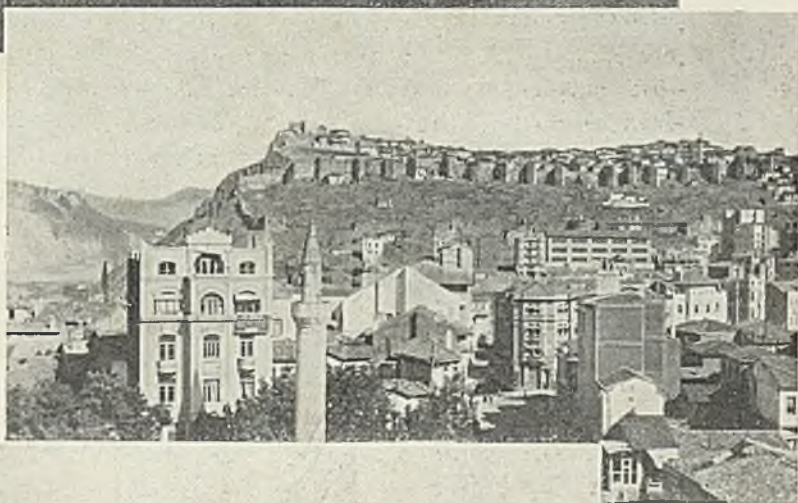
Dzięki wielkiej życzliwości Ambasadora Jerzego hr. Potockiego oraz p. Radcy Dubicza-Penthera, miałem miłą możliwość korzystać w Ankarze i tym razem, z gościnnego dachu naszej ambasady, która przed pięciu laty, gdy w niej również — w drodze powrotnej z mych badań — gościłem, była dopiero co na ukończeniu. Tam, w dzielnicy „Topolowej doliny“ (Kawakly-dere) nowego miasta, nasz Biały Orzeł zdobiący gmach ambasady, położonej u stóp wzgórza Czankaja, mieszczącego na szczycie rezydencję sławnego Kemala Atatürka, napawa dumą, gdyż w międzyczasie jeszcze silniej wspiał on do lotu skrzydła mocarstwowej Polski i okazał się niż dawniej, świadczy w tureckiej stolicy o węzłach sympatyj, wiążących oba rycerskie narody.

W ogrodzie naszej ambasady z taką wytrwałością przed pięciu laty szczepione młode zrazy na starych pniach pigw, grusz i jabłoni, przyjęły się i w bujnej szacie zielonych liści uginały się teraz pod ciężarem dorodnych owoców. Pozakwitały róże. Tonęły w barwnym kwieciu klomby, świadcząc i tam, na skrawku polskiej ziemi w tureckiej Ankarze, o powodzeniu także naszej, polskiej, cierplivej pracy.



Dom Ludowy „Halk-evi“ (na lewo), Muzeum Etnograficzne (na prawo), oraz jeden z piękniejszych pomników Prezydenta Atatürka w Ankarze (zdjęcie tureckie)

Na tle murów seldzuckiej cytadeli, jedna ze starszych dzielnic Ankary (zdjęcie tureckie)



Kawaleria turecka podczas defilady w Ankarze (zdjęcie tureckie)

Instytut gospodarstwa dla
dziewcząt (İsmet İnönü-
Enstitüsü) w Ankarze
(zdjęcie tureckie)



Ranne ćwiczenia
gimnastyczne
uczennic tego
instytutu
(zdjęcie tureckie)

Dziatwa
turecka
podczas
święta
narodowego
w Ankarze
(zdjęcie
tureckie)



Jeszcze tego samego dnia, w którym przybyłem do Ankarę, podwiedzałem dawnych znajomych i poskładałem część oficjalnych wizyt. Witano mnie serdecznie i po przyjacielsku. Wyniki pierwszego pobytu mego w Turcji nie przeszły tam bez echa. Obecny minister rolnictwa Muhlis (obecnie Muhlis Erkmén), były profesor hodowli zwierząt domowych — a więc mej specjalności — w Halkali pod Stambułem, przyjął mnie z koleżeńską serdecznością, już nie tylko jako gościa, ale jako „wypróbowanego“ przyjaciela współczesnej Turcji. O uczuciach przyjaźni zapewniał mnie również były podsekretarz stanu dla rolnictwa w Ministerstwie Gospodarstwa Krajowego, znany mi sprzed pięciu laty, profesor Ihsan Abidin, zajmujący dzisiaj w Turcji wybitne stanowisko dyrektora państwowego banku rolnego w Ankarze. Równie serdecznie witali mnie dawni znajomi i przyjaciele, a więc Mehmet Nurettin (obecnie — po wprowadzeniu w Turcji w roku 1935 nazwisk rodowych — Nurettin Aral), Abravanel Samuel (obecnie Abravanel Samuel Aysoy), Kerim Ömer (obecnie Kerim Ömer Çağlar), Nazim, i w. i. Nazim wzruszył mnie do prawdy, wręczając mi przy umówionym spotkaniu moją starą, tanią, trzcinową laskę, którą w roku 1929 na wspólnej z nim wycieczce zgubiłem w stepach pod Karadżabiej, a którą, kiedyś później, jakiś stary czoban (pasterz) odnalazł, i jak przystało na Turka, złożył w zarządzie pobliskiej stadniny w Karadżabiej. Czyż nie jest charakterystyczny, i czyż nie zasługuje na wzmiankę ten drobny i pozornie obojętny szczegół? Gdy ja już dawno zapomniałem o blahej stracie sprzed pięciu laty, tak iż w pierwszym momencie nie poznałem nawet mej własności, mój turecki przyjaciel wiązał z odnalezioną laską wspomnienia o mnie i czekał okazji, by mi złożyć ten rzeczowy dowód pamięci.

Upały były w Ankarze duże. W cieniu wykazywał termometr np. 36°, a w słońcu do 48°. Niekiedy zrywały się piaskowe burze i przysyłały miasto obłokami pyłu. Spacery do miasta, względnie w mieście, trzeba było redukować do godzin rannych i wieczornych. Poza tym szukało się cienia najchętniej już to w Hawus-Baszi wzgl. Hilal-Ahmer-bahcze (ogród czerwonego półksiężyca), już to w ogrodzie obok parlamentu. W ogródkach tych bowiem w specjalnych kioskach znakomita turecka woda mineralna sprowadzana z Afjon Karahissar, sprzedawana latem w dziennej ilości do 1000 półlitrowych butelek w jednym kiosku, bodaj na krótko gasiła nieznośne pragnienie. Zimne szербety, wypijane w tureckich cukierniach w potężnych ilościach, swoją nadmierną słodyczą pobudzały pragnienie jeszcze więcej. A sprawa zwykłej wody do picia ani w Turcji w ogóle, ani w Ankarze w szczególności, nie

przedstawia się tak całkiem prosto. Zarówno w Stambule, jak i w Ankarze, oraz w innych miastach Anatolii, za smaczną zwykłą niezbyt twardą wodę do picia sprowadzaną ze Stambułu (np. „taszdalen“), i sprzedawaną w butelkach, trzeba płacić. Wodociągi miejskie w Ankarze, które zwiedzałem, a które mieszczą się w murach starego miasta, pochodzących już to z czasów bizantyjskich (np. zamek z końca VII wieku po Chrystusie) już to seldżuckich, zaopatrują jedynie starą dzielnicę miasta w wodę, niefiltrowaną wprawdzie, która jednak jako pochodząca z okolic Ankary, z podglebia, ma być chemicznie i bakteriologicznie czysta, zdrowa i względnie niezbyt twarda, przy 18 stopniach twardości. Toteż gdy jedynie w starej Ankarze można pić względnie spokojnie wodę miejską, podawaną np. w restauracjach i kawiarniach, w nowszych dzielnicach miasta jest się na razie zdany wyłącznie na wody butelkowe.

Przy dużych odległościach z jakimi ma się do czynienia w Ankarze, a w szczególności na przestrzeni z Kawakły-dere (siedziba ambasady) do centrum miasta, dawała się też we znaki już nie tylko przez wzgląd na upały, ale po prostu skutkiem dużych absolutnych odległości, niezbyt wygodna komunikacja autobusowa. Podczas gdy dawniej (np. w roku 1929) kursowały w Ankarze zwyczajne duże autobusy miejskie, przestrzegające ścisłego rozkładu jazdy, ostatnio w ich miejsce kursowały pod nadzorem miasta małe prywatne 5—6 osobowe autobusy o drewnianych, w szarym tonie utrzymanych karoseriach, które opuszczały końcowe przystanki nie według jakiegoś ścisłego planu jazdy, lecz dopiero po zajęciu wszystkich miejsc przez pasażerów. Chcąc w razie pośpiechu szybko dostać się do celu, trzeba było niejednokrotnie wykupywać wszystkie puste miejsca. W przeciwnym razie, na słabiej uczęszczanych liniach, jak właśnie wspomniana, wypadało nieraz bardzo długo czekać, niekiedy nawet całą godzinę, lub więcej. Już w czasie mego powrotnego pobytu w Ankarze mówiło się tam jednak o tym, że ten wadliwy system komunikacyjny ma być wkrótce zastąpiony przez normalną i regularną miejską komunikację autobusową, co w mieście stołecznym tak rozległym jak Ankara i w dodatku w porze letniej tak upalnym, jest rzeczą niezbędną i pilną.

Sama Ankara rozrasta się szybko i ładnie. Rozbudowa miasta odbywa się ściśle według planu opracowanego w latach 1930/31 przez profesora Jansena z Berlina. Zgodnie z tym planem niektóre nowe już nawet partie miasta będą musiały doznać jeszcze przebudowy. Dotychczasowe koszty nowej stolicy Turcji pochłonęły

ponoć dotąd 500 000 000 funtów tureckich, tj. dwa i ćwierć miliarda złotych. Kierując kroki z Ministerstwa Rolnictwa pomieszczonego w starym gmachu starej części Ankary w stronę dzielnicy nowego miasta (Jeniszehir), mijamy po drodze nowe, okazałe i wspaniałe niekiedy budowle, jak gmachy: prezydium rady ministrów, ministerstwa skarbu, ministerstwa monopoli, gmach Isz bankasy, potężny pomnik wolności narodu z r. 1927, budynek partii ludowej (Halk firkasi), gmach najwyższej izby kontroli państwa, gmach parlamentu z przylegającym ogrodem miejskim, którego przednia część z ożywczymi fontannami i kaskadami przyjęła się już na dobre, podczas gdy tylna część ogrodu, mimo ustawicznie czynnych sztucznych deszczowni, anemicznym swym wyglądem i żółtością listowia, wskazywała niedwuznacznie na będącą jeszcze w całej pełni walkę o byt. Cofając się do pomnika i idąc następnie w kierunku poczty, mijamy na lewo gmach ministerstwa oświaty, potem na prawo centralny bank rzeczypospolitej, a zaraz dalej wspaniały bank rolny wybudowany kosztem miliona tureckich funtów (4,5 milionów złotych). Po stronie przeciwnej, obok gmachu poczty głównej, mieści się średnia szkoła techniczna, dalej bank otomański, który za lat parę ma wreszcie zakończyć swoją egzystencję, jako anachronizm we współczesnej republikańskiej Turcji. Pod budowę gmachu opery wyznaczono już miejsce.

Na lewo, na dalszym nieco planie na wyniosłości miasta, wznoszą się majestatycznie dwa piękne gmachy, a mianowicie wspaniały dom ludowy (Halk ewi) oraz zaraz obok muzeum etnograficzne, poprzedzone lekkim i pięknym pomnikiem Kemala, przedstawiającym go w ruchu, na szlachetnym arabskim rumaku. Nieco w tyle za tymi gmachami mieści się nowy szpital miejski, a znów po drugiej stronie głównej arterii miasta, centralny gmach wystawy przemysłu, organizowanej na dzień święta republiki (29. X. 1934 r.). Naprzeciw tego gmachu ma swą siedzibę fakultet prawa, zawiązek przyszłego uniwersytetu w Ankarze. Obok niego wznosi się gmach ministerstwa spraw zagranicznych, a nieco dalej siedziba średniej szkoły handlowej. Uprzejmy mój przewodnik dr Bedii Szakir, już w oddali wskazywał mi ręką położone obok dworca kolejowego gmachy, a więc siedzibę generalnej dyrekcji kolejowej, centralny gmach związku lotniczego oraz zbożowe silo, którym szczycą się dziś Turcy również w Stambule, w Eskiszehir, Siwas i Konii, a których przewiduje się znacznie więcej dla usprawnienia handlowych obrotów zbożem.

Posuwając się w głąb Jeniszehiru, oglądaliśmy i zwiedzaliśmy piękny gmach instytutu gospodarstwa domowego dla dziewcząt

(tzw. instytut Ismeta), z którego balkonów wzrok padał na inne nowe instytucje tureckiej stolicy, a więc na gmachy liceum żeńskiego, liceum męskiego, oraz na nowy wspomniany już wyżej państwowy szpital wzorowy na 400 łózek, otwarty w dniu 10-lecia republiki tureckiej w roku 1933. Szpital ten znów jeden z żywych i cennych pomników dziesięciolecia odrodzonej Turcji, który aczkolwiek pokrywa zaledwie trzecią część zapotrzebowania Ankarę, przedstawia się tym okazalej, gdy się go porówna ze stojącym obok małym i dziś już „starym“, budynkiem szpitalnym, pochodzącym z roku 1926. Z dachu instytutu Ismeta, skąd horyzont rozszerza się znacznie, na tle pięknej panoramy najdalszych zasięgów nowej Ankarę wpadały w oko takie jeszcze okazałe budowle, jak gmach ministerstwa spraw wewnętrznych, wyższej akademii wojskowej, ministerstwa wojny, jak słynny instytut Kemala (tzw. Gazi enstitüsü) obejmujący średnią szkołę i liceum męskie, jak wreszcie budynki gazowni i elektrowni miejskiej i wiele, wiele innych.

Poprzez Kawakly dere i okazały, w stylu króla Stasia utrzymany gmach naszej ambasady, wzrok zatrzymywał się wreszcie na wzgórzu Czankaja, gdzie z zieleni drzew i krzewów wyłania się w swej alabastrowej bieli nowy i całkiem nowoczesny płaskodachy pałac Kemala, a gdzie zachowany w ogrodzie mały skromny domek, poprzednia rezydencja bohaterskiego prezydenta Turcji, świadczy tak wymownie, jak obojętny był on na wygody własne, gdy budował pierwsze zręby umiłowanej republikańskiej ojczyzny. Na przestrzeni pomiędzy dworcem kolejowym i miastem, na polach przylegających obustronnie do szerokiej i upiększonej alejami ulicy wiodącej do dworca, mają powstać w najbliższej przyszłości, z jednej strony wspaniały stadion sportowy projektowany za cenę 1,5 miliona funtów (tj. 6,75 milionów złotych), z drugiej zaś sztuczne jezioro dla wodnych zawodów sportowych.

W towarzystwie prof. Miltnera z Wiednia, powołanego przez Turcję specjalisty z zakresu archeologii klasycznej, zwiedzałem po raz wtóry obok meczetu Hadzi-Bajram-dżami słynną świątynię cesarza Augusta z wyrytym na dwóch wewnętrznych ścianach po łacinie jego testamentem, z greckim tekstem tego testamentu na stronie zewnętrznej, oraz pomieszczone pod gołym niebem, wokół ruin tej świątyni, zabytki sztuki naturalistycznej zwłaszcza hetyckiej, znalezione w ostatnich latach w licznych punktach Anatolii. Gdy mowa o rozbudowie Ankarę, należy tu jeszcze wspomnieć o okazałym kompleksie solidnych gmachów i zabudowań wyższej akademii rolniczej, którą w roku 1929 oglądałem w trakcie budowy, a która obecnie swoją kubaturą, ilością budynków, solidnością budowy

i wewnętrznego urzędnika wybija się dziś na czoło w porównaniu z podobnymi instytucjami Europy.

Ale spróbujmy zajrzeć także do wnętrza niektórych przynajmniej z wymienionych pięknych gmachów Ankary, a więc przede wszystkim do Halk ewi czyli do domu ludowego. Już sam ten fakt, że przewodniczącym tej instytucji jest Kemal Atatürk, prezydent republiki tureckiej, a prezesem powszechnie w Turcji ceniony poseł Erzurumu Nafi Atuf, świadczy wymownie o jej wybitnym znaczeniu we współczesnej Turcji. Boć przecież kultura ludu w ogóle, a kultura młodzieży w szczególności, to w świadomości każdego współczesnego Turka granitowy fundament całej przyszłości odrodzonej powojennej Turcji. Jak mnie informował uprzejmie dyrektor domu ludowego, Halk ewi — to niejako dżami (meczet) dzisiejszego Turka. Toteż znajduje w nim każdy młody Turek bezpłatnie wszystko, co mu potrzebne do kulturalnego rozwoju, a więc: pracę, naukę łącznie z nauką obcych języków, kulturalne rozrywki i przyjemności. Nauce służy biblioteka obejmująca ponad 220 000 książek, przede wszystkim z zakresu klasycznej literatury greckiej i łacińskiej, a nadto z dziedziny literatury tureckiej, francuskiej i in. W 95% korzystają z biblioteki młodzież szkolna, nauczycielstwo i urzędnicy. W czytelni mieści się znaczna ilość bieżących czasopism głównie tureckich i niemieckich, nadto sporo też francuskich i angielskich. Z czasopism polskich nadchodzi jedynie i to bardzo nieregularnie „Pologne Littéraire“.

Aby zdrowy duch młodzieży tureckiej w zdrowym rozwijał się ciele, znajdują się w Halk ewi wszelkie możliwe urządzenia sportowe i gimnastyczne. W czwartkowe wieczory poprzedzające dni piątkowego bajramu, odbywają się w dużej sali tanecznej przy dźwiękach fortepianu, a czasem jazzbandu, towarzyskie zabawy. Zarówno z biblioteki i czytelni, jak i z urzędzeń sportowych oraz zabaw, korzysta młodzież turecka bezpłatnie, a jedynie za bufet, wykluczający oczywiście alkohol, opłaca każdorazowo 5 kurusz, tj. ca. 25 gr. Tutaj w Halk ewi odbywają się też bezpłatne wesela młodych Turków, gdyż przy skąnym zaludnieniu kraju, państwo prowadzi zdecydowaną politykę populacyjną. (Obszar republiki tureckiej obejmuje ca. 764 000 km², ilość mieszkańców według spisu z roku 1927, wynosiła ponad 13,5 milionów, zaś według spisu ludności z roku 1933 miała jakoby wynosić ca. 17,5 milionów). Za pośrednictwem Halk ewi i całej sieci jego drobniejszych prowincjonalnych komórek, krzewi się dziś w całej Turcji na prowincji i na wsi oświatę i kulturę, rozdając w razie potrzeby bezpłatnie lekarstwa, ule itd.

Gabinety i salony angijskiego pałacu Halk ewi toną w przepychu Wschodu. Stare piękne i cenne dywany (z których niektóre małe, szacuje się na 1000 funtów, tj. 4500 zł wartości), ręczne złotem nizanane tkaniny, piękne antyczne meble, stare rytualne naczynia, alabastry itd., wszystko to zachwyca i przykuwa wzrok zwiedzających. Na korytarzach w gablotkach mieści się istne muzeum starej sztuki ceramicznej, względnie bezcennych tkanin. Wśród licznych sal i szczegółów, pokazywano mi dokładniej piękny różowy salon, obszerną i pięknie dekorowaną salę posiedzeń, srebrną sypialnię szacha perskiego ze złotą koroną u wezglowia, zachowaną w formie muzealnej na pamiątkę jego pobytu w Turcji w czerwcu 1934 i rezydowania właśnie w pałacu Halk ewi. W omawianym pałacu, w jego operowo-koncertowej sali, wyposażonej w łożę prezydenta republiki, właśnie z okazji pobytu szacha perskiego w Ankarze, wystawiono pierwszą turecką operę.

Ismet-pasza-enstitüsü, to „instytut wychowania gospodarczego“ dla dziewcząt, nazwany na cześć premiera Ismeta İnönü. Jego początki sięgają roku 1926, odkąd do roku 1928 mieścił się on w Konii. W roku 1928 otwarto jego podwoje we wspaniałym gmachu w Ankarze. Prawo wstępu do tego instytutu mają absolwentki przymusowych pięcioletnich szkół powszechnych. Program nauki w instytucie jest pięcioletni, a jego absolwentki, po dopełnieniu dwóch dalszych lat studiów gospodarczych, nabierają prawa nauczania w szkołach powszechnych. W instytucie obowiązuje system pensjonatowy. Opłaty za życie i naukę wynoszą za okres 9—10 miesięcy nauki w ciągu roku po 275 funtów (tj. 1237,5 zł) od osoby. W roku 1934 przyjęto do instytutu pierwsze stypendystki, które po skończeniu nauk są obowiązane pracować przez 7 lat w instytucjach państwowych. Nauka obejmuje następujące dziedziny praktyczne: krój i szycie, modniarstwo, kwieciarstwo, gotowanie (kuchnia turecka i europejska), wychowanie dzieci, sztuka stosowana, rysunki, poza tym wykształcenie ogólne. Pierwsze absolwentki ukończyły studia w roku 1933 w ilości 18 dziewcząt, następne w ilości 23, w roku 1934. Statystyka dalszych życiowych losów pierwszych 18 absolwentek jest następująca: nauczycielstwo — 1, szycie — 8, modniarstwo — 4, w Europie na dalszych studiach — 3, zamęście — 2. Całe wewnętrzne urządzenie i umeblowanie instytutu przeważnie materiałami pochodzenia niemieckiego, jest bez zarzutu. Porządek i higiena są wzorowe. Bez jakiegokolwiek przesady można mówić o panującym w tym instytucie komforcie. W czasie moich odwiedzin instytut znajdował się w stadium dalszej jeszcze rozbudowy wewnętrznej. Wykań-

czano właśnie aulę i zbiorową jadalnię, rozszerzano kuchnię, urządzano łazienki i mechaniczną pralnię.

Otwarta uroczyście w dniu święta republiki tureckiej z okazji jej dziesięciolecia, tj. w dniu 29 października 1933 wyższa akademia rolnicza (Yüksek ziraat enstitüsü) w Ankarze, projektowana przez architektów tureckich i niemieckich, to instytucja, z którą słusznie decydujące czynniki tureckie wiążą dziś przyszłość swego państwa, zależną w tak dużym stopniu od poziomu jego rolniczej kultury. Toteż, gdy cały budżet rolnictwa wynosi w Turcji 3,5 milionów funtów tureckich (tj. 15 750 000 złotych), koszty budowy akademii miały pochłonąć 5,5 milionów funtów, a budżet akademii w pierwszych latach organizowania i urządzania jej zakładów, miał podobno wynosić 4 miliony funtów rocznie (tj. 18 milionów złotych). Obecnie normalny już budżet roczny akademii, wynosi 1 milion tureckich funtów (tj. 4,5 milionów złotych rocznie). Na zabudowania akademii składa się potężny kompleks kilkunastu solidnych murowanych gmachów, przeważnie dwupiętrowych, obejmujących m. i. budynki o następującym przeznaczeniu: gmach rektoratu i ogniska studentów, gmachy rolnictwa, fitopatologii, chemii rolnej, fizjologii i fizyki, hodowli zwierząt, mleczarstwa, bakteriologii i serologii, anatomii i patologii i in., nadto obszerny budynek kliniczny, oraz oddzielny dom mieszkalny rektora.

W gmachu głównym rektoratu i ogniska zasługują na wzmiankę: aula na 500 osób, sala posiedzeń senatu, sala muzealna, bogata biblioteka oraz ognisko studenckie. Biblioteka, która powstała z inicjatywy obecnego ministra rolnictwa Muhlisa Erkmene i stąd nosi jego miano, została faktycznie ufundowana w swych pierwszych zrębach, z okazji 10-lecia republiki tureckiej przez państwo niemieckie oraz niemieckie księgarnie i niemieckie instytucje naukowe. Magazyny biblioteczne, obejmujące cztery kondygnacje przewidziane na 80 000 książek, liczyły w czasie mej bytności ponad 35 000 książek głównie niemieckich i angielskich, oraz w mniejszej ilości francuskich i rosyjskich. Ściany bibliotecznej czytelnicy obite od wewnątrz szarym płótnem chronią wnętrze przed wilgocią. Także ognisko studenckie pomieszczone w bocznym skrzydle głównego gmachu akademii, przeznaczone na 500 osób, zadziwia nowoczesnością i komfortem urządzeń. Wszelkim najnowszym wymaganiom higieny uczyniono tu zadość. Toteż jedynie mimochodem wspominam tu o jasnych i obszernych sypialniach, o oddzielnych szatniach z osobnymi szafami dla każdego poszczególnego mieszkańca ogniska, o łazienkach, urządzeniach natryskowych i oddzielnych dla każdego mieszkańca umywalniach, o pięknej jadalni i wzorowo czystej

kuchni, wreszcie o salach gimnastycznych bogato wyposażonych we wszelkie urządzenia sportowe i gimnastyczne, co wszystko razem dopełnia harmonijnej całości.

Akademia rolnicza w Ankarze obejmuje 5 wydziałów, a mianowicie rolniczy, weterynaryjny, przyrodniczy, technologii rolniczej oraz leśny, który miał być otwarty jesienią 1934 roku. Poza tym prowadzi się w akademii jako lektoraty: lektorat historii, lektorat wychowania fizycznego, seminaria języków obcych (niemieckiego, angielskiego, francuskiego i włoskiego), oraz kursy przysposobienia wojskowego, prowadzone przez dwóch kapitanów armii tureckiej. Program studiów jest czteroletni, przy czym obowiązuje system semestralny. Ponieważ młoda republika turecka potrzebuje dziś dla organizacji rolnictwa jak najliczniejszych zastępów młodych i dzielnych inżynierów rolnictwa, którzy w oparciu o zdobytą wiedzę mają krzewić kulturę rolniczą w terenie, przeto państwo pokrywa całkowicie zarówno koszty studiów, jak i utrzymania wychowanków omawianej wyższej akademii rolniczej w Ankarze. Naukowa organizacja akademii spoczywa całkowicie w rękach niemieckich. Rektorem, prorektorem, dziekanami wydziałów oraz kierownikami poszczególnych katedr i zakładów naukowych byli wyłącznie uczeni niemieccy. Uczeni tureccy, nawet starsi i dawniejsi profesorzy, pełnili w akademii jedynie funkcje docentów lub asystentów względnie co najwyżej kierowników poddziałów.

Słynna wzorowa ferma rolnicza Kemala tzw. Gazi-cziftlik, została związana organizacyjnie z wyższą akademią rolniczą w Ankarze, gdyż absolwenci gimnazjów wzgl. liceów pragnący w niej studiować, muszą odbyć uprzednio roczną praktykę rolniczą w Gazi-cziftlik. Tak samo całe doświadczalnictwo rolnicze oraz seminarium pedagogiczne dla nauczycieli rolnictwa znajdują dzisiaj oparcie o tę akademię rolniczą. Jak już wspomniałem, oficjalne otwarcie omawianej akademii rolniczej nastąpiło w dniu 29. X. 1933 r., tak iż pierwszy oficjalny rok akademicki przypadał w niej na lata 1933/1934. Ponieważ jednak już od jesieni 1930 roku odbywały się wykłady prowizorycznie w oparciu o starą średnią szkołę rolniczą pod Ankarą, przeto rok 1933/34 wydał już pierwszych absolwentów, tj. pierwszych inżynierów rolnictwa w Ankarze. W roku akademickim 1933/34 liczba studentów angorskiej akademii rolniczej wynosiła 350, w czym panien było 20 (11 na rolnictwie, 9 na weterynarii); obcokrajowców było 9, w czym 5 Niemców, Bułgar, Syryjczyk i 2 Belgów. Traktując wyższą akademię rolniczą w Ankarze — poza ważnymi własnymi celami — za kultu-

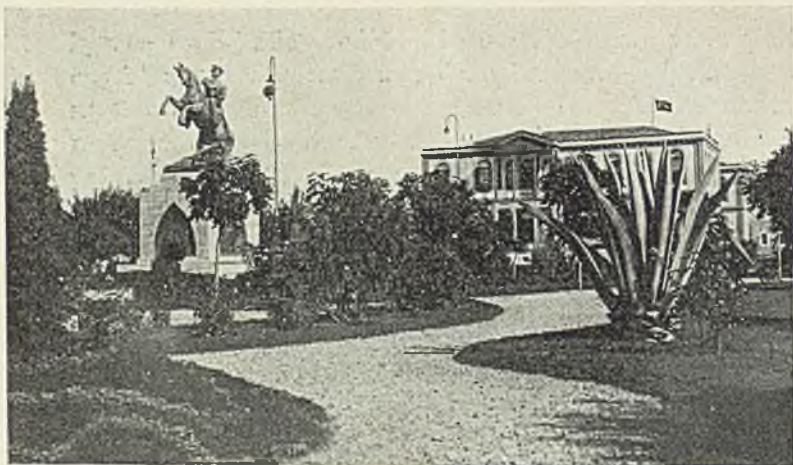


Gmach
Ambasady
Polskiej
w Ankarze
(zdjęcie
autora)

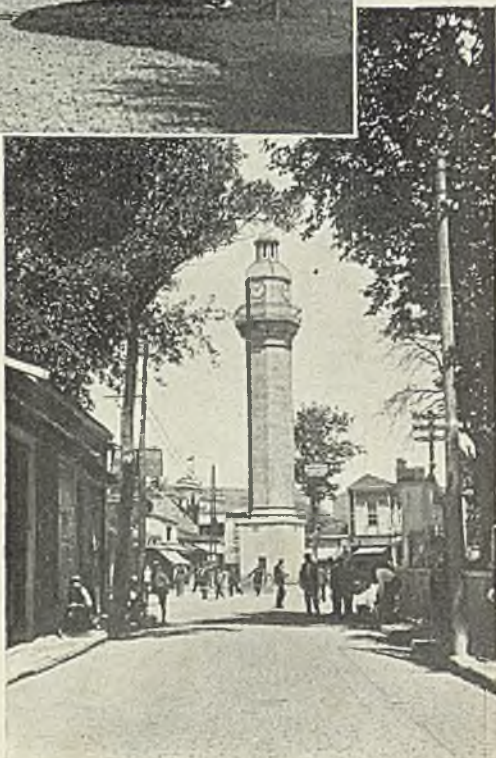
Główny
gmach
Wyższej
Akademii
Rolniczej
(Yüksek
Ziraat
Enstitüsü)
w Ankarze
(zdjęcie
tureckie)



Instytuty
naukowe
Wyższej
Akademii
Rolniczej
w Ankarze
(zdjęcie
tureckie)



Główny fragment nadmorskiego skweru w Samsunie, z pomnikiem Prezydenta Kemala Atatürka oraz siedzibą Walego (wojewody) (zdjęcie tureckie)



Stara wieża zegarowa na jednym z placów Samsunu (zdjęcie tur.)



Policjant turecki, regulujący ruch uliczny w Ankarze (zdjęcie autora)

ralną centralę dla Azji, oczekują Turcy w perspektywie dalszej przyszłości, znacznego napływu młodzieży rolniczej ze Wschodu.

Z interesujących mnie fachowych obiektów zwiedzałem nadto w Ankarze względnie pod Ankarą, podległy ministerstwu rolnictwa instytut hodowli drobiu, pomieszczony pod miastem w cieniu 20 000 drzew głównie akacjowych i morwowych, pracujący nad produkcją rasowego materiału zarodowego dla krajowej hodowli kur, oraz nad poprawą kur rodzimych, dalej na przedmieściu Ak-köprü wzorową i higienicznie urządzoną rzeźnię miejską istniejącą od lat trzech, wreszcie odwiedziłem wspomnianą już wyżej wzorową fermę rolniczą Kemala, tj. Gazi-ciftlik, będący zarazem siedzibą generalnej dyrekcji wszystkich pięciu podobnych wzorowych ferm rolniczych, założonych przez Kemala w różnych okolicach współczesnej Turcji. Wzorowa ferma rolnicza Gazi-ciftlik, założona w roku 1925 na szczerym stepie pod Ankarą i obejmująca 15 000 ha, jest poświęcona głównie produkcji szlachetnych zbóż (pszenica, jęczmień, żyto, owies i kukurydza), hodowli zwierząt domowych, oraz plantacji drzew i krzewów. W uprawie znajduje się dotąd tylko 1 000 ha, w czym 700 ha podlega sztucznej irygacji, reszta przedstawia stepowe pastwiska. Plantacji drzew i krzewów służy pięć szkółek, z których jedna jest poświęcona winu, jedna drzewom owocowym, trzy zaś innym drzewom, z których w środkowej kontynentalnej Anatolii rosną najlepiej: wiąz, akacja, jesion, dąb, glediczia, topola włoska, czterospilkowa sosna leśna, maclura, różne balsamifera, tuja, cyprzyk (frenela), arzantiaca, sophora japonska, oraz katalpa. Prócz rolnictwa i hodowli, także przemysł rolny jest w Gazi-ciftliku reprezentowany, a mianowicie: przez browar, fabrykę wina, fabrykę lodu, trzy mleczarnie produkujące pasteryzowane mleko, jogurt oraz masło, przez małą fabrykę skórek jagnięcych na rękawiczki, wreszcie przez fabrykę pługów. O wpływie tego ciftliku na wyższe szkolnictwo rolnicze przez odbywane w nim przymusowe praktyki rolnicze, była już wyżej mowa, nadto w samym ciftliku mieści się także powszechna szkoła dla dzieci.

Ferma ta posiada też wybitny wpływ na aprowizację stolicy pod względem produktów rolniczych i w szczególności doskonałego nabiału, a zwłaszcza masła, o które jeszcze przed pięcioma laty, było w Ankarze tak trudno. Do dochodowej gospodarki omawianego ciftliku przyczyniają się nadto tłumne doń każdego piątku wycieczki mieszkańców stolicy, dochodzące latem do 1 000, zimą do 500 osób. Prócz cienia drzew i urządzeń fermy, służą tam za atrakcję; restauracja i kawiarnia zaopatrywane wy-

łącznie we własne produkty i prowadzone we własnym zarządzie cziftliku, zabawy taneczne, dwie basenowe pływalnie ujęte pomysłowo w kontury Morza Czarnego wzgl. Marmara, wreszcie mały zwierzyniec oraz muzeum, przedstawiające produkty i wypchane zwierzęta cziftliku.

Druga wzorowa ferma rolnicza założona przez Kemala w Jallowej (wil. Istanbul) na przestrzeni 120 ha, zajmuje się hodowlą bydła i owiec oraz produkcją mleka i oliwek, trzecia w Tarsus (wil. Mersin) położona nad Morzem Śródziemnym także na przestrzeni 120 ha, prowadzi plantację bawełny, czwarta w Siliwke (wil. Mersin) o przestrzeni 200 ha, produkuje ryż i sery owcze, wreszcie piąta w Dörtjol (wil. Adana), o przestrzeni ca 200 ha, jest poświęcona plantacji pomarańczy, cytryn i bananów. Wszystkie te fermy wzorowe są własnością prezydenta państwa, a ich produkty zaopatrują obficie cztery sklepy w Ankarze i dwa w Stambule, przyczyniając się wydatnie do aprowizacji tych miast. Przede wszystkim jednak pełnią one wybitną rolę propagandową i wychowawczą w zakresie dźwigania rolniczej kultury państwa.

Z ważniejszych instytucyj hodowlanych mających swą siedzibę w Ankarze, należy tu jeszcze wymienić: towarzystwo dla spraw wełny kóz angorskich, tj. „tiftiku“, poświęcone produkcji tej szlachetnej wełny koziej i czystości rasy kóz angorskich, które choć prywatne, lecz przez państwo silnie popierane, prowadzi w Nallihan koło Ankary wzorową fermę hodowlaną kóz angorskich oraz fabrykę „Ankara sofu“, dalej prywatne towarzystwo poświęcone hodowli drobiu i pszczelarstwu, wreszcie wysoką komisję dla wyścigów konnych, pozostającą pod przewodnictwem zamłowanego hippologa prezesa rady ministrów Ismeta İnönü i klub jazdy, utrzymujący szkołę jazdy konnej.

Prócz wyższej akademii rolniczej, mają dziś swą siedzibę w Ankarze następujące inne uczelnie wyższe: wydział prawniczy założony w roku 1925, wyższa akademie pedagogiczna z roku 1932, trzyletnie liceum handlowe istniejące od roku 1933, oraz instytut higieny.

W czasie pobytu w Ankarze w rozmowach z różnymi osobistościami Turcji współczesnej, a także z przyjaciółmi i kolegami, którzy nie szczędzili swych szczerych komplementów pod adresem mocarstwowej Polski, i z uznaniem wspominali o czołowym stanowisku nauki w dzisiejszych rządach naszego państwa, miałem możność zebrać garść interesujących informacji o najważniejszych problematach państwowych i rolniczych w Turcji współczesnej, oraz w związku z tym o najnowszych inwestycjach. Najważniejszymi

zagadnieniami państwowymi są tam obecnie puryfikacja języka od obcych naleciałości oraz badania historii Turków, a o ważności tych zagadnień świadczy m. i. okoliczność, że sam Kemal Atatürk stoi dziś na czele towarzystw poświęconych badaniu tych spraw i że dla obu tych problemów odbywają się w Turcji rokrocznie oddzielne kongresy. Właśnie w czasie mego pobytu w Turcji obradował w Stambule w drugiej połowie sierpnia, kongres poświęcony sprawom językowym.

Z najważniejszych współczesnych zagadnień rolniczych w Turcji wymienić należy: sprawę urządzeń irygacyjnych na słonych stepach Anatolii środkowej w okolicach Konii, pozostających pod zarządem ministerstwa rolnictwa, sprawę importu i hodowli owiec merynosowych dla produkcji wełny czesankowej, sprawę produkcji bawełny, której służą specjalne instytuty badawcze i stacje doświadczalne, jak np. w Adana lub w Nasilli koło Smyrny, sprawę związanego z rolnictwem przez hodowlę merynosów i plantację bawełny przemysłu tekstylnego, któremu służy dziś w Turcji wiele nowych fabryk, jak np. w Stambule (1934), w Adanie, Kajseri i in.; dalej sprawę przemysłu cukrowniczego, któremu służą dziś cztery nowe cukrownie, a mianowicie cukrownia w Alpulli założona w roku 1925, w Uszak — 1926, w Eskiszehir — 1933, wreszcie w Turhal koło Tokat, którą w przejeździe do Samsunu, widziałem z okna pociągu już na ukończeniu. Do kompleksu omawianych zagadnień należy tak ważna sprawa, jak organizowanie przez Helk ewi i przez jego prowincjonalne komórki ruchu społecznego w państwie, ze szczególnym uwzględnieniem wsi. Kładąc główny nacisk na pogłębianie doświadczenia życiowego i ujawnianie talentów, działa się na wsi przez kursy dla analfabetów, organizowanie imprez teatralnych, przez broszury poświęcone codziennym zagadnieniom wsi i pracy na roli, wreszcie przez wymianę nasion kiepskich na szlachetne, drobiu pospolitego na rasowy, przez zakładanie pasiek, tępienie szkodników w sadach i ogrodach itd. Jak mnie informowano, ponad 10 000 młodzieży wiejskiej skupia się dziś w Turcji na gruncie Halk ewi.

W szeregu omawianych czołowych zagadnień rolniczych należy wreszcie wymienić jeszcze sprawy leśne i sprawy eksportu drzewa, którym służą bardzo liczne i przez państwo popierane tartaki, sprawę transportu produktów rolniczych, korzystających na kolejach tureckich z minimalnych stawek przewozowych, oraz sprawę dźwigania produkcji pszenicy, prowadzone przez ministerstwo rolnictwa i państwowy bank rolny. Odnośna pomoc ze strony państwa polega na regulowaniu cen na giełdzie zbożowej, będącej

odbiorczynią pszenicy od włościan. W związku z tą akcją pobudowano w Turcji — jak już o tym była mowa — duże państwowe spichrze zbożowe (silosy), objęte specjalną ustawą, dotyczącą pomocy państwa w obrotach handlowych pszenicą.

Z najnowszych poważnych inwestycji w Turcji, należy jeszcze wspomnieć o będących tam w czasie mego pobytu w stadium uruchamiania, następujących fabrykach: papierni w Izmit, szklarni w Stambule, oraz koksowni w Zonguldaku, nadto o silnej rozbudowie kolejnictwa. W ciągu pierwszego dziesięciolecia istnienia republiki tureckiej, wybudowano tam 2 213 km kolei żelaznych, a z rąk zagranicznych towarzystw wykupiono ca 1 664 km tych kolei. Od czasu mego poprzedniego pobytu w Turcji (1929) to jest w ciągu ostatniego pięciolecia, do dawniejszych połączeń kolejowych jak: Stambuł — Ankara, Ankara — Kajseri, Stambuł via Adana — Mardin, Bandirma — Smyrna, Smyrna — Afion Karahissar, Smyrna — Iğridir, Erzurum — Kars, przybyły nadto następujące linie kolejowe: Kajseri — via Siwas — Samsun, Ankara — Czankiri, Kajseri — Ulukiszla, Balikesir — Kütahya, Džebelbereket — Elasis, a w robocie znajdowały się nadto koleje: Czankiri — Zonguldak, Iğridir — Antalia, oraz Elazis — Diarbekir. W projekcie na najbliższą przyszłość znajdowało się połączenie kolejowe z Siwas do Erzurumu. W ten sposób połączono już Morze Śródziemne z Czarnym (Mersin-Samsun), a dotychczasowe częściowe połączenie prowincyj zachodnich ze wschodnimi (Stambuł—Elazis) będzie niedługo, przez projektowaną kolej łączącą Siwas z Erzurumem, faktem w pełni dokonany. Na tureckich liniach kolejowych, pociągi — zarówno pośpieszne, jak i osobowe — kursują sprawnie i punktualnie, ściśle według drukowanego rozkładu jazdy. O szybkości ich ruchu można się zorientować na podstawie szybkości, z jaką one kursują pomiędzy Stambułem (Hajdarpasza) i Ankarą (odległość 578 km), lub Ankarą i Samsunem (odległość 998 km). Otóż z Hajdarpasza do Ankary podróż pociągiem pośpiesznym trwa 14 godzin i 20 minut, zaś powrót 13 godzin i 55 minut; natomiast pociągiem osobowym podróż do Ankary trwa 17 godzin i 43 minuty, zaś powrót 16 godzin i 26 minut. Z Ankary do Samsunu podróż pociągiem osobowym trwa 33 godziny i 15 minut, zaś z Samsunu do Ankary 33 godziny i 45 minut.

Pociągi osobowe, kursujące na dalszych przestrzeniach, jedynie w niektóre dni tygodnia są zaopatrywane w wozy jadalne; w razie ich braku jednak, obsługa kolejowa, zaopatrzona w prowianty, dostarcza na życzenie pasażerów, oczywiście za opłatą, ciepłych posiłków z wozu służbowego, gotowanych na specjalnych kuchenkach.

Wozy kolejowe pociągów tureckich są czyste i wygodne, i przynajmniej dla laika różnią się od naszych wyłącznie odmiennym urządzeniem ustępów na higieniczną modłę turecką, tj. brakiem sedesów. Brak im nadto w klasach 1 i 2 naszych wygodnych podnoszonych oparć — materaców, umożliwiających niekrępowane spanie również w wozach niesypialnych. Z udogodnień na tureckich kolejach, dotyczących wyłącznie linii kolejowych po anatolijskiej stronie państwa, należy jeszcze wspomnieć o niedrogich biletach miesięcznych. Wobec dużej rozległości terytoriów Turcji (ogółem 764 ts. km kw.), przedstawiają one istotnie znaczne udogodnienie w komunikacji, tym więcej, że taki bilet miesięczny 2 klasy kosztuje zaledwie 25 tur. funtów, tj. niespełna 125 złotych.

Gdy mowa o europeizacji i kulturalnej ekspansji Turcji współczesnej, wspomnieć tutaj jeszcze trzeba o zagranicznych studiach całych zastępów więcej zaawansowanej naukowo i zawodowo młodzieży tureckiej, o czym świadczy m. i. okoliczność, że w ciągu ubiegłych lat pięciu, ponad 200 młodych Turków, stypendystów państwa, pogłębiało studia w najlepszych uczelniach i ośrodkach zagranicznych, by tym owocniej pracować następnie w kraju.

Zanim opuścimy już wreszcie piękną Ankarę, nie podobna nie wspomnieć tu o kilku jeszcze, interesujących europejskiego przybysza, szczegółach z życia tureckiej stolicy. A więc pełen komfortu i nowoczesnych urządzeń, choć nieco drogi hotel Ankara-Palas, wykwintna rosyjska restauracja Karpicza, konkurująca z doskonałą turecką restauracją Jildiz, wytworny bar oraz liczne i schludne kawiarnie, pozwalają dziś w Ankarze najwybredniejszym nawet gościom zagranicznym czuć się wygodnie, dobrze i przyjemnie. Tajemniczy i powabu pełen urok Orientu, podtrzymują w nowoczesnej stolicy dzisiejszej Turcji m. i. wieczorne melancholijne koncerty tureckie, odbywające się w ogródku miejskim (szehir bahce), oraz osobliwości takie jak np. doroczne święto obrzezania (Sünnet düğünü), obchodzone uroczyście w Ankarze w tymże ogródku miejskim, w czasie mego tam pobytu w dniu 16 sierpnia 1934 r.

Gdy w dniu tego święta obrzezania zapowiadanego przez miasto już od szeregu dni naprzód dużymi afiszami, przybyłem do shehir bahce w gronie tureckich przyjaciół, pierwszy główny akt tych dorocznych ceremonij był już ukończony. Malcy, a wśród nich także nieliczne spóźnione podrostki, wypoczywali w obszernej hali, po dwóch (głowami od siebie) w żelaznych łózkach, zasłanymych czyściutką pościelą i zasypanych podarkami, w otoczeniu

najbliższych rodzin i licznie przepływającej publiki miasta. Jedni w śnie głębokim szukali zapomnienia o swym pierwszym publicznym bólu, inni odporniejsi już z uśmiechem na milutkich lecz bolesny wyraz zdradzających jeszcze twarzach oglądali podarki i dzielili swe świeże troski z rodzeństwem i rodzinami, inni wreszcie krwawiąc jeszcze, poddawali się z płaczem dodatkowym zabiegom troskliwych lekarzy. A tymczasem tuż obok w ogrodzie, dla rozweselenia chłopców i ich rodzin, przy tłumnym udziale rozsiadłej przy stolikach publiczności, odbywały się do późnej nocy różne wesołe rozrywkowe imprezy, jak śpiewy, muzyka i tańce z pełnym wymownych ruchów i gestów smyrneńskim „zejbekiem“ na czele, jak wesołe monologi, jak wreszcie tak lubiane w Turcji i prowadzone równocześnie na dachu jednego z pawilonów zapasy atletów.

4. Stepy i osiedla środkowej Anatolii.

Ale pilno mi już było do terenów dalszych badań. To też skoro tylko po 10 dniach czekania otrzymałem pozwolenie tureckiego ministerstwa wojny na pobyt, studia i fotografowanie zwierząt w należących do strefy wojskowej wilajetach Erzurum i Kars, (niedostępnych nawet Turkom bez specjalnego zezwolenia naczelnych władz wojskowych), opuściłem w dniu 20 sierpnia przed południem Ankarę, kierując się do Samsunu. Towarzyszący mi na dworzec były minister rolnictwa profesor Ihsan Abidin, nie szczędził mi swych fachowych wskazówek, oraz cennych instrukcyj dotyczących pobytu na terenie strefy militarnej. Od władz wojskowych, z którymi zresztą w Ankarze nie stykano mnie w ogóle, nie dostałem do ręki żadnych papierów. Jedynie policja zaopatrzyła mnie w odpowiedni dokument (wesika) zaś dyrektor departamentu hodowlanego ministerstwa rolnictwa, w cenne polecające pismo do podległych mu urzędów. Tłumaczone na język turecki polecające pismo Polskiej Akademii Umiejętności, okazało się podobnie jak podczas pierwszej podróży, wysoce pomocne. Wyznaczony mi na towarzysza podróży i tłumacza przez ministra Muhlisa kolega hodowca, zawiódł w ostatniej chwili z powodu choroby, a ministerstwo wojny nie dało swej zgody, by zabiegający wobec mnie o to turecki hodowca i lekarz weterynaryjny z Erzurumu major Dżewat, który przed pięcioma laty był mi pomocny w Brussie, towarzyszył mi jako tłumacz na terenie militarnej strefy. Niemniej jednak zaopatrzony w wymienione pisma, oraz znając Turków

i jako tako dając już sobie radę z językiem tureckim, bez jakichkolwiek obaw wyruszałem w nieznane mi i dalekie strony Anatolii wschodniej.

Dzień odjazdu z Ankarą był chłodny i pochmurny, toteż cierpiał na tym pejzaż, który w Anatolii środkowej jest na ogół dosyć monotony. Wkrótce za Ankarą, na południe od linii kolejowej, po obu stronach wąskiego strumyka nad brzegiem którego tylko miejscami nieliczne wznoszą się wierzby, rozciągają się pasy pól uprawnych, lub też całkiem nagie i skaliste często wzgórze. Miejscami biegnie pociąg przez wąwozy, miejscami przez szersze nieco doliny, mieszczące pasy pól. Na polach przeważała ścierń zbożowa użytkowana jako pastwiska, poza tym urozmaicały je skąpe plantacje kukurydzy, słonecznika i fasoli. Wypalone od słońca i nadmiaru soli w glebie stepowe pastwiska zieleńły się tylko gdzieniegdzie. Młocka zbóż wykonywana prymitywnym dōgenem, dawała się obserwować na polach w całej pełni. Za Küczük Jozgat nowiutką od trzech lat zaledwie istniejącą osadą, mieszczącą wojskową fabrykę dynamitu i prochu strzelniczego, odbijającą jaskrawo od wypalonego stepu ładnymi murowanymi domkami, krytymi czerwoną dachówką, tor kolejowy wiedzie poprzez groźnie wiszące nad nim i zdające się grozić runięciem kamieniołomy i urwiska skalne. Jednak widoczne tu i ówdzie podmurowania więcej niebezpiecznych miejsc, oraz sztuczne betonowe rynny i ścieki służące do ściągania wód deszczowych, świadcząc o troskliwości kompetentnych czynników, rozpraszają płonne i przesadne obawy.

W dalszym ciągu jazdy krajobraz przybiera znacznie na dziwotliwości. Poprzez tunel za tunelem, przeplatane niekiedy wąziutkimi skalnymi wrotami, jedzie się wśród samych spiętrzonych głazów i wśród terenów, gdzie o rolnictwie mowy być nie może, a gdzie jedynie na zawałonych głazami i kamieniami ubogich pastwiskach, hodowla owiec i w szczególności kóz, może jako tako wegetować. Górskie strumyki były powysychane całkowicie, a jedynie w dolinach zieleńły się tu i ówdzie wąskie smugi skąpych drzew, krzewów i roślinności. Wijąc się mocno wśród skał o przepysznym kolorycie liljowym, żółtym lub czerwonym, opuszcza się wreszcie tor kolejowy z wysokich gór, wśród których od czasu do czasu spotyka się wioski, i biegnie wreszcie od wsi Kylynczlar doliną uprawną, która jednak będąc już po sprzęcie zbóż i w toku młocki, nie dawała oku żadnych większych wrażeń. Potem znowu wiedzie droga przez ciasne skaliste wąwozy, a dopiero nieco dalej, na prawo od kierunku jazdy, wyłaniały się na pierwszym planie pola i pastwiska ze stadami

bydła i tłusto ogonowych owiec, na drugim zaś rzeczka obramowana barwnymi, wiśniowo-czerwonymi pokładami skał i kamieni.

Od miejscowości Irmak położonej nad rzeką Kyzył Irmak, czas jakiś, a mianowicie aż do Jahszihan, jedzie się doliną i brzegiem tej potężnej rzeki. W pobliżu stacji kolejowej w Jahszihan, skrzyżujące dwukolne wozy anatolijskie na drewnianych osiach (kağny), imitowały ludzaco pracę jak gdyby motorów. Na dzisiejszych stepach Anatolii złudzenia takie nie są jednak przypadkowe. W danym przypadku wspomniane złudzenie doznało urzeczywistnienia zaraz przy następnym postoju pociągu w Kyrykkale, gdyż w tej nowej osadzie położonej wśród pól uprawnych, winnic, ogródów i topól włoskich, pracowały istotnie motory kilku wojskowych fabryk. Jeszcze w Mahmutlar obfita zieleń sadów i ogrodów oraz młyny wodne (degirmen) pięknie zdobiły pejzaż, ale wkrótce wjechał pociąg znowu w krainę wypalonych stepów, ożywionych jedynie stadami tłusto ogonowych owiec białych karamanów, angorskich i czarnych pospolitych kóz, czarnego i brunatnego bydła miejscowego, oraz grupami potężnych psów anatolijskich, białych, krótkowłosych, o charakterystycznych ciemnych, lwich maskach na głowach. Dopiero za długim tunelem w Czerikli, wiśniowo-czerwony koloryt gleby oraz czerwony względnie miedziany koloryt gór, był nowym barwnym urozmaicheniem pejzażu, ożywianego tutaj dużymi stadami przeciągających osłów.

Pomiędzy stacjami kolejowymi Czerikli i Jenijapan za mostem nad rzeką Delidze Irmak, dopływem Kyzył Irmaku, wjechał pociąg z wilajetu Ankara na terytorium wilajetu Jozgat i wiódł zrazu żyzną czerwono-glebą, lecz bezdrzewną doliną zbożową, która po sprzęcie młóconego wszędzie właśnie zboża, wykazywała na pniu już jedynie tylko łany kukurydzy, a na ścierniach i pastwiskach duże ilości kóz, nadaremnie szukających wody w wyschniętych mniejszych strumykach. Dopiero od Jerkøj, dzięki ogrodom warzywnym ciągnącym się wąską doliną, zazieleniła się trasa podróży, a po przebyciu licznych tuneli w drodze do Dżaferli, zieleńiła się ona nadal w obramowanej lekko zadarnionymi wzgórzami dolinie, skąpanej w zieleni winnej latorośli, topól i drzew owocowych, oraz w plantacjach słonecznika i konopi. Wkrótce jednak znikła bujna zieleń tej doliny, zwążając się w coraz węższą smugę, biegnącą tuż przy linii kolejowej. W okolicach Szefaatli, gdzie w pobliżu dworca kolejowego pod gołem niebem zalegały nieosłonięte stopy oraz setki worów zboża, ogrody i warzywniki ustępowały coraz więcej polom zbożowym.

Dochodziła godzina 20, gdy z powodu całkowitego ściemnienia trzeba było oderwać wreszcie oczy od pejzażu. W dwie godziny później przybył pociąg do Kajseri, skąd po godzinnym postoju, przy księżycowej lecz chłodnej nocy, ruszył w kierunku Siwas.

Gdy po dniu pełnym wrażeń i dobrze przespanej nocy zbudziło mnie wschodzące słońce, pociąg biegł znowu bezdrzewną zbożową doliną Kyzyl Irmaku i zbliżał się już do Kałyn, ostatniego postoju przed Siwas. Nad rzeką o niskim w tej porze roku poziomie wody i stąd, zwłaszcza w swym górnym biegu, nie sprawiającą wrażenia jednej z większych rzek anatolijskich, tylko miejscami dały się widzieć kępy przybrzeżnych wierzb. We wioskach zwracały na siebie uwagę płaskodache domy z kamienia i gliny, oblepione na zewnętrznych ścianach plackami ze zwierzęcych odchodów, suszonych w ten sposób na opał, i układanych następnie w półokrągłe kopki. W miarę zbliżania się do Siwas, rozszerza się coraz bardziej horyzont pól, porośłych wyżółkłą w lecie trawą, cofają się na plan dalszy nagie wzgórza, obramowujące równinę, wyłania się coraz więcej zieleni, z przewagą wierzby i topoli włoskiej.

Siedmiopiętrowe silo zbożowe sygnalizuje już bezpośrednią bliskość stacji kolejowej. Położone na wysokości ponad 1200 m rozciąga się miasto Siwas częścią na równinie, częścią na wzgórzu i tonie wśród drzew jak gdyby olbrzymiego ogrodu. Dźwięki wojskowej orkiestry witały na stacji nasz pociąg. Okazało się wkrótce, że przyjechał nim z Ankary do Siwas jeden z tureckich generałów, witany właśnie po opuszczeniu wagonu przy dźwiękach orkiestry, przez korpus oficerski i kompanię honorową. Przechodząc wzdłuż kompanii honorowej i podchodząc do grupy oficerów, pasza witał się podaniem ręki, z wszystkimi oficerami i podoficerami.

Po półgodzinnym postoju, wykorzystanym przez jadących na pospieszny ranny posiłek w restauracji dworca, pociąg ruszył w dalszą drogę cofając się, zrazu na zachód do Kałyn i kierując się stąd na północny zachód i wreszcie na północny wschód, do Samsunu. W mijanych wioskach od wczesnego ranka kipiało życie przy młockach, przy czym uderzała przewaga zatrudnionych kobiet. Ludność wiejska często grupowała się wzdłuż toru nowej linii kolejowej, i pozdrawiała przejeżdżający nasz pociąg; także na stacjach kolejowych dały się obserwować wielkie zbiorowiska ludzkie, które w tych odciętych nie tak dawno jeszcze od świata stronach, żyły w odosobnieniu, a dla których kolej żelazna jest jeszcze nowością. Od Kałyn na północny zachód tor kolejowy przecinał wąską dolinę Jildiz Irmaku, oraz wzgórza zadarnione wypaloną

trawą i porosłe zrzadka tylko odosobnionymi sosnami. Poza tym mknęło się naogół doliną zbożową, ubogą w drzewa i krzewy, której czarne ugory wskazywały na staranną uprawę roli. Miejscami pszenica była jeszcze nie skoszona. Na stepach pod ochroną psów pasły się duże stada czarnych kóz pospolitych (kył-keczi) i białych tłusto ogonowych owiec karamanów (ak-karaman). Poznany przygodnie w czasie tej jazdy lekarz kolejowy pokazywał mi z okien pociągu koło Subaszi nowoczesną wieś, w której — jak to podkreślał — kobiety pracowały przy młocce i na roli wspólnie z mężczyznami, podczas gdy dawniej, cały ciężar pracy — niemal wyłącznie — dźwigały one na swych spracowanych karkach. Lekarz ten opowiadał mi przy tym szeroko o dawniejszym zaniedbanju wsi tureckiej i o tym wszystkim, co się dzisiaj robi w Turcji dla podniesienia wsi i jej kultury.

W okolicach Czamłybel znaleźliśmy się znów w górach, wśród których krętymi pętłami i serpentynami przewijał się pociąg poprzez liczne tunele. Od charakterystycznej czerwieni gór malowniczo odbijały tam zielone kobierce i makaty, położonych w dolinach wiosek. Wychudzone i przeważnie nietypowe psy pasterskie tych wiosek, w szybkich susach dobiegały do pociągu i szczekając dopominały się kęsów chleba. Wieśniaczki tych okolic, do których od lat kilku dopiero wraz z nową linią kolejową zaczęła żywiej przenikać nowoczesna kultura Turcji, przyglądały się biegnącemu pociągowi obliczem, zakrywanym jeszcze chustkami, względnie czarszafami. W stadach obserwowanych zwierząt domowych brakowało już w tych okolicach kóz angorskich, — a jak mnie informowano, góry tamtejszych okolic silnie zadrzewione niską i rzadką sosną, obfitują w dziki.

Przed stacją kolejową Musaköj, znaleźliśmy się już na terytorium wilajetu Tokat. Na pastwiskach dały się obserwować stada czarnego i brunatnego bydła, białych owiec karamanów, oraz czarnych kóz pospolitych, na górach drzewa liściaste z przewagą dębiny i sosny, a w dolinach pszeniczne pola, ogrody i łąki. We wioskach wpadały w oko liczne topole włoskie, a na doskonałych glebach z uprawnych roślin, prócz złożonej w kopki pszenicy, kartofle, buraki cukrowe i konopie. Na stokach gór uderzał wysoki zasięg winnic, oraz uprawy pszenicy. Zielone kobierce roślinności na czerwonych glebach, a w pejzażu przepyszna gra barw głównie czerwonej, niebieskiej i zielonej, mieniących się przy blaskach słońca, budziły zachwyt.

Wkrótce jednak pogoda zaczęła się psuć. Po przedpołudniowym upale, południe było pochmurne, a gdy przelotnie schowało

się słońce, rozpuścił swe wodze zimny wiatr i huczał mocno. Z szumem wiatru mieszały się przy otwartych oknach pociągu smętne melodie tureckie, nucone przez jadących. Mimo równiny pociąg zataczał niekiedy aż potrójne nawet pętle. Minęliśmy Zile słynące z plantacji tytoniu, maku, oraz z produkcji jaj i skór. Od Zile jedzie się ku północy, zrazu wąską uprawną doliną, skąpaną w zieleni drzew i warzyw; następnie poprzez poszarpane i popękane góry skaliste o obnażonych skalistych trzonach i poprzez pejzaż utrzymany w popielatym tonie gleby, o szczytach gór gdzieniegdzie tylko skąpą posztych zielenią, o terenach obfitujących w złoża i kopalnie antymonu. Do miejscowości Turhal, słynącej z plantacji sprzedawanych tam za bezcen (5—7,5 kurusz, tj. ca 25—35 gr za sztukę) kawonów i melonów, oraz z będącej właśnie na ukończeniu obok kolejowego dworca wspaniałej cukrowni, dojeżdża się rozległą doliną.

Syty wrażeń i idąc za wzorem innych pasażerów, wziąłem się do skromnego posiłku obiadowego, złożonego z zabranego na drogę z Ankary prowiantu, oraz z kupionych w Turhal owoców. Przy tej sposobności miałem możność dostrzec, o ile praktyczniej wybierają się w drogę na dalsze dystanse świadomi swych stosunków Turcy, którzy wiedząc o tym, że pociągi na linii Ankara-Samsun nie codziennie bywają zaopatrzone nawet w podręczną kuchenkę, oraz w ciepłe i zimne posiłki, wydawane przez specjalną obsługę, wydobywali z własnych kosztów prowiantowych metalowe naczynia z sutymi potrawami, i konsumowali w ten sposób pełne i obfite obiady.

Z Turhal aż po Amasję prowadzi linia kolejowa doliną rzeki Jeszil Irmak, zrazu, po Samurczaj, przez tereny górzyste jednak bezskalne, pokryte mniej lub więcej gęstym drzewostanem. W miarę rozszerzania się doliny, dają się obserwować, przy niskich na ogół brzegach rzeki, gęsto rozmieszczone turbiny wodne, służące do sztucznego nawadniania ogrodów warzywnych. Umocowane na obwodzie olbrzymich kół czerpaki, wlewają pobraną z rzeki wodę do rynien, rozprowadzających ją następnie do pobliskich warzywników. Niekiedy dolina zwęża się w formie wąwozu nie mieszczącego nic więcej prócz rzeki, a wówczas pociąg mknie poprzez rozliczne tunele zboczami przepięknych gór skalistych. W miarę przerywanego rozszerzania się wąwozu w dolinę, pojawiały się nad rzeką pola zbożowe, a na nich na pniu len i kukurydza, oraz ogrody warzywne, nawadniane sztucznie z pomocą wspomnianych turbin. O godzinie w pół do 3 po południu, na godzinę drogi przed słynącą z jabłek, kawonów i bami (jarzyna) Amasją, stolicą dalszego wila-

jetu, na terenie którego znaleźliśmy się wkrótce za Turhal, termometr wykazywał w pociągu 26^o C. Przebrnąwszy cały długi kompleks licznych tuneli, rozmieszczonych na przemian ze skalnymi wąwozami i wiszącymi nad nimi niekiedy skalnymi urwiskami, imitującymi czasem przepiękne baszty, mijał pociąg następnie zielone od warzywników, winnic i sadów wieś, obfitujące w uroczu wśród topoli położone młyny, w liczne wspomniane już wyżej turbiny i rojne od stad pospolitych kóz. Cofnęły się potem na dalszy horyzont już to skaliste, już to bezskalne i słabo krzakami zadarnione góry, rozszerzyła się znacznie dolina rzeki i znów wyłoniła się wieś, jak gdyby przedłużenie wsi poprzedniej, ale niewątpliwie inna, mniej urocza, choć obok wypalonych stepów z bydłem i kozami, obfitowała ona również w zielen drzew i warzywników.

Od Kajabasy, gdzie przy pochmurnym niebie przypiekało słońce, pociąg mknął już wprost do Amasji. Po drodze domki gliniane z szarej niepalonej cegły, kryte dachówką, tonęły w zieleni sadów i ogrodów. Wśród mieszanego bydła miejscowego, zwracały tam na siebie uwagę tak rzadkie w Turcji osobniki o plamistej maści holendrów. W jakiejś podmiejskiej wiosce — zdala od stacji — zatrzymał się pociąg, by zabrać dwóch żołnierzy, spieszących do miasta. W czarszafie na twarzy, spiesząca na osiołku do miasta kobieta, sprawiała dość zabawne wrażenie. W miarę zbliżania się do miasta pas ogrodów i sadów, obfitujących głównie w jabłka i orzechy, staje się coraz więcej zwarty, i każdemu niemal domkowi odpowiada w korycie rzeki charakterystyczna turbina. Za tunelem gdzie dolina się zwęża, już tylko wąski pas zieleni wiję się wśród obfitujących w grotty skał, aż wreszcie w dalszym przedłużeniu tego zielonego pasa wyłania się malowniczo wśród nagich skał ukryta Amasja — jeden wielki ogród.

W porównaniu z Sabandża, tutaj w Amasji dojrzewają owoce o cały miesiąc później. Orzechy włoskie były jeszcze zielone, a z innych owoców sprzedawano na stacji zielone jeszcze brzoskwinie, gruszki i nieco tylko winogron. W odróżnieniu od zachodniej Anatolii po Ankarę włącznie, także proces modernizacji postępuje w Amasji nieco wolniej, o czym świadczą liczne jeszcze czarszafy, przysyłające oblicza niewiast, przechadzających się na stacji kolejowej wzdłuż pociągu. Zaraz za stacją, zanim pociąg w dalszej drodze w kierunku Samsunu przejeżdżał skrajem skalistego wąwozu wzdłuż miasta, wiązały oko resztki murów dawnego zamku (kale), rozsiadłego tam ongiś na pionowo stromych zboczach skalistych gór, tak typowych dla tego starego miasta — ogrodu, rozciągniętego w dwóch skalistych wąwozach.

Jeszcze dość długo za miastem aż po Bogazköj, ciągną się sznury lub kępy topoli włoskich i zielone latem ogrody, przechodzące następnie w rozległą dolinę zbożową, w której na pniu stały jeszcze łany słonecznika, a pszenica złożona po skoszeniu w nasze koniczynne kopki, czekała na zwózkę i młockę. W Hadzybajram, położonym w terenach górskich i pastwiskowych, o wąskich przełęczach i skąpej zieleni, pokazywano mi z okna pociągu nowe kopalnie węgla, czynne zaledwie od lat 15.

Poprzez kilka tuneli przybyliśmy następnie do Hawzy, położonej już w pobliżu gór Pontu, na terenie wilajetu Samsun. Miejsco-wość ta słynie z term, przypominających gorące źródła i zdrowotne kąpiele Brussy, oraz z pięciu dużych młynów. W pagórkowatych terenach znajdujących się tam pod uprawą zbóż, wysoko pięły się na zboczach plantacje kukurydzy i słonecznika. Drzew w Hawzie niewiele, ale w oddali więcej ku północy dają się spostrzegać zwarte ich kompleksy już w potężnych górach Pontu, spowitych czarnymi chmurami, zwiastunami częstych tam deszczowych opadów i burz. Gdy pociąg przedarł się tunelem przez górę Kara-dağy i zatrzymał się następnie w Ladik, krople deszczu spływały już rzęsście po jego szybach.

Potężne i bardzo wysokie góry Pontu wśród których znaleźliśmy się teraz, zalesione drzewostanem wyższym niż ten, jaki spotykałem gdziekolwiek dotąd w Anatolii, przytłaczały w dziwny sposób, a przeciągłe gwizdy pnącej się coraz wyżej i ciężko dyszącej lokomotywy, potęgowały ponury nastrój wieczorny. Nastrój ten mimo woli udzielał się myślom, które na tle znużenia przewlekłą podróżą oraz przytłaczającego wrażenia, jakie sprawia środowisko niebotycznych gór Pontu, po bezpośrednim przeniesieniu się w nie z suchej i upalnej kontynentalnej Anatolii środkowej, po raz pierwszy zaczęły poddawać się jakiemuś dziwnemu, chwilowemu niepokojowi. Cisnęły się więc do głowy myśli o dziewiczości i dzikości obserwowanej właśnie przyrody, dopiero przed paru laty zakłóconej pierwszym gwizdem parowozu i łoskotem kolei żelaznej; o odcięciu od świata, od południa potężnymi pasmami gór, a od północy często groźnym Morzem Czarnym, i o tym wreszcie, że przecież znajdowałem się dopiero w początkach drogi w nieznane i jeszcze trudniej dostępne okolice Anatolii, gdzie już nie tylko wzrokiem z okien izolowanego od otoczenia pociągu, ale całkiem bezpośrednio, wypadnie zetknąć się nie tylko z całym pięknem, ale też i z całą grozą, więcej dziewiczych okolic Turcji.

Kawak, miejscowość położoną na zboczu wysokich wzniesień, już tylko godzina jazdy dzieli od Samsunu. Wśród przepięknej

wysokości zalesionych gór przesywał pociąg tunel za tunelem, a wyłoniony na chwilę spoza chmur księżyc, jedynie na krótko rozpraszał ciemności i uśmiechem swego blasku łagodził ponury nastrój. Dopiero gdy późnym wieczorem po 33 godzinach jazdy, przybył wreszcie pociąg do Samsunu i zatrzymał się na stacji położonej tuż nad morzem, rozpierchły się ponure myśli i całkowicie poprawił się nastrój. Wieczorny ruch portowego 40 000 ludności liczącego miasta, dobre wieczorne oświetlenie ulic, oraz pięknego skweru, rozciągniętego nad samym brzegiem szumiącego morza, a nadto dźwięki muzyki tureckiej, płynącej ze skweru i rozbrzmiewającej też z rozlicznych płyt patefonowych, działały ożywczo.

5. Samsun.

Z okna pokoju w czyściutkim hotelu Lüks, roztaczał się uroczy widok na nadbrzeżny skwer i rozległy horyzont morza, upstrzonego stojącymi na kotwicach okrętami, oraz mnóstwem żaglowców i łodzi. Z rozkoszą wchłaniała pierś ożywcze słońce powietrze, a z trudem tylko odrywał się wzrok od uroczego pejzażu i mieniącego się w blaskach słońca kolorytu morza.

Z pomocą młodego i sympatycznego tłumacza dra Rafet Ahmeta kierownika miejscowego instytutu dla zwalczania nagminnej w tych stronach malarii, składałem oficjalne wizyty, zbierałem fachowe informacje w odnośnych urzędach i u miejscowych specjalistów z mej dziedziny, odwiedzałem interesujące mnie obiekty hodowlane, jak starą rzeźnię miejską, piękny tor wyścigowy itd., oraz zwiedzałem naprawdę piękne swym położeniem miasto i jego osobliwości. Rozciągnięty wzdłuż morza na tle łagodnych od południa wzniesień, oraz wysokich na dalszym planie gór Pontu, sprawia Samsun jaknajlepsze wrażenie, i ze wszystkich znanych mi miast Turcji obok Ankary i Erzurumu, najwięcej przypadł mi do serca. Malowniczo tuż nad morzem rozciągnięty piękny wspomniany skwer, z najładniejszym z oglądanych dotąd w Turcji pomnikiem Kemala Atatürka, przedstawiającym go na wspiętym do ataku rumaku, obfitujący we wzorzyste klomby oraz w egzotyczne strojne kwieciami oleandry, a nadto w agawy, platany, akacje, kasztany, oraz cyprysy z pelzającymi po nich bluszczami, jest prawdziwą ozdobą tego miasta. Schludne i dobrze brukowane ulice i uliczki, solidne domy, okazałe i nowe nadmorskie magazyny tytoniowe, gromadzące najlepsze tytonie tureckie „Samsun“ i „Bafra“, ładny nadbrzeżny i w ramach skweru położony gmach naczelnych

władz wilajetu, piękna stara i stylowa wieża zegarowa na jednym z placyków miasta i w. in., zasługują tu na wzmiankę, gdyż łącznie z malowniczym skwerem i bajkową panoramą morza, składają się na piękną całość Samsunu. Miło uderzył mnie drobny szczegół świadczący o higienie tego miasta, a mianowicie staranne dezynfekowanie i opalanie nad płomieniem, poszczególnych instrumentów, w miejscowej fryzjerni.

Dzięki uprzejmości dra Rafet Ahmeta, zwiedzałem pozostający pod jego kierunkiem instytut dla zwalczania malarii i zebrałem o tych ważnych w Turcji sprawach garstkę wiadomości. Główny instytut dla zwalczania malarii mieści się w Turcji nad Morzem Śródziemnym w miejscowości Sejhan, w wilajecie Adana, a oddziały jego znajdują się w Ankarze, Antalyi, Ajdin, Brussie, Eskiszehir, Konii, Kodżaeli koło Izmit, w Manisie, Stambule i wreszcie w Samsunie. W czasie od marca do 22 sierpnia 1934 zbadano w Samsunie na malarię 68 752 osób i przeprowadzono 34 266 analiz krwi. Na terenie wilajetu Samsun, pozostaje w leczeniu około 20 000 osób, przy czym 6 lekarzy i 40 niższych funkcjonariuszy higieny przez 20 dni w miesiącu przebywa stale w rozjazdach. Dwa razy w roku instytut przeprowadza ogólne badanie całej ludności wilajetu. Dla walki z malarią prowadzą instytuty wszelkiego rodzaju propagandę, a to z pomocą odczytów, wydawnictw i afiszów, tablic itd. W entomologicznych laboratoriach prowadzi się w tych instytutach naukowe badania nad różnymi lokalnymi nieraz odmianami malarii. W Samsunie np. występują następujące odmiany komarów będących rozsadnikami tej choroby: *anopheles maculipennis* występujący w dwóch odmianach, *anopheles sinensis*, *anopheles bifurcatus*, *anopheles plumbeus* i *anopheles elutus*. Ciężej chorych leczy się w poliklinice instytutu, przy czym leczenie malarii, podobnie jak wszystkich innych nagminnych chorób w Anatolii, jest w Samsunie bezpłatne. Także sam dr Rafet Ahmet, z takim zapałem i z bardzo dobrymi wynikami walczący z plagą malarii, znajduje się niestety w jej szponach.

Gdy w ostatni wieczór pobytu w Samsunie odwiedziłem sympatycznego doktora, z tarasu jego mieszkania po raz pierwszy za cały czas pobytu w Turcji, nie bez wrażenia wsłuchiwałem się w melodie dzwonów płynące z sąsiedniego katolickiego kościółka, pozostającego pod opieką francuską. Na zaproszenie doktora i jego małżonki Niemki, spędziliśmy resztę mego ostatniego wieczoru w Samsunie w małym ogródku miejskim, na tak lubianych w Turcji akrobatycznych popisach, gdzie na następny wieczór zgrabny młody linoskoczek zapowiadał zwyczajem tureckim największą

atrakcję swej sztuki, a mianowicie zarzynanie jagnięcia w czasie popisów na wysoko rozpiętej linie.

Przed nocą jak zawsze w Samsunie, pobiegłem jeszcze nad morze i zapuściwszy się w nie po długim pomoście jak najgłębiej, dnia tego nie tylko łykałem ożywcze powietrze, ale baczniej niż zwykle wsłuchiwałem się w szum morza i kontrolowałem jego taflę, po której nazajutrz miałem płynąć do Trapezuntu (Trabzon), odległego od Samsunu o 289 mil morskich, tj. o 535 km.

6. Północne brzegi Anatolii.

Była nazajutrz godzina 13, gdy udałem się do portu, aby dostać się na turecki statek „Vatan“ (ojczyzna). Pewną emocję potęgowały nie tylko wiadomości o burzliwości Czarnego Morza na tym zwłaszcza odcinku, oraz o szalejącej przed paru dniami burzy morskiej, ale nadto w szczególności okoliczność, że ani w Samsunie, ani w Trabzonie, ani w ogóle nigdzie wzdłuż całego północnego wybrzeża Anatolii, wobec naturalnego charakteru tych portów, statki nie przybijają do brzegu. Pozbawione bezpośredniego zetknięcia z lądem, zatrzymują się one na pełnym morzu, skutkiem czego nieraz dość daleko wypada do nich podjeżdżać łodziami, co przy niespokojnym morzu bywa niekiedy bardzo przykre i niebezpieczne, a przy burzliwym, wprost nawet niemożliwe. Stosunki te, panujące na Morzu Czarnym w Turcji, charakteryzuje w sposób dość wyraźny choć dowcipny, przysłowie tureckie, które powiada, że jedynym pewnym portem Morza Czarnego jest w Turcji sierpień, jako miesiąc najmniej burzliwy. W okresach burzliwych zdarza się np., że okręty zdążające ze Stambułu do Hopa lub z powrotem, z powodu skalistości wybrzeży lub mielizn, muszą krążyć po morzu jaknajdalej od północnych brzegów Anatolii tak długo, dopóki nie uspokoi się morze na tyle, że można w którymś z portów opuścić kotwicę, oczywiście zawsze zdala od wybrzeża. Czasem znów zdarza się, że pasażer jadący np. z Hopa lub z Trabzonu w kierunku zachodnim do któregoś z bliższych portów, musi jechać okrężnie, a więc do któregoś z dalszych portów i z powrotem, nie chcąc lub nie mogąc ryzykować przejazdu łodziami po spienionych falach morza.

Nadomiar tego wszystkiego, znajomi w Samsunie odradzali mi jazdę „Vatanem“ jako statkiem starym i niedużym, a w agencji okrętowej przy wydawaniu biletu radzono mi całkiem samorzutnie, bym zaczekał do następnego dnia na nowy i jeden z największych

statków tureckich „Kara Deniz“ (Morze Czarne). Ale żądny wrażeń i spiesząc na teren badań, zdecydowałem się jechać „Vatanem“. Zresztą był jeszcze przysłowiowy sierpień, i po ostatniej niespodzianej burzy, morze było spokojne. Dojazd do statku odbyłem motorówką, przy lekko tylko rozkołysanych falach. Niemniej jednak mimo spokojnego morza, emocjonujące było wskakiwanie na pełnym morzu z rozkołysanej i balansującej na linie łodzi, na mały pomost schodków okrętowych. „Udało się“ to nawet lekko i zgrabnie z pomocą hamalów (bagażowych), z których jeden w łodzi, drugi na schodkach, w odpowiednich momentach rytmicznego dobijania balansującej łodzi do pomostu schodków, ułatwiali przeskok, a następnie już bez tej rytmiki, niekiedy po prostu ponad wodą, przetrzucali bagaże. Teraz dopiero uświadomiłem sobie w całej pełni własną lekkomyślność, polegającą na niezamykaniu waliz na klucz, oraz na zapinaniu tobołów z pomocą szpilek. Mówiono mi bowiem o wypadkach otwierania się bagaży przy tego rodzaju przetrzucaniu ich ponad wodą, i bezpowrotnego nieraz oczywiście wysypywania się ich zawartości w głębiny morskie. Na tle tych stosunków, omówionych tu jedynie w ogólnym zarysie, projekt wybudowania w Samsunie w najbliższej przyszłości nowoczesnego portu, jakimi rozporządza Turcja np. w Stambule i w Smyrnie, jest tam witany radośnie.

Dzień wyjazdu z Samsunu do Trapezuntu był gorący i parny, pogoda była piękna, niebo czyste z nielicznymi drobnymi białymi, względnie szarymi obłokami. O godzinie 14 statek ruszył na wschód. Projektując powrotną drogę z Karsu autobusem przez Erzurum, Erzindżan, Siwas i Ankarę, długo żegnałem wzrokiem Samsun, którego nie spodziewałem się oglądać rychło ponownie. Jako jeden z trojga tylko zagranicznych pasażerów, wkrótce zaznajomiłem się z uprzejmym komendantem statku i z sympatycznymi kapitanami. Zaprosili mnie na swój kapitański pokład, oddali do dyspozycji swe znakomite teleskopy i lornetki. Toteż mając całkowitą swobodę ruchów na całym statku, mogłem doskonale obserwować czarującą panoramę północnego wybrzeża Anatolii i lesistych gór pontyjskich. Dowiedziałem się też o różnych szczegółach dotyczących „Vatana“ i jego ruchów na morzu. Statek ten pochodzenia niemieckiego bynajmniej nie jest tak mały jak sądziłem, gdyż pojemność jego wynosi 4 500 ton. Zdobyty przez Francuzów na Niemczech w czasie wojny i kupiony następnie we Francji przez Turcję, po 30 latach służby w Niemczech i we Francji, oraz po 10 latach służby w Turcji, miał przed sobą jeszcze tylko 10 lat egzystencji. Płynęliśmy nim z szybkością 8—10 morskich mil angielskich, tj. z szybkością około

15 km na godzinę, w odległości ca 10 km od brzegu Anatolii, z tym, że nazajutrz mieliśmy się przybliżyć doń jeszcze więcej. Przy minimalnej głębokości morza wynoszącej dla Watana 6 m, posuwaliśmy się przeważnie na głębokości 15—20 metrów. Barometr zapowiadał pomyślny przebieg podróży, morze było spokojne, wykazywało jedynie tylko drobne zmarszczki, bez jakichkolwiek widocznych białych grzyw fal na powierzchni. Piękną panoramę pokrytych liściastym drzewostanem gór Pontu, mieliśmy przed oczami stale. Przy zachodzie słońca (o godzinie 18—18,30), tafla morza, która z bliska była czarna lub ciemno-szafirowo-czarna, w oddali srebrzyła się precudnie. Wkrótce księżyc zaczął rzucać swe wspaniałe blaski, a przy księżycu i ciepłym powietrzu, jedynie całkiem leciutki wietrzyk zrywał ożywcze poddmuchy. Niepotrzebnym dysonansem tej robinzonady były liczne ślady i następstwa ukłuć moskitów i komarów i zdaje się także pajaków, które w ostatnią noc po swojemu żegnały mnie w pięknym Samsunie, wprowadzając jad, osłabiający przejściowo organizm.

Na godzinę przed północą statek zatrzymał się po raz pierwszy naprzeciw miejscowości Fatsa, położonej w zatoce na tle skąpanych w zieleni gór Pontu. Mrowie łodzi obległo wkrótce nasz statek, zaczął się przeladunek towaru i ludzi, odbywający się w atmosferze charakterystycznego zgiełku i nawoływań. Syty wrażeń i osłabiony jadem moskitów, nie czekając ruszenia statku w dalszą drogę, ułożyłem się do snu w wygodnej i obszernej kabinie, na górnym pokładzie statku (jukarda). Następnego postój w Ordu przespałem, a gdy obudziłem się po godzinie 6 rano, zatrzymaliśmy się właśnie naprzeciw miasta Gireson. Piękną jest panorama tego miasta, położonego w płytkiej zatoce, częścią na dnie, częścią na zboczach głębokiego górskiego siodła, zalesionych i we mgłę spowitych, gór. Za miastem, na tylnym środkowym jego planie, wylania się charakterystyczna góra z pozornie wąskim ukośnym wrębem na szczycie, który, jak się okazuje w ciągu dalszej drogi, jest jedynie imitowany w ten sposób przez odpowiedni zbieg sąsiednich szczytów górskich. Na pierwszym planie na lewo, na szczycie góry o zboczach pozostających w kulturze owoców i obfitych tu plantacyj tureckich orzechów (fyndyk), wznoszą się ruiny zamku, a niżej piękne gmachy z meczetem o strzelistym minarecie pośrodku. Budynki miasta są przeważnie piętrowe i nowe. Na wybrzeżu, dobrze dzięki lornecie widoczne, zalegały potężne stopy i warstwy suszonych orzechów, będących głównym przedmiotem eksportu z tych okolic.

Płosząc pływające wokół statku mewy, ruszyliśmy po 3 godzinnym postoju w dalszą drogę, a w 2 godziny później mijaliśmy małe

nadmorskie miasteczko Tirebolu, położone częścią na wybrzeżu, częścią na zboczach, którego białe domy kryte przeważnie czerwoną dachówką, żywo odbijały na tle potężnych masywów zalesionych gór. Spokojne życie miasteczka omijanego przez większe statki, można było obserwować przez lornetkę jak na dłoni, zaś w górach Pontu w dalszym ciągu jazdy, były widoczne lasy o różnych odcieniach zieleni liściastego drzewostanu. O pół do trzeciej po południu zatrzymaliśmy się przed Vakfi Kebir (Fol), gdzie przy spokojnym morzu i lekkim jedynie balansowaniu łodzi, wsiadanie i wysiadanie ludzi oraz przeładunek towaru, odbywały się sprawnie i bez komplikacji. Małe miasteczko Fol, obejmujące niewiele przeważnie piętrowych murowanych i dachówką krytych domów, leży na samym wybrzeżu, a tylko nieliczne domy wznoszą się pojedynczo na niższych stokach wysokich gór, na których wśród bujnej zieleni drzew liściastych, rozciągają się ciemniejsze w kolorze lasy tureckich orzechów, a nadto także winnice i łąny kukurydzy.

Zbliżała się godzina piąta, gdy z odległości 36 km zarysował się na widnokręgu, widoczny z oddali Trabzon. Płynęliśmy teraz na głębokości 85 m, w odległości zaledwie 500 m od brzegu. Góry, które za Vakfi Kebir były zrazu skąpiej zalesione, wykazywały znowu gęste i bujne zielone poszycie. Minęliśmy już Polatane, położone w głębokiej i dobrze od zachodu osłoniętej zatoce, w której w wypadku burz i niemożności wjazdu do Trabzonu, szukają statki niekiedy schronienia. Polatane słynie nadto z dużych plantacji tytoniu i z dużej produkcji masła. Słońce przeciskające się z pomiędzy ciężkich chmur, wiszących nad całą okolicą, przypiekało silnie i nadawało morzu charakterystyczny czarno-stalowo-srebrny koloryt. Liczne żaglowce ukazujące się przy brzegu, zwiastowały bliskość Trapezuntu. O godzinie 18 zaszło słońce, a w 10 minut później wynurzył się Trabzon, widoczny już jak na dłoni. Duży i silnie rozbudowany, o jasnych murowanych piętrowych i przeważnie dachówką krytych domach i gmachach, o strzelistych minaretach i okrągłych wieżycach starych greckich i ormiańskich kościołów, przedstawia się Trapezunt znacznie okazalej aniżeli Samsun.

Płynęliśmy w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od brzegu, wzdłuż całej panoramy miasta. W pierwszym odcinku tonie ono w powodzi drzew i cyprysów, na tle zalesionych i warzywnych wzgórz, zaś za potężnym i częściowo podmytym cyplem skalnym, mieszczącym na swym grzbiecie sygnalizującą właśnie nasz wjazd latarnię morską, oraz oświetlony rzęście ogród kawiarniany, wyłania się drugi odcinek miasta, na tle i stokach nagiej prawie góry,

ze sznurem majestatycznych cyprysów przydrożnych u wylotu miasta. Raz jeszcze pobiegłem na górny pokład statku, by rzucić okiem na pejzaż cały, na poszarpane brzegi tego starożytnego i ongiś tak potężnego grodu, zapuszczającego głęboko w morze charakterystyczne cyple i mierzeje, na czerwień nieba na zachodzie, na ciemny błękit pontyjskich gór, na piękny i barwny koloryt miasta, na dymiące zdala od brzegu statki, i roje podjeżdżających ku nam łodzi, wreszcie na tłumy mieszkańców Trabzonu, zebrane w porcie i na terasie skalnej, witające nas setkami wyciągniętych ku nam rąk i powiewających białych chusteczek. Uściśnąłem raz jeszcze dłonie sympatycznej oficerskiej załogi statku, poczem możliwie zgrabnie i już odważnie, przy spokojnym zresztą morzu, wskoczyłem do motorówki, niespokojny jeszcze tylko przez czas jakiś, o całość przerzucanego w zgiełku bagażu. Z uczuciem ulgi i radości stanąłem wreszcie na lądzie, mając za sobą znaczny odcinek drogi, którą przychylny los pozwolił mi przebyć, w tak dobrych atmosferycznych warunkach.

7. Trabzon.

Oddawszy przy wyjściu z przystani wesikę dyżurującym funkcjonarjuszom policji — gdyż jest w Turcji zwyczajem, że przez cały czas pobytu w poszczególnych miastach, policyjny dokument przybysza pozostaje u miejscowych władz policyjnych, — zygakowatymi schodkami po zboczach stromej skały, wydostałem się wraz z falą ludzką na ulice miasta. W najlepszym hotelu Trabzonu, tj. w „Jeszil Jurt oteli“, otrzymałem czysty pokój z widokiem na obsypane bujnym czerwonym kwieciami oleandry, rosnące w schludnie czystym skwerze miejskim, gdzie przy blaskach światła i przy czarnej kawie zebrana publiczność miasta, wsłuchiwała się w smętne tony muzyki, podawanej przez głośnik z płyt patefonowych. Chociaż podróż morską odbywałem w tak idealnych warunkach, i bez żadnych morskich przygód, niemniej jednak, już to skutkiem intoksykacji spowodowanej jadem wspomnianych ukąszeń owadów, już to pod wpływem nieznośnie parnego i gorącego powietrza panującego w Trabzonie, czułem się po przybyciu do hotelu tak zmęczony i „podminowany“, że chwilami miałem niemiłe uczucie, iż silnie tętniąca krew rozsadzi naczynia.

Nazajutrz odwiedziłem sympatycznego Hassana, dyrektora naczelnego urzędu hodowlano-weterynaryjnego wilajetu, i wspólnie z nim oraz młodym handlowcem Osman Oğuzlu zade, służącym mi

Portowe miasto Gireson w północnej Anatolii, między Samsunem i Trapezuntem, słynne z wywozu orzechów tureckich (zdjęcie autora)



Fragment nadmorskiej części Trapezuntu (zdjęcie autora)

Wschodni odcinek Trapezuntu (zdjęcie autora)





Fronton kościoła Aja Sofia z czasów Cesarstwa Trebizondy w Trapezuncie (zdjęcie tureckie)



Cypel skalny w Trapezuncie, podmyty przez erozję morską (zdjęcie autora)



Przeprawa przez góry Zihana (2 300 m) na drodze z Trapezuntu do Erzurumu (zdjęcie autora)

przygodnie za tłumacza, składałem wizyty i zbierałem fachowe informacje. W dniu tym wraz z całą śmietanką miasta, witaliśmy na pokładzie statku „Kara Deniz“, znanego mi już z Ankary Ministra rolnictwa prof. Muhlisa, który ze Stambułu zmierzał statkiem do Hopa, skąd na inspekcję stosunków rolniczych, do wilażetów Kars i Erzurum, dokąd w ślad za nim zapowiedział swój przyjazd także prezes ministrów İsmet İnönü, na którego przybycie kończono już właśnie w Trapezuncie stawiać triumfalne bramy.

Jak przystało na ojca współczesnego rolnictwa tureckiego, minister Muhlis, który podobnie jak ja, zdążył w te strony po raz pierwszy w życiu, jechał w stroju sportowym, w butach z cholewami na nogach i w tak modnym dziś w Turcji obok kapeluszy, kaszkiecie na głowie. Był bardzo uprzejmy, a gdy się dowiedział o nieobecności wyznaczonego mi przez niego w Ankarze tłumacza i towarzysza podróży, zaniepokoił się o dalsze losy mych badań w strefie militarnej.

Korzystając z dłuższego postoju statku w Trabzonie, na propozycję walego, podpłynęliśmy wszyscy wraz z ministrem reprezentacyjną motorówką walego do brzegu, skąd przy zachowanym w Trabzonie przez ministra *incognito*, udaliśmy się spacerem do kawiarni położonej wysoko na skalnym cyplu, nad morzem. Piękne kobiety Trabzonu przyglądały się nam, niestety nie zawsze odsłoniętym obliczem, ale jak to jest jeszcze powszechnym zwyczajem w tamtych stronach, jedynie swymi czarownymi dużymi oczami, tak silnie uwydatniającymi się swą czernią w alabastrowym skrawku oblicza, odciętym od otoczenia czarnym nakryciem głowy. Informowano mnie w Trapezuncie, że to uporczywe zasłanianie tam twarzy czarnymi szalami wzgl. chustkami przylegającymi od góry ściśle do czoła, a od dołu upinanymi, lub podtrzymywanymi ręką poniżej oczu, wiąże się z pretensjonalnością kobiet Trapezuntu, które słynąc szeroko ze swych pięknych migdałowych oczu, rzekomo dbają w ten sposób o odpowiednie podkreślenie ich wdzięku. Nie wdając się tu w ocenę słuszności przytoczonych informacji trzeba jednak stwierdzić, że piękne kobiety Trapezuntu spacerują po ulicach miasta bez uśmiechu i bez cienia kokieterii. Zarówno w Trapezuncie jak w ogóle na wschód od Ankary, stosunki towarzyskie i obyczajowe nie są tam jeszcze nawet tak „swobodne“ za jakie uchodzą w Trapezuncie, odnośne stosunki panujące w Ankarze i na zachód od niej, choć w oczach naszych są one i tam jeszcze bardzo powściągliwe. Na ulicach Trabzonu nie spotyka się np. kobiet idących razem z mężczyznami, a również mężczyźni nie gromadzą się wspólnie z kobietami ani w kawiarniach, ani w restau-

racjach. Podobno straconą w opinii publicznej miasta byłaby dziewczyna, przyłapana na wymianie listów z mężczyzną lub, która ważyłaby się spacerować z nim po ulicach miasta. Poza małżeństwem i takimi stosunkami mężczyzn z kobietami, które pozostają w Turcji pod ścisłym rygiem przepisów i kontrolą władz, mężczyzna w Trapezuncie może jedynie tęsknić za kobietą, jak to wyraża smętna muzyka turecka i śpiewane przy niej melancholijne piosenki Wschodu, osnute na tle takiej właśnie tęsknoty. Wieśniaczki z okolic Trapezuntu nie zasłaniają ponoć twarzy jedynie wobec mężczyzn tej samej wsi, natomiast wobec przybyszów z miasta zasłaniają swe oblicza z całą precyzją, aby pokazać, że przecież i im także nie są obce „więcej kulturalne“ obyczaje miejskie.

Gdy wspólnie z moim uprzejmym tłumaczem urządziłem pewnego dnia taksówką przejażdżkę dla zwiedzenia osobliwości miasta i jego peryferyj, miałem możność przekonać się, że już w Trabzonie stosunki dla obcych są mniej swobodne. Przy przejeździe z centrum na peryferie, policjant służbowy dopiero po telefonicznym skomunikowaniu się ze swą władzą, przepuścił naszą taksówkę. Przejeżdżając przez miasto w kierunku od jego centrum ku Polatane, mijaliśmy zbiegające z gór ku morzu i w poprzek przecinające miasto, dwa wąwozy pełne drzew owocowych, głównie fig i granatów; dalej malowniczo wśród cyprysów położony meczet, a przy nim stare türbe (mauzoleum) i medresę (dawne seminarium teologiczne) i dotarliśmy u skraju miasta do słynnego, pamiętającego czasy cesarstwa Trebizondy kościoła Aja Sofia, o pięknie rzeźbionym w kamieniu półkolistym przyczółku; świątynia ta aż do chwili zamknięcia służyła w Trapezuncie jako kościół grecki. Przedmieście miasta tonie w zieleni figowych drzew, (o ciemno fioletowych, mniej szlachetnych w tych okolicach Turcji figach), granatów, których dorodne owoce zaczynały się dopiero rumienić, wreszcie w zieleni powszechnego w tych stronach tytoniu, ustępującego jednak tytoniom Samsunu i Bafry. Pod względem hodowlanym okolice Trapezuntu jako leśne, nie rolnicze, są mniej ciekawe.

Upalne powietrze w parnym Trapezuncie było wprost nieznośne. W zacięzionym lokalu jednego z urzędów ciepota powietrza wynosiła np. przed południem 36^o; mówiono wprawdzie że Réaumura, czego nie mogłem skontrolować, ale nawet gdyby Celsusza, to i tak było dosyć. Niezwyczajny takiego parnego gorąca, czułem się w ciągu całego dnia w tej naturalnej łaźni zmęczony i ospały i szukałem schronienia już to w cieniu, już to nad ożywczym morzem, gdzie smukła i zgrabna młodzież u stóp skalistego wybrzeża i wśród rozrzuconych we wodzie skał, popisywała się ochoczo skoka-

mi i uprawiała wodne harce. Pod wieczór parne te upały potęgowały się jeszcze więcej, toteż znużony wilgotną spiekotą dnia odczuwałem je dotkliwiej. Dopiero nad samym rankiem i to tylko przez parę godzin w ciągu doby, chłodne ożywcze powietrze pozwalało na spokojny sen i wypoczynek. Nie dziw więc, że z uczuciem ulgi opuszczałem malowniczy Trapezunt, ciesząc się naprzód na przeprawę przez góry pontyjskie, w wysoko położone okolice Erzurumu oraz Karsu.

Góry Pontu.

Drogę do Erzurumu, odległego od Trabzonu o 330 km, odbywałem ciężarowym Chevroletem, zajmując jedno z trzech przednich miejsc przedziału szofera. Trochę niemiłą była okoliczność, że siedzący między mną i szoferem pasażer zdradzał chorobę oczu, wobec czego trzeba było zachowywać ostrożność. Była 11 przed południem, gdyśmy ruszali w drogę. Wyjeżdżając z miasta mijaliśmy po drodze fabrykę tranu, stopy suszonych na wybrzeżu morza tureckich orzechów itd. Malowniczo przedstawia się wjazd w góry Pontu z Trapezuntu, prowadzący skrajem dość szerokiego i głębokiego wąwozu wzdłuż potoku Maczka, wśród gór częścią skalistych, przeważnie jednak gęsto zalesionych liściastym drzewostanem. Z roślin uprawnych wybijały się po drodze na plan pierwszy przede wszystkim kukurydza (mysyr) uprawiana tam niekiedy na bardzo wysokich zboczach, nadto tytoń, konopie, fasola, lucerna, kawony i melony. Uderzały poza tym całe lasy tureckich orzechów, tak charakterystyczne dla tych okolic.

Jadąc doskonałą szosą, będącą głównym traktem prowadzącym z Trabzonu przez Erzurum do Persji, trzeba było dzielić zachwyty pomiędzy piękno potężnej i dziewiczej przyrody, oraz doskonały stan i estetykę różnych urządzeń technicznych, jak betonowe mosty, wiadukty, tunele, zabezpieczenia przed gwałtami, rynny do odprowadzania nagłych i większych wód itd. Pnąc się ustawicznie w górę serpentynami i częstymi pętłami drogi, posuwaliśmy się naprzód z szybkością 15—25 km na godzinę. Po drodze mijaliśmy sznury arab (wozów) i jucznych koni, oraz wioski z przydrożnymi sklepami i kawiarenkami. Pomimo pięknej pogody i południowej pory, szczyty wysokich gór były spowite obłokami. W blaskach silnego słońca było tak gorąco, że trzeba było zrzucić wierzchnią odzież. Ponieważ jednak powietrze było lekkie, czyste i suche, przeto upał ten nie był zrazu ani przykry, ani męczący.

W dolinie zamkniętej zakrzewionymi górami, minęliśmy miasteczko Maczka, położone nad wspomnianą rzeczką tej nazwy, poczem we wsi Meksila, gdzie interesowało mnie było miejscowe i tłusto ogonowe owce dałycz, urządziliśmy pierwszy postój. Częstoując się wzajemnie, spożywaliśmy posiłek w przydrożnym sklepiku. Jadąc dalej bitą szosą wysoko wśród gór, obserwowałem w dolinie małego strumyka opustoszałe monastyny i inne wojenne ruiny. Wśród bogatego drzewostanu, rozpoznawałem na szczytach gór klony, wiązy, buki, olchy, niekiedy jarzębinę, dużo dzikich jabłoni, wiśni i czereśni, dzikie azalie i rododendrony, dużo leszczyny, a nadto świerki, w dużych ilościach zeschnięte. Wśród zalesionych gór, tylko niekiedy wyłaniały się sterczące skały. Mijając różne wioski, dość często obserwowałem w nich charakterystyczne stare murowane mostki, spodem o okrągłym łuku, a na środku jezdni o ostrym wzniesieniu. W Hamsy-köj jeszcze na terenie wilajetu Trabzon, mając przed sobą do Gümüşhane 66 km, (z Trabzonu do Gümüşhane 128 km), zatrzymaliśmy się ponownie przed miejscową wiejską kawiarnią, z przed której obserwowaliśmy wysokogórskie hale (jajła) z pasącym się na nich licznym bydłem i owcami. Spotykając dość często ciężarowe autobusy, pieliśmy się w dalszym ciągu coraz wyżej. Kierowany wstecz wzrok, padał na istic szwajcarski krajobraz potężnego kompleksu wysokich zalesionych gór, poprzecinanych licznymi wąwozami, tonącymi również w zieleni. Natomiast szczyty które mieliśmy przed sobą, pozabawione świerka i drzew liściastych, były porośnięte już tylko trawą. Ostrogi zakrętami na których szofer wcale nie dawał sygnałów, poprzez piękne znowu mosty i wioskę Bekcizler-jajlasy, dotarliśmy do granicy wilajetów Trabzon i Gümüşhane, znaczonej prócz słupów granicznych bramą triumfalną, pozostała z czerwonego przejazdu tędy perskiego szacha. Uderzył mnie tam tak rzadko w Anatolii wschodniej spotykany rozrzucony na polach, celem zasilenia roli, nawóz zwierzęcy. Obserwowana miejscowa ludność gorliwie krzątała się przy młocce zboża.

Minąwszy tę granicę znaleźliśmy się przed szczytem potężnego kompleksu gór Zihana-dağy (2 300 m), których przełęczami i zboczami jechaliśmy już czas dłuższy. Poniżej tego szczytu ponad serpentynami szosy które mieliśmy przebywać, wynurzył się przed oczami wspaniały i długi żelazo-betonowy wiadukt (kemer), którego dach wsparty od strony niższych zboczy na 13 filarach, ma za zadanie chronić szosę i wędrowców, przed obsypującymi się z góry głazami. Wkrótce przejechaliśmy popod sklepieniem tego pięknego tworu techniki, który na tle dziewiczej przyrody, tym większe

sprawił wrażenie, po czym minawszy na szczycie resztki drugiej bramy triumfalnej, jechaliśmy wśród nagich szczytów i połonin, ożywionych stadami pasących się owiec i bydła. Dopiero w odległości 68 km od Trabzonu, całą serją zygzaków i wiraży zaczęliśmy zjeżdżać w dół, po doskonalej w dalszym ciągu szosie. Zjeżdżając z gór, potężny szmat dalszej drogi mieliśmy przed sobą jak na dłoni. Zakręty szosy były miejscami tak nagłe, że lęk oblatywał duszę, a działanie hamulców z konieczności było niekiedy tak silne, że powodowało charakterystyczne drżenie i jęczenie naszego ciężkiego wozu.

I znowu znaleźliśmy się wśród gór, ale tym razem o szczytach porosłych wyłącznie sosną. We wsi Zihana-Madeni, obserwowałem charakterystyczne, stojące na zboczach gór kamienne domy co najwyżej obrzucone gliną, o płaskich dachach, wznoszących się niekiedy na wysokości szosy, jako boczne jej platformy, na których pracowała ludność krzątała się przy suszeniu nasion, oraz warzyw. Z liściastych drzew wybijały się tam na plan pierwszy grab i biała topola, a przy skraju szosy po której zjeżdżaliśmy w partie niższe, wiele dzikich gruszy i jabłoni, oraz głogu i dzikiej róży. Na silnych spadkach środek jezdni był niekiedy mocno, aż do kamienia przetarty. Minawszy położone wśród skalistych gór wioski Ömer Han i Zihana, w których obserwowałem czarne względnie czerwono-brunatne silnie podpalane bydło, tłusto ogonowe owce kamakujruk, oraz pospolite przeważnie czarne kozy kыл-кечки, pieliśmy się znowu w górę, skąd padał wzrok na ostrze grzbiety prawie nagich gór skalistych, położonych niżej. Na zboczach ich, wśród których jechaliśmy potem, na wysokości szosy rosły przeważnie krzaki dębowe, nieco wyżej sosna, a na nagich szczytach jedynie trawa, służąca za pokarm pospolitym kozom. Gdyśmy następnie zjeżdżali kilkakrotną pętlą szosy i mijali piękne betonowe mosty o różnorodnych, coraz to innych barierach, słońce chowało się za góry, a przy jego zachodzie czerwony koloryst słabo zalesionych grzbietów, rozweselał oczy. Wzdłuż spływającej z wyżyn rzeczki Asut i rozciągniętych nad jej brzegami pól kukurydzianych, przejechaliśmy przez miasteczko Ardas, położone w otoczeniu poszarpanych skał, o kolorystie miedziano-czerwonym. Na szczycie tych skał, wśród których szukają schronienia żyjące w tych stronach, dzikie kozy bezarowe (*Capra aegagrus*), sterczą ruiny zamku.

Jechaliśmy w dalszym ciągu nad brzegiem rzeki, wśród skał, gdzie różne typy obmurowań i zabezpieczeń stromych zboczy szosy, oraz ich artystyczne bariery i otwarte wiadukty, tak wymownie świadczyły o pomysłowości i estetyce tureckich inżynierów.

Za wsią Demirdži-suju przejeżdżaliśmy wzdłuż wiszących poprostu nad szosą, prawie nagich lub całkiem nagich skał i głazów. Zimna trwoga oblatywała mnie na tym odcinku jazdy a do głowy cisnęły się pytania, czy nagle runą te urwiska skalne, czy też skruszą się stopniowo, pod wpływem powolnych procesów i niwelujących sił przyrody? Po godzinie szóstej wieczór wietrzyk zaczął ochładzać powietrze, a z gór spływał poszum. Niektóre odcinki szosy zaczęły się pogarszać, ale potłuczony i złożony w kupki kamień świadczył, że cała szosa pozostaje pod troskliwą pieczą. We wsi Becz-kilise skaliste trzony górskie sterczą ukośnie, jak gdyby poprzewracane silnymi ruchami tektonicznymi. Wzdłuż płynącej wśród skalnych głazów rzeki, określanej przez szofera jako Gümüşhane-dere, przybyliśmy koło godziny 19 do wilajetowego miasta Gümüşhane (27 000 mieszkańców), położonego nad rzeką w skalistym wąwozie, i tonącego wśród sadów drzew owocowych. Kawiarenkę za miastem, obrał szofer Mehmet za miejsce krótkiego postoju. Z Trabzonu do Gümüşhane mieliśmy za sobą przestrzeń 128 km; jeszcze 100 km mieliśmy przebyć, by dotrzeć do Bajburtu na nocleg. Po godzinnym wypoczynku i posiłku, wśród ciemności ruszyliśmy w dalszą drogę. Wkrótce jednak ukazał się przyjazny księżyc, który rozpraszając ciemności, pozwalał nadal rozglądać się po okolicy. Przed 9 minęliśmy müdürlük (gmina) Keczi-Kalesi (kozy zamek), gdzie jak sama nazwa wskazuje, żyją dzikie kozy bezoarowe, a gdzie na szczycie skalistych gór wznoszą się ruiny zamku, związanego z nazwą miejscowości. Bezdrzewne góry obniżyły się stopniowo, po czym mknęliśmy wolną od drzew rezległą doliną zbożową, obfitującą w pszenicę i jęczmień, oraz w siano.

O godzinie 23 przybyliśmy do Bajburtu, starej twierdzy bizantyjskiej, założonej w VI wieku po Chr. przez cesarza Justyniana I, nad górnym brzegiem rzeki Czoruh, wpadającej do Morza Czarnego aż pod Batumem. Ciekawy był wjazd do tego starego miasta przez wąskie uliczki wśród gruzów starych porozwalanych ruder, oraz wśród tu i ówdzie tylko bielonych płaskodachych domów, budowanych przeważnie z szarej gliny. Z trudem dopukaliśmy się do pogrążonego już w śnie najlepszego hotelu tego miasta, tj. do Džumhurijet-oteli, położonego nad szumiącą po kamieniach rzeką. Rozespany kulawy gospodarz, proponował mi zrazu łóżko w zbiorowych dużych pokojach, gdzie pogrążeni we śnie, chrapali już liczni goście, po czym — na moje zapytania o oddzielne pokoje — demonstrował mi oszklone werandki o pojedynczych łózkach. Gdy jednak ploszył mnie z tych werandek brak szyb i głośny szum rzeki, ustąpił mi wreszcie swego pokoju, gdzie wśród dywanów,

na odwróconych ciepłych jeszcze materacach, znużony całodzienną podróżą i wrażeniami dnia, przespałem się błogo. Już od samego świtu z ciekawością rozglądałem się po okolicy przez okna piętrowego pokoju. Stare to miasto leży bardzo ciekawie, nad rzeką wśród nagich skalistych gór o zielonkawo-miedzianej patynie. Jako osobliwość uderzają ruiny starego bizantyjskiego zamku — twierdzy, wiążanego w gwarze mieszkańców z „Tineusem“ (Justynian I). Centrum miasta zdobi ładna wieża zegarowa. Już o pół do szóstej rano ruszył nasz autobus z przed hotelu w kierunku Erzurumu, odległego stąd o ponad 100 km. Słońce rzucało już na góry swe odbłaski i łącznie z zielenią włoskich topól i warzywników, ożywiało miasto, monotonne szarością ulic i domów.

Dzień był pogodny i bez chmurki na niebie, ale zanim słońce ukazało się w całej pełni i zaczęło łagodzić powiewy zimnego wiatru, trzeba się było dobrze otulać, zwłaszcza że boki autobusu nie dawały się należycie osłonić. Droga wiodła zrazu doliną rzeki Czoruh, nad którą zieleniąca się trawa, przechodziła w bezdrzewnych partiach wyższych, w żółtą i zeschniętą. Kępy wierzb nad brzegiem rzeki ukazywały się jedynie rzadko. Na polach prócz pszenicy, której żniwo było w toku, a miejscami już na ukończeniu, spotykało się też mniejsze łany owsa, kartofli lub kapusty. Znaczne przestrzenie pól były już spokładane lub zaozarane. We wsi Maden nie tylko sama dolina, ale nadto niższe partie zboczy górskich, znajdują się w kulturze rolnej, poza tym okoliczne góry porośnięte są jedynie trawą. Wszędzie gdzie tylko szosa była nieco gorsza, tłuczony kamień leżał w pogotowiu. Po rozminięciu się z rzeką, zaczęliśmy się pnać w górę, i poprzez prawie nagie kompleksy skalne dotarliśmy do Kop-Hanlary, gdzie wobec licznych buntowniczych Kurdów zamieszkałych w tamtejszych okolicach, natrafiliśmy na silniejsze posterunki żandarmerii i wojska. Czekala nas właśnie uciążliwa przeprawa przez potężną górę Kop-dağy.

Po wiejskim śniadaniu ruszyliśmy w drogę, by serpentynami i pętlami szosy wspiąć się na sam szczyt Kop-dağy (ca 3 000 m), skąd wiedzie dalsza droga do Erzurumu. Już przed godziną 8 rano było przy czystym i lekkim powietrzu, gorąco. Pnać się ustawicznie w coraz wyższe partie Kopu, mijaliśmy karawany jucznych koni, stada osłów, owiec i kóz, a ponieważ interesowały mnie one usłużny szofer Mehmet nie szczędził mi krótkich przystanków. W tych wysokich partiach górskich, na płaskowyżach stała jeszcze na pniu pszenica jara. Gdyśmy przejeżdżali obok turecko-rosyjskiego pobjowiska z czasów wojny światowej, roztaczała się przed oczami panorama prawie całkiem nagich grzbietów i szczytów, a w oddali

dostrzegalem rzekę Furut, dopływ Czoruhu. Była godzina pół do dziewiątej, gdyśmy mijali na Kop-dağy granicę wilajetu Erzurum. Malował się tam przed nami wysokogórski zalesiony pejzaż, a na tle jego, na bardzo dalekiej przestrzeni, pętle i serpentyny dalszych odcinków naszej szosy rysowały się niby biała wstęga wśród zielonego poszycia gór, złożonego przeważnie z niskich krzaków dębu i topoli. We wsi Purysakaban układano już na zimę na płaskich dachach domów słomiane sterty, tak charakterystyczne dla okolic Erzurumu, a także wspominamy już wyżej „tezek“, składano obok domów w wysokie kopki. Wśród częścią skoszonej, częścią na pniu stojącej pszenicy jarej, dało się obserwować obfitą domieszkę owsa.

W dalszym ciągu jazdy, mając już za sobą potężną górę Kop, zatrzymaliśmy się na krótko celem wypoczynku i posiłku, w gminie (müdürlük) Aszkaie, w dolinie, która przy cofaniu się gór na plan dalszy, rozszerza się odtąd coraz więcej. Od Aszkaie aż do Erzurumu droga wiodła doliną Eufratu, w której na równinowych pastwiskach (mer'a), w odróżnieniu od czarnego bydelka środkowej Anatolii, pasły się stada bydła czerwonego, charakterystycznego dla tych okolic. Wojskowe ćwiczenia we wsi Karagöz, sygnalizowały bliskość strefy militarnej. W samo południe, w Ilydża odległym od Erzurumu o 15 km, stanęliśmy na pograniczu strefy wojskowej, z którego żaden obcy przybysz, ani żaden jego środek lokomocji, nie może ruszyć dalej ku Erzurumowi, bez wojskowego konwoju. Służbowy oficer, mający już wojskowe instrukcje co do prawa mego pobytu w tych stronach, odebrał mój turecki dokument policyjny, a ponieważ była pora obiadowa, postój naszego autobusu przeciągnął się znacznie. Nieznośne było to czekanie przy szosie przed przydrożną wiejską kawiarenką w skwarnym upale tej bezdrzewnej okolicy, gdzie na wysokości około 2 000 m, palące słońce tak bardzo dawało się we znaki przybyszowi, który raptownie przerzucił się z nad morza w te wysokie okolice.

Ponieważ Ilydża jest miejscowością kąpielową, obfitującą w gorące źródła siarczane, przeto zwiedziłem dla skrócenia czasu tamtejsze urządzenia kąpielowe, a więc stary kamienny budynek ze zbiorowymi basenami, oraz budynek nowy z oddzielnymi dwupokoikowymi kabinami, obejmującymi część sypialną i łazienkę. Mnóstwo namiotów rozbitych wokoło, świadczyło o licznym napływie letników i kuracjuszy, zjeżdżających do Ilydża w sezonie letnim, zarówno z bliższych jak i z dalszych stron. Rozbijane zwłaszcza na brzegach Eufratu, niekiedy na miejscach niezadarnionych wcale i zasypanych kamieniami namioty te, wśród których



Naturalne wrota, prowadzące wąwozem potoku Maczka z Trapezuntu w góry Pontyjskie (zdjęcie tureckie)



Serpentyny i zygzaki drogi, wiodącej przez góry Pontu z Trapezuntu do Erzurumu (zdjęcie autora)



Fragment z drogi do Erzurumu (zdjęcie autora)



Fragment ogólnego widoku Erzurumu (zdjęcie tureckie)



Mauzoleum z epoki seldżuckiej w Erzurumie (zdjęcie tureckie)



Nowa dzielnica Erzurumu, ze szpitalami i innymi gmachami publicznymi (zdjęcie tureckie)

krążyły pasące się woły, służą kuracjom za domy mieszkalne, a zarazem zastępują cień drzew. Na tle naszych stosunków i naszych przyzwyczajęń, wydawało by się ryzykowne, przy gorących kąpielach siarczanych spędzać noce w namiotach, zwłaszcza gdy się uwzględni znaczne różnice temperatury pomiędzy dniem i nocą, charakterystyczne dla wysokich płaskowzgórzy Anatolii. Jednak silna insolacja i względy aklimatyzacji nie uzasadniają — widać — naszych wątpliwości i każą innym okiem patrzeć na omawiane stosunki.

Dopiero o pół do trzeciej, a więc po półtrzecia-godzinnym postoju, autobus nasz oraz małe auto, wiozące parę europejskich turystów zmierzających do Persji, ruszyły pod konwojem służbowego oficera w stopniu kapitana, w kierunku tak oczekiwanego i tak wielkie zainteresowanie budzącego Erzurumu. Widać go już z Ilydża, u kresu rozległej równiny, u podnóża wysokich bezdrzewnych gór Palandoken, sięgających ponad 3 000 m, za którymi sterczą wyższe jeszcze góry, jak np. Dumlu i Bingöl, dochodzący do 3 690 m. Jadąc przez rozległy płaskowyż, wierzyć się nie chce, że jest się na wysokości 2 000 m, a jedynie lekkość powietrza i siła insolacji sygnalizują o tym lekkimi ukłuciami, które przy tak raptownej zmianie ciśnienia atmosferycznego dawały się odczuwać w okolicy serca, w pierwszych dniach pobytu w Erzurumie. Minęliśmy już tak charakterystyczną dla tych okolic bezdrzewną wioskę Göz o glinianych domach ze stertami słomy na płaskich dachach, i z charakterystycznymi stosami „tezeku“ w obejściach. Jak na dłoni wyloniła się przed nami panorama miasta typowego przez ubóstwo drzew w tej w ogóle bezdrzewnej okolicy, przez stare gliniano-kamienne budynki o płaskich zadarnionych dachach przez strzeliste minarety, a w szczególności przez cenne szczątki starych zabytków architektury seldżuckiej, zdobne pięknymi rzeźbami kutymi w kamieniu, oraz ciemno-wiśniową i turkusowo-niebieską mozaiką, silnie lśniącą emalią. Jedynie nieliczne strzeliste topole skąpo ożywiały pejzaż, popielaty od tonu gliny i wypalony od słońca.

Okolo godziny 3 po południu, wjechaliśmy wreszcie przez forteczne wąwozy i przez forteczny tunel stambulski (Istanbulkapusu) do Erzurumu. Przekazawszy mnie władzom policyjnym na pierwszym zaraz posterunku za bramami miasta, pożegnał mnie uprzejmy kapitan i gdy on odjechał z odnośnym meldunkiem do władz twierdzy, ja ruszyłem do najlepszego hotelu miasta tj. do Dżumhuriyet — oteli, gdzie z powodu braku miejsca, oddano mi do dyspozycji dużą salę towarzyską. Nie zdążyłem się jeszcze

przebrać, gdy zjawił się u mnie celem powitania mnie, młody energiczny i sympatyczny Mümtaz, naczelnik wilajetowego urzędu weterynaryjno-hodowlanego w Erzurumie, który powołując się na instrukcje ministerstwa, zaofiarował mi całkowicie swoje usługi, na cały czas mego pobytu na terenie wilajetu.

9. Erzurum.

Jak w roku 1929 miałem sposobność być świadkiem i uczestnikiem patriotycznego entuzjazmu Turków z okazji święta niepodległości (29 października) w miasteczku Karadzabey w wilajecie Brussa, tak nazajutrz po przyjeździe do Erzurumu, tj. w dniu 30 sierpnia 1934, miałem możność uczestniczyć w towarzystwie dyrektora Mümtaza w wojskowym święcie tureckim tzw. Zafer bajramy (tj. święto zwycięstwa), z okazji dwunastoletniej rocznicy wyswobodzenia Anatolii z pod okupacji greckiej. Uroczystość ta odbywała się na obszernym placu pomiędzy gmachem komendy miasta, oraz gmachem naczelnych cywilnych władz wilajetu. Na przystrojonej w czerwone chorągiewki, zdobne w białe półksiężycy, trybunie, w obecności przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych oraz licznych tłumów publiczności, wygłaszali kolejno przemówienia przedstawiciele prasy i młodzieży, zaś imieniem armii pewien pułkownik i dowódca korpusu, generał Abdurahman Nafiz. W szczególności pełna życia i gestykulacji mowa studenta chemii, porywała swym płomieniem. Po tych przemówieniach generał przyjmował defiladę delegacyj poszczególnych stacjonowanych w Erzurumie jednostek armii, a więc piechoty, karabinów maszynowych oraz kawalerii, a nadto młodzieży szkolnej, cyklistów, skautów i footballistów. Defiladę zamykała orkiestra wojskowa. Gdy w ciągu godziny uroczystość się skończyła, resztę przedpołudnia poświęciliśmy zwiedzaniu miasta.

W starej, przeważającej części Erzurumu, zasługują w szczególności na uwagę szczątki zabytków seldżuckich z XIII w. Wybijają się wśród nich na plan pierwszy szczątki starej naukowej instytucji o charakterze akademii, fundowanej ongiś przez pewną seldżucką magnatkę. Portal oraz dolną partię dwóch bocznych filarów, zdobią wspaniale rzeźby, kute w kamieniu. Filary przechodzą ku górze w okrągłe, lecz podłużnie gęsto żebrowane kolumny. Są one budowane z ciemno wiśniowej cegły, przeplatane wzorzystymi liniami, wyciąganymi z turkusowo-niebieskich cegiełek polyskujących emalią. Z innych zabytków pochodzących z oma-

wianej epoki, należy wymienić dobrze zachowaną wieżę zegarową, stary seldzucki kamienny zabytek, przypominający mauzoleum, stojący przy głównej ulicy miasta, wreszcie na dziedzińcu jednego z dzisiejszych obiektów wojskowych, szczątki wspaniałej seldzuckiej budowli, obfitujące w kute w kamieniu piękne rzeźby, oraz w okazały fragment należącej do tej budowli okrągłej smukłej kolumny, budowanej spodem z ciosanego kamienia, a w dalszym ciągu z wiśniowej cegły, układanej wzorzysto i zdobnej nadto w przepiękne desenie z turkusowo-niebieskich cegiełek. Prócz tych bezcennych zabytków starej kultury i sztuki seldzuckiej, zasługuje na uwagę w omawianej dzielnicy miasta bazar, gdzie wśród różnej tandety, znaleźć można stare przedmioty ze srebra, pochodzące z okolic Vanu, oraz stare dywany i kilimy, tureckie, perskie, azerbejdzańskie i inne. Jako szczególna osobliwość Erzurumu, zasługują na uwagę w starej jego dzielnicy, liczne małe warsztaty poświęcone misternym wyrobom z czarnego kamienia tzw. „sijah kehlibar oltu tazi“, tj. z czarnego bursztynu, występującego głównie w okolicach Oltu, z którego pracownicy Erzurumianie wyrabiają piękne oprawne w złoto branzolety, kolczyki, broszki, pierścionki, cygarniczki i inne drobiazgi. Piękny ten kamień jest niestety łamliwy i łatwo się kruszy nawet w zetknięciu z twardszymi przedmiotami. Na ulicach miasta zwracały nadto uwagę, wywieszane na sprzedaż, nowe, oryginalne i gustowne, wzorzyste narzuty z naturalnej, różnobarwnej wełny kóz angorskich, które w Turcji, w szczególności w wilajetach Mardin i Siirt, na pograniczu Syrii, obok najtypowszej maści jedwabisto-białej, występują nadto w różnych formach umaszczenia, a więc np. w barwach popielatej, żółtej, brązowej, czarnej, i in.

W odróżnieniu od płaskodachych przykrytych na wierzchu ziemią i zadarnionych domów starej dzielnicy, budowanych przeważnie z kamienia i gliny, w nowej więcej ku zachodowi wybiegającej części miasta, obserwujemy w Erzurumie przy szerokiej nowoczesnej ulicy, solidne przeważnie dwupiętrowe budynki, mieszczące głównie uczelnie i szpitale, a więc seminarium nauczycielskie, liceum, szpital powszechny, szpital położniczy, wojskowy itd.; tutaj mieści się nadto piękny „konak“ (pałac) walego, ogród miejski, oraz wykańczany na dzień święta republiki skwer, z kwiecistymi klombami, krzewami oraz z fontanną. W zmodernizowanym przez rozszerzenie ulicy centrum miasta, graniczącym z wspomnianą wyżej nową dzielnicą, domy mieszkalne choć utrzymane i nadal budowane jeszcze w stylu lokalnym, są obszerne i przestrzegają większego komfortu oraz niezbędnych wymagań higieny.

Do popołudniowej wycieczki na położone u stóp gór Palandoken pastwiska górskie, dla obejrzenia charakterystycznych dla tych okolic stad tłusto ogoniastych owiec rasy „kzył-karaman“ („czerwone karamany“), przyłączył się również sympatyczny Kemal inspektor policji w Erzurumie.

Gdy się pisze o Erzurumie, który dzięki swemu położeniu obok Ankarę i Samsunu, w tej drugiej podróży do Turcji przypadł mi najwięcej do serca, wypada przede wszystkim poświęcić słów parę tamtejszej wodzie do picia, oraz tamtejszemu powietrzu, którymi nie bez racji, każdy mieszkaniec Erzurumu tak się chełpi, a które wymagają pewnych komentarzy. Gdy bowiem, jak już o tym poprzednio pisałem, w Stambule, w Ankarze i w wielu innych miastach Anatolii za każdy łyk dobrej wody trzeba płacić, i to nie tylko przez wzgląd na ewentualną obecność drobno ustrojowej fauny i flory, ile przede wszystkim ze względu na twardość i zasobność w szkodliwe dla przewodu pokarmowego sole (m. i. także krzemowe), to w samym Erzurumie woda do picia jest doskonała. Biją tam aż trzy źródła zimnej, krystalicznie czystej, niezbyt twardej, i szkodliwych soli pozbawionej wody, z których np. woda „dżannet-su“, spijana pełnymi haustami, nie tylko działa ożywczo, ale nadto wyraźnie pobudza apetyt. Co się tyczy powietrza, to za miastem, przy wysokości 2 000 m i więcej, jest ono istotnie przepyszne, i jako czyste, lekkie, i przesycone promieniami ultra-fioletowymi, pobudza ono płuca i pierś do głębokiego oddechu, oraz usuwa szybko wszelkie katary i inne dolegliwości dróg oddechowych. Opowiadano mi między innymi, że ludzie cierpiący na gruźlicę, po przyjeździe w okolice Erzurumu albo bardzo szybko kończą żywot pod wpływem ostrego powietrza, albo w krótkim czasie całkowicie odzyskują zdrowie. Ale w samym mieście wobec kamiennie glinianych domów krytych ziemią, oraz wobec braku na ogół bruków ulicznych, a także kanalizacji, stałe prawie wiatry unoszą w powietrzu takie ilości pyłu i kurzu, że owo wspaniałe powietrze okolic Erzurumu, zostaje szybko zatrute. Przechodzień zostaje wkrótce dosłownie zasypany pyłem, który wciskając się do oczu, uszu, nosa i ust, bywa przenośnikiem różnych chorób infekcyjnych grasujących w Erzurumie, z których na czoło wybija się tam jaglica (egipskie zapalenie oczu). Jeśli się nadto doda roje uporczywych i przykrych much, oraz spiekotę i brak cienia drzew, to staje się jasnym, że mimo wysokości 2 000 m, latem sytuacja w mieście nie jest taka idealna, jakby można sądzić.

Najgorętszymi miesiącami w roku są w Erzurumie czerwiec i lipiec, w których przy całkowitym braku opadów, temperatura

powietrza w cieniu dochodzi do 34°. Także zimy, trwające 6—7 miesięcy, przy mrozach sięgających do 35° i więcej, są w Erzurumie ciężkie. Śnieżne opady zaczynają się w październiku, a największe przypadają na miesiące luty i marzec. Szata śnieżna utrzymuje się na ziemi do kwietnia, względnie aż do maja, po czym aż do czerwca panuje okres deszczów, które są również obfite w jesieni. Roczna ilość opadów wynosi w Erzurumie 550—600 mm. Połączenie autobusowe z Trabzonem zimą trwa tylko do stycznia, i to pod warunkiem, że szosa na Kop-dağy nie jest zamknięta zwałami śniegu, uniemożliwiającymi niekiedy także komunikację sankami. Wynika stąd, że na okres zimy Erzurum bywa niekiedy całkiem odcięty od świata. Toteż twierdza ta ze swym bardzo surowym klimatem, dającym się podobno bardzo we znaki w okresie długich miesięcy zimowych, została wybrana jako karne miejsce dla oficerów, za różne służbowe przewinienia. Spotykałem tam także w mojem otoczeniu, osoby żyjące tęsknotą nie tylko za rodzinami, ale w ogóle za innymi stronami kraju. Ale także i ci oficerowie, którzy podobnie jak nasi w Korpusie Ochrony Pogranicza, muszą w Turcji odbywać część normalnej służby w militarnej strefie Anatolii wschodniej, witają z radością i ulgą wyjazd z Erzurumu.

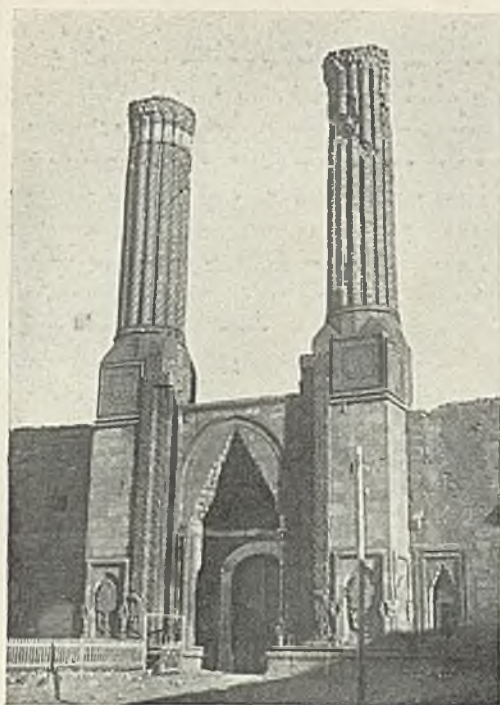
Pod względem geologicznym tereny okolic Erzurumu mają charakter wulkaniczny i są w większości kamieniste. Tylko częścią nadają się one pod uprawę roli. Na 3 800 000 ha całego obszaru wilajetu, 400 000 ha przypada na rolę, 5 000 ha na lasy, 400 000 ha na kamieniska (taszłyk), a 2 900 000 na inne nieużytki rolne, w czym jednak duży odsetek przypada na halne pastwiska („jajła”), mieszczące się na zboczach okolicznych gór. Toteż ze względu na te pastwiska górskie („jajła”) i równinowe („mer'a”) leżące w pobliżu wsi i obfitujące w obu wypadkach w doskonale i pożywne trawy, jak również ze względu na obecność doskonałej wody, okolice Erzurumu słyną z hodowli zwierząt domowych, i z tego stanowiska wilajet ten jest w Turcji jednym z najważniejszych. Czerwone bydło i zwłaszcza tłusto ogonowe, czerwone lub ciemno-brunatne owce „kzyyl” — względnie „mor-karamany”, przedstawiają w tych okolicach najważniejsze gatunki i rasy; poza tym zasługują tu na wzmiankę potężne długowłose pasterskie psy wschodnio-anatolijskie, oraz dzikie kozy bezoarowe, występujące w tym wilajecie w okolicach Ispir i Tortum, na północ od Erzurumu.

Wspomniane owce „kzyyl” — wzgl. „mor-karamany”, chociaż występują one również w innych okolicach północno-wschodniej Anatolii (np. w okolicach Karsu i w okolicach Eleszkert wilajetu Bajazit), przedstawiają szczególną osobliwość okolic Erzurumu,

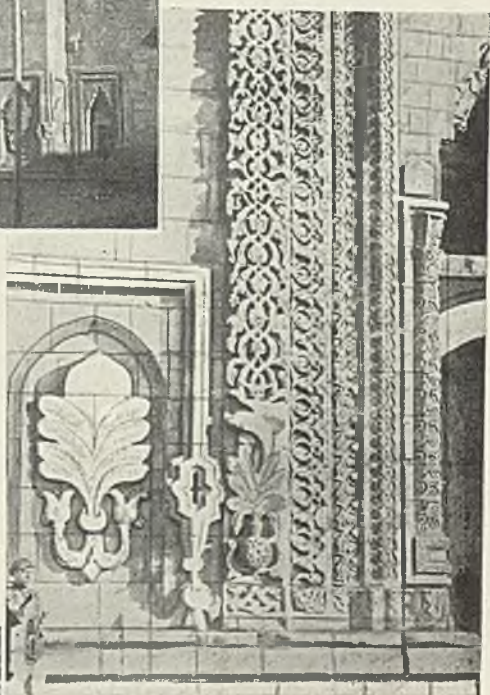
gdzie mają być najokazalsze. Od białych karamanów („ak-karaman“) Anatolii środkowej, występujących jednak również w Anatolii wschodniej, m. in. w wilajetach Van i Bitlis, różnią się one umaszczeniem sierści i wełny, które u „kzyzył-karamanów“ jest brązowe o odcieniu czerwonym, zaś u „mor-karamanów“ (ciemniejsza odmiana poprzednich) brązowe o odcieniu czarnym. W porównaniu z białymi karamanami, te czerwone wzgl. ciemno-brunatne karamany z okolic Erzurumu, wykazują na ogół większe i cięższe formy ciała, silniejszy rozwój tłuszczowej poduszki ogonowej, wreszcie lepszą jakość mięsa i wełny. Wełna tych owiec znajduje zastosowanie przy wyrobach kilimów, dywanów, samodzielnych materiałów odzieżowych, skarpetek itp. Wprawdzie, jak mnie informowano w Karsie, w handlu biała wełna „ak-karamanów“, jako dająca się farbować, wykazuje wyższe ceny (o 20 kurusz, tj. o ca 1 zł na pudzie), jednak miejscowe fabryki tekstylne w Turcji cenią więcej wełnę z ciemnych karamanów z okolic Erzurumu, która przy wyrobie materiałów odzieżowych dla miejscowej ludności, nie wymaga farbowania. Skóry jagnięce czerwonych i ciemno-brunatnych karamanów w wieku do 6 miesięcy, dostarczają doskonałych kozuchów dla miejscowej ludności cywilnej, oraz dla służby wartowniczej w armii. Wreszcie skórki nowonarodzonych jagniąt mają wykazywać, przy prawie czarnej barwie włosa, charakterystyczną lokowatość, na wzór karakułów, co w szczególności ma dotyczyć potomstwa czarnych osobników, trafiających się wśród czerwonych i ciemno-czerwonych karamanów.

Wspólnie z dyrektorem Mümtazem, oraz pomocnym mi przy pomiarach zwierząt woźnym jego biura Mustafą, który swym dobronurczym obliczem, o długim krzaczastym staropolskim wąsie, przypominał raczej Mazura niż Turka, urządzaliśmy codziennie, czasem cało-, czasem półdniowe wycieczki badawcze. W stadzie ogierów w Ilydża, gdzie z całą serdecznością podejmował nas sympatyczny i gościnny dyrektor Mustafa Nuri, byliśmy w liczniejszym towarzystwie. Gdy po pracy przy kolacji rozwiązały się języki i towarzysze moi przekonali się o mych szczerych sympatiach dla współczesnej Turcji, opowiadali mi oni wówczas szeroko o okupacji Erzurumu przez Rosjan w czasie światowej wojny w ciągu 3,5 lat aż do roku 1918, o krwawych rządach Ormian w Erzurumie w ciągu jednego miesiąca, o rzezi Turków przez Ormian, i o datującym się od tego czasu całkowitym wyniszczeniu okolicy z obfitego dawniej drzewostanu, wreszcie o zwycięskim powrocie Turków do Erzurumu.

Z innych wycieczek badawczych z Mümtazem należy tu wspomnieć o pobycie we wsi Boğaz, gdzie nad strumykiem i wśród kęp



Szczątki naukowej fundacji seldżuckiej (akademii) z XIII w. po Chr. w Erzurumie (zdjęcie tureckie)



Kutew kamieniu rzeźby, zdobiące portal tej akademii (zdjęcie tur.)



Ludowe tańce Erzurumian (zdjęcie tureckie)

Na śniadaniu
u wieśniaków
we wsi Kân pod
Erzurumem
(zdjęcie
autora)



Wśród stad owczych na
halach górskich (ponad
2 000 m), w okolicach
Erzurumu (zdjęcie aut.)

Przyjęcie pod namiotem
we wsi Pulur w
okolicach Erzurumu
(zdjęcie autora)



drzewnych, tak rzadkich w tych stronach, pracowały trzy młyny wodne, dalej o kilkakrotnym odwiedzaniu targowisk miejskich, na których zwracały uwagę m. i. konie Kurdów, z zabobonnie wypalanymi na skórze 24 znakami (na głowie, szyi i na nogach), o codziennych rannych wycieczkach do rzeźni, oraz o wycieczkach do różnych wsi okolicznych.

We wsi Pular, odległej od Erzurumu o 15 km w kierunku zachodnim, podejmował nas gościnnie pod namiotem Hadzi Mirza, właściciel drobnego 10 hektarowego gospodarstwa (100 denüm), ale zarazem wiejskiej fabryki suchych konserw miejskich (pastyrma-hane). Przy posiłku złożonym z suchej kiełbasy (sudżuk), z charakterystycznego w tych stronach chleba pszennego, pieczonego w formie długich owalnych, ale cienkich i wiotkich placków (grubości macy żydowskiej), rwanych podczas jedzenia na strzępy, z oliwek, masła, miodu, sera, jogurtu, ciastek, cukierków domowej roboty, kawonów, melonów, winogron i czarnej kawy, można było używać w szczególności na doskonałym krowim maśle, którego nie miałem w ustach od opuszczenia Ankary, gdyż z powodu nie milego zapachu i smaku masła owczego wydawało mi się bezpieczniej, obchodzić się bez niego całkowicie. Prócz bydła, interesował mnie w tej wsi suszony na stepie charakterystyczny budulec tamtejszych okolic, a mianowicie gruba darń, odcinana w formie cegły o wymiarach około 37 cm długości, 16 cm szerokości i 13 cm grubości. W drodze powrotnej z Pular-köj do Erzurumu, niezapomnianie piękny był na tle zachodzącego słońca fioletowy koloryt potężnych, trawą tylko porosłych gór okolicznych.

Przez forteczny tunel ardahański (Ardahan-kapusu), poprzez który na Tortum i Oltu wiedzie droga aż do Ardahanu, wyjeżdżaliśmy kilkakrotnie na równinowe stepowe pastwiska (mer'a) położone pomiędzy wsiami Souk-Czernik i Müdürge, na badanie pospolitych kóz (kył-kecz), oraz owiec czerwonych karamanów (kyzył-karaman). W czasie tych wycieczek można było obserwować, że wieśniacy tamtejszych okolic posługują się wyłącznie prymitywnymi dwukolnymi wozami („kağny“), znanymi nam już z okolic Ankary, oraz że w odróżnieniu od Anatolii zachodniej i środkowej, popędzają oni konie względnie woły ciągnące te wozy, nie z pomocą ostro zakończony tyki, ale po prostu z pomocą bata lub części jeszcze nahaja.

Miłe wspomnienie zostawiła mi wreszcie w pamięci ranna wycieczka do wsi Kân, obejmującej sto domów i jeden wiejski meczet, w której z powodu braku kawiarni wiejskiej, byliśmy podejmowani śniadaniem przez gościnnego wieśniaka Kemala, w jego

brzozowym gaiku. Dla mnie i dla Mümtaza przyniesiono krzesła, położono na nich zwyczajne duże poduszki, a gdyśmy usiedli, podano gorący samowar, a na okrągłej miedzianej tacy wspomniane wyżej płachty praśnego chleba, jaja, chudy ser i winogrona. Gościnni włościanie wiankiem usadowili się przy nas na ziemi, a zachęcając nas charakterystycznym cmokaniem do śmielszego konsumowania darów, wypowiadali różne okolicznościowe sentencje. Dopiero po tym śniadaniu, mogliśmy przejść do badania interesujących spraw hodowlanych.

Być może, że w czasie pobytu w Erzurumie groziła mi jakaś przygoda, gdy mianowicie zjawił się u mnie w hotelu pewien nieznan mi człowiek w typie mieszkańca przedmieścia, z oświadczeniem, że jestem oczekiwany w hotelu Kaukaskim (jeden z trzeciorzędnych hoteli w Erzurumie) i z wezwaniem, bym się tam z nim zaraz udał. Oczywiście nie poszedłem. Na twarzy bajtara Mümtaza, gdy mu o tym później wspominałem, czytałem niepokój. Po zbadaniu tej sprawy mówił mi on wprawdzie o zaszłej omyłce, apelował jednak do mnie, bym absolutnie nie reagował na żadne wezwania, jak tylko na jego instrukcje bezpośrednie, lub podawane przez Mustafę.

W Erzurumie stołowałem się w skromnej, lecz czystej i zdrowej, najlepszej restauracji miasta „Güzel jurk“. Gdy w towarzystwie Mümtaza i pewnego kapitana-lekarza z Trabzonu, spędzałem tam jeden z wieczorów, uderzył mnie niezwykle obrazek. Oto, spożywającego kolację przy sąsiednim stoliku młodego i przystojnego pułkownika, przysiadający się do niego oficerowie, a wśród nich także nie młodszy od pułkownika major, po powitaniu go ukłonem, całowali w rękę. Na moje zapytania spotkałem się zrazu ze strony moich towarzyszy z uśmiechem, a gdy Mümtaz mówił mi o wpływie „raki“ (tureckiej wódki z winogron o zapachu anyżowym), kapitan oświadczył wreszcie, że zwyczaj ten jest obecnie w armii zabroniony. Później przy innej okazji, także Mümtaz opowiadał mi o starym w Turcji zwyczaju, całowania w rękę przez mężczyzn, również mężczyzn darzonych szczególną sympatią, a przy moim odjeździe z Erzurumu, mówił mi wprost, że i on radby mnie na pożegnanie pocałować w rękę. Zaproponowałem oczywiście staropolskie pożegnanie „z dubeltówki“.

Gdy w związku z powyższym naprowadziłem rozmowę na przyjęty ponoć w Turcji, w czasie audiencji i przyjęć, zwyczaj całowania w rękę prezydenta Kemala i to nie tylko przez mężczyzn, ale także przez dostojne damy — o czym słyszałem w Ankarze — Mümtaz odpowiedział mi całkiem po prostu, że każdy Turek czy Tur-

czynka stopy by całowali wybawcy współczesnej Turcji, którego czczą jak proroka. Że zaś te przejawy czci dla uwielbianego przez Turków prezydenta są jedynie zupełnie spontanicznym wyrazem miłości i wdzięczności narodu tureckiego dla bohaterskiego i zwycięskiego Kemala, świadczą o tym najlepiej liczne powszechnie znane i szeroko w Turcji komentowane obrazki z jego pełnego prostoty życia. Nie żądny dla siebie żadnych holdów, ten wybitny mąż stanu współczesnej Turcji, którego imię budzi dziś szacunek we wszystkich krajach cywilizowanego świata, jak gdyby człowiek najzwyczajniejszy wchodzi wielokrotnie — *incognito* — między lud turecki, tamtejszym zwyczajem „na ty“ wdaje się z nim w rozmowy na temat aktualnych spraw państwa i bolączek codziennego życia, by czerpać w ten bezpośredni sposób wskazania do swych reformatorskich poczynań, i by dla współczesnej i przyszłej Turcji wyszukiwać z pośród najszerszych warstw, młodszego zwłaszcza społeczeństwa, utalentowane i wartościowe jednostki. Nie bez wzruszenia słuchałem opowiadań takich, jak to np. w czasie jednej z wypraw w stepy, „brat“ Mustafa Kemal, po rozmowie z wiejskim ubogim, lecz inteligentnym „braciszkiem“, również Mustafą, zainteresował się dołą młodego pastuszka, którego oddał do szkoły rolniczej, a następnie zatrudnił, w jednym ze swoich çiftlików; albo jak to znów innym razem, gdy obdarzał pieniędzmi i swym poleceniem również jakiegoś zaniechanego, lecz bystrego „braciszka“, ten, nie przywykły do tak hojnych darów, zapytał „brata“ Mustafę Kemala: „pocóż mi dajesz tyle pieniędzy, jeszcze nigdy w życiu tyle ich nie miałem“; dopiero w domu od opiekunów dowiedział się chłopak na podstawie wręczonego mu przez hojnego „brata“ biletu, o szczęściu, jakie go spotkało, gdyż oprócz doraźnej pomocy pieniężnej, został on skierowany do szkół, na koszt prezydenta. Takich zaś i podobnych epizodów, opowiadano mi w Turcji wiele.

Urozmaiceniem wieczorów były w Erzurumie muzyczno-wokalne koncerty zamiejscowego zespołu tureckiego, których smętne, przeważnie wschodnie melodie i tony, ożywiane jedynie od czasu do czasu modną podówczas w całej Turcji rumbą, ściągały elitę miasta i kołysały do snu hotelowych gości. Czasami udawaliśmy się z Mümtazem także do kawiarni drugorzędного hotelu „Ankara“, gdzie przy więcej mieszanym wyłącznie męskim zespole gości, wschodnim zwyczajem w kapeluszech wzgl. w czapkach na głowach, słuchaliśmy żalonych, wymownych swą tęsknotą tonów. Ciekawe te koncerty tureckie! Odbywają się one w ten sposób, że już to pod otwartym niebem w altance kawiarnianego ogródka, już to w zamkniętym lokalu, siedzący na podium nieco wyżej mężczyźni grają w małych zespo-

łach na przeróżnych instrumentach i gremialnie śpiewają, przed nimi zaś jako atrakcja dla gości i dekoracja, siedzą przystrojone w barwne suknie młode tureczki, — czasem jedna tylko, czasem więcej — prawie zawsze smutne i apatyczne, bez cienia uśmiechu albo kokieterii. Tylko od czasu do czasu podnoszą się one kolejno ze swych miejsc i odśpiewują solowe piosenki, po czym znowu siadają, i już to pogrążają się w zadumie, już to przyłączają się do śpiewu zespołu męskiego. Gdy zapytywałem towarzyszy, dlaczego młode ich śpiewaczki po odśpiewaniu swych piosenek tkwią w takiej apatii i zadumie, dlaczego nie reagują na spojrzenia mężczyzn, tłumaczono mi, że jeden nieopatrny uśmiech takiej wędrowniej śpiewaczki tureckiej mógłby być dla niej zgubny i równoznaczny z końcem jej kariery.

Jedynie w Stambule lub w Ankarze i to rzadko tylko oklaskiwano te koncerty. W Erzurumie i w innych miastach Anatolii nie jest to w zwyczaju, a nawet byłoby to uważane za niedelikatne objawianie jakichś uczuć, co mija się ze zwyczajami Wschodu. To też ilekroć zastanawiałem się nad wrażeniem, jakie mógłby wywołać w Turcji polski mazur, oberek lub krakowiak, śpiewane tam i tańczone np. w ludowych strojach przez nasze pełne werwy zespoły, zdawało mi się, że może nasze żywe tańce i melodie nie znalazłyby głębszego oddźwięku u melancholijnych Turków, wsłuchujących się z takim odczuciem, a często z dużym nawet ożywieniem, w smętne i niezrozumiałe niekiedy dla obcego ucha, a zwłaszcza dla obcej duszy, tony i melodie ich muzyki i śpiewu. Słyszałem w Turcji o istniejących tam dążeniach do modernizacji względnie europeizacji tamtejszej muzyki i śpiewu. Ale jeżeli prawdą jest — a tak być powinno — że muzyka i śpiew są wyrazem duszy ludzkiej, to sądzę, że niezależnie od propagandy muzyki europejskiej, naród turecki nie przestanie kultywować swych rzewnych i pięknych melodji, płynących przecież tak chętnie — jak to mogłem wielokrotnie stwierdzać — również z głębi dusz tej młodej inteligencji tureckiej, która z taką wiarą patrzy w przyszłość swej odrodzonej republikańskiej ojczyzny.

Wczesne ranki, prawie codziennie nieraz już od godziny 4 spędzałem w Erzurumie, w starej miejscowej rzeźni miejskiej, pozostającej pod kierunkiem sympatycznego lekarza weterynarii, byłego podpułkownika, który, jak mi opowiadał, odziedziczył w spuściźnie dawniejszej ery dwie żony, a tym samym dwie rodziny i dwa domy, jeden w Erzurumie, drugi w Stambule. Miarodajne czynniki oraz moi towarzysze nie bardzo chętnie prowadzili mnie tam po raz pierwszy, gdyż stara ta rzeźnia, tak ważna instytucja

aprowizacji miasta, przedstawiała się naprawdę opłakanie. Musiałem ją jednak poznać, gdyż praca w rzeźni wchodziła również w zakres mych badań. Zresztą obecne władze, budujące właśnie w Erzurumie piękną nowoczesną rzeźnię, bynajmniej nie są odpowiedzialne za opłakany stan sanitarny, odziedziczony z czasów otomańskich i karczowany wszędzie we współczesnej Turcji tak dużym nakładem kosztów i wysiłków. Tym zatem, którzy dziś jeszcze w Europie nieświadomi rzeczy, ronią łezkę za dawną sułtańską Turcją, niechaj omawiane stosunki dotyczące starej rzeźni erzurumskiej posłużą za jaskrawy przykład tego kulturalnego i gospodarczego zaniedbania, jakie współczesna Turcja zastała w swym państwie, i niechaj tym wyraźniej uwydatnią znaczenie odrodzeniowej i twórczej pracy, krzewionej dziś w Turcji na wszystkich odcinkach, z takim zapalem i pietyzmem.

Otóż w rzeźni tej, która przedstawiała się jako płaskodacha, kamienna i słabo tylko gliną wiązana istna rudera, uboje zwierząt odbywały się w czasie mego tam pobytu już to w ciasnym, ciemnym i wszelkiej higienie urągającym wnętrzu tej rudery, już to po prostu na wiodącej do niej drodze, nad strugą biegnącego rynsztokiem strumyka. Połacie i ćwiartki zabijanych na drodze sztuk bydła rozkładane na ziemi, na ściągniętych ze zwierząt skórach wabiły roje wygłodniałych kotów, które wałęsając się wśród świeżego mięsa z miaukiem i wyszczerzonymi zębami, sprawiały odrażające wrażenie.

Rankiem na tych samych miejscach spotykałem niejednokrotnie te same koty martwe. Poza tym stosowane w Turcji w celu łatwiejszego ściągania skór i uzyskiwania jaśniejszego mięsa nadymanie powietrza pod skórę bitych owiec, kóz i cieląt, odbywało się w tej starej rzeźni Erzurumu nie z pomocą miechów ręcznych lub mechanicznych, jak np. w Stambule, w Ankarze oraz w innych zwiedzanych przedtem i obecnie miastach, zwłaszcza Anatolii zachodniej. Uskuteczniali to tam ustami mali chłopcy, którzy zamiast uczęszczać do szkoły, od najwcześniejszej młodości przy tej ciężkiej i brudnej robocie nie tylko nadwyreżali płuca, ale nadto twarzą całą chłonęli do wnętrza wraz z tłuszczopotem zwierząt brud, oraz chorobotwórcze pasożyty i bakterie. Czyż można więc tęsknić za dawną powierzchowną barwnością otomańskiej Turcji, czyż wolno nie być entuzjastą Turcji współczesnej, która prowadzi państwo i szlachetny naród ku lepszej przyszłości? Dziś, również te opisane wyżej smutne stosunki, dotyczące pozornie drobnych a jednak w rzeczywistości bardzo ważnych szczegółów, należą na szczęście także w Erzurumie, do wspomnień niedawnej przeszłości.

Uruchomiono tam już bowiem nową, wspaniałą rzeźnię, budowaną w czasie mej bytności z bloków czerwonego piaskowca tamtejszych okolic, przez młodego i zdolnego tureckiego inżyniera-architekta, który w Ameryce północnej i w Niemczech, czerpał swą fachową wiedzę.

Z tej starej rzeźni erzurumskiej utkwił mi głęboko w pamięci jeszcze jeden interesujący obrazek, tak wiernie charakteryzujący Turków, rycerskich i nieznających pardonu w walkach z wrogiem, a równocześnie szlachetnych i braterskich z natury w swym życiu codziennym. Po prostu drżałem z przerażenia, gdy pewnego upalnego dnia, w ciasnym i śliskim wnętrzu starej rzeźni, trzykrotnie raz po raz zakipiała tłumna walka pomiędzy rozgorączkowaną młodzieżą rzeźniczą, zaopatrzoną — jak zwykle — w długie ostre noże, oraz w stalowe lancety do ich ostrzenia. Pewny krwawej masakry, pobiegłem do kierownika rzeźni z prośbą o jego interwencję. Trudno mi było wierzyć, gdy z całym spokojem i nie ruszając się z miejsca oświadczył mi on, że nie obawia się o kroplę krwi ludzkiej. Ale tak było istotnie. Nawet najbardziej zapalczywi podkładali swe noże, a walka wśród posoki zwierzęcej krwi miała charakter atletycznych i pięściarskich zapasów, cieszących się w Anatolii takim powodzeniem. Starsi czuwali nad prawidłowym przebiegiem walk, poczem wszyscy, zrazu jeszcze wśród żywej pogwary, powracali do swego krwawego rzemiosła, wykonywanego na zwierzętach.

Prócz dawnych sanitarnych zaniedbań, także żebractwo tak znamienne dla starej Turcji otomańskiej jest plagą, z którą w Erzurumie prowadzi się walkę. O ile np. w Stambule, w Ankarze i innych znanych mi miastach Anatolii, dawne nagminne żebractwo zostało już całkowicie wypłenione tak dalece, że nawet ślady jego nie wpadają tam dziś w oczy, w Erzurumie zwalczanie żebractwa znajduje się dopiero w początkach. Często zatrzymywał się tam wzrok na siedzących pod murami starych seldżuckich zabytków długowiecznych dziadach-monstrach o zniszczonych lub przegniłych twarzach, w których trudno było nieraz odróżnić ślady cech męskich od żeńskich. Ci przynajmniej nie byli natrętni. Natomiast na przedmieściach miasta trudno było nieraz opędzić się przed zgrają natrętnych żebrzących dzieci. Wymykając się przed okiem surowej policji, uprawiają one swój nawykowy proceder zdala od centrum miasta, gdzie już od wczesnego ranka w strzępach odzieży i z rozwichrzonymi włosami przy tym jednak najczęściej pucułowate i rumiane, a tylko usmarowane odpowiednio pyłem ulicznym, niby miauczące koty starej rzeźni Erzurumu, chwytają dosłownie za rękę lub surdudt przechodnia, nie dość czulego na ich napastliwość, sprawiającą wrażenie nędzy

fingowanej. W okolicach Erzurumu zebrzą także dzieci wiejskie, które wybiegając naprzeciw przejeżdżających aut i autobusów, zieloną gałązką lub pękiem kłosów zbożowych sygnalizują prośbę o jałmużnę.

Gdy mowa o tych pozostałych z dawnych jeszcze czasów cieniach, znikających coraz więcej w słońcu kulturalnego i gospodarczego odrodzenia współczesnej Turcji, należy tu jeszcze wspomnieć w paru słowach o nędznej odzieży wiejskiej i podmiejskiej ludności północno-wschodniej Anatolii, a w szczególności w okolicach Bajburtu i Erzurumu, gdzie ludność ta chodzi po prostu w strzępach. Chodzący w tych łachmanach ludzie nie zdejmują ich z siebie tak długo, dopóki nie rozsypią się one na nich całkowicie. Na moje zapytania ludzie ci rozkładając ręce, odpowiadali krótko: „isz jok, para jok“ (tj. „nie ma pracy, nie ma pieniędzy“). Prawdopodobnie mieli też jednak rację także ci moi informatorzy, którzy mówili o starych przyzwyczajeniach i o braku potrzeb tej ludności, na tle oświatowych i kulturalnych zaniedbań, panujących w starej Turcji otomańskiej.

W Erzurumie podobnie jak w ogóle wszędzie na wschód od Ankary, kobiety zasłaniają jeszcze twarze gęstymi, opuszczonymi od czoła czarszafami, względnie rzadziej, podtrzymywanymi niżej oczu szalami, oraz używają drewnianych, staro-tureckich sandałów. Tam dopiero inteligencja, tj. zwłaszcza wojskowe i cywilne sfery urzędnicze, a w szczególności wychowywana według nowych zasad młodzież, torują drogi nowym obyczajom.

W dniu 1 września, w drodze powrotnej z Karsu, zawitał w Erzurumie w swej podróży inspekcyjnej, minister rolnictwa prof. Muhlis, witany owacyjnie i z pompą należną członkowi rządu zwycięskiego Kemala. Spałem już wieczorem, gdy zbudził mnie Mümtaz i oznajmił mi, że minister przysłał po mnie swoje auto, i że zaprasza mnie do „konaku“ walego. Udaliśmy się natychmiast i w obszernym salonie „konaku“, wyścielonym cennymi dywanami, spędziłem długą chwilę przy boku uprzejmego ministra, wśród zebranej dokoła niego licznej śmietanki miasta i wilajetu. Minister interesował się żywo moimi badaniami oraz przebiegiem mojej podróży, i szczerze ubolewał, że pozbawiony stałego tłumacza-fachowcy, mogę zwłaszcza w Karsie, natrafić na trudności z powodu braku tam ludzi, znających język niemiecki. Nieświadomy stosunków, ośmieliłem się zapytać, czy w drodze do Karsu nie można by mi przydzielić pewnego żołnierza armii tureckiej, Niemca, pochodzącego z okolic Karsu, który przedstawił mi się, gdy fotografowałem oficerskie konie arabskie w Erzurumie. Gdy jednak z ust generała Abdurahmana

Nafiz, do którego zwrócił się w tej sprawie minister, padł między innymi wyraz „hristijan“ (tj. chrześcijanin), zorientowałem się od razu o śmiałości mojej propozycji. Minister opowiadał mi później obszerniej o decydującym stanowisku władz wojskowych na terenie strefy militarnej, oraz o zachodzących wątpliwościach co do sposobu informowania mnie przez człowieka, nie dość pewnego pod względem politycznego nastawienia.

Tymczasem, gdyśmy jeszcze rozmawiali w salonie konaku, zacny minister szykował już zarządzenia, aby telegraficznie wezwać do Erzurumu z Ankary któregoś z podwładnych mu młodych hodowców, znającego język niemiecki. Podziękowałem jednak za te miłe uprzejmości, akcentując jak zawsze, że nie chciałbym, by rząd turecki miał z mego powodu jakiegokolwiek koszty. Powtórnie nie było już czasu, gdyż ze względu na zbliżającą się porę deszczów jesiennych, pilno mi już było do Karsu i z powrotem do Polski. Podróż tłumacza z Ankary do Erzurumu musiałaby trwać co najmniej tydzień, odwołując o kilka dni mój wyjazd do Karsu, ostatniego etapu moich badań. Zresztą zdany zwłaszcza w Erzurumie, niemal wyłącznie na język turecki, dawałem sobie z nim już radę na tyle, że — ku zdumieniu Turków — zarówno w rozmowach potocznych, jak i w sprawach fachowych, mogłem się jako tako choć na ogół niezbyt gramatycznie, porozumiewać po turecku, nie potrzebując nadużywać uprzejmej pomocy majora dr Hadi, który w Erzurumie oddawał mi swe uprzejme usługi, jako tłumacz. Toteż żartowano nawet w Erzurumie, że właściwym tłumaczem moim był tam stały mój towarzysz Mümtaz, z którym choć nie umiał on po niemiecku wcale, rozumieliśmy się po turecku doskonale, a który nadto w moich tureckich rozmowach z innymi Turkami nieraz mi pomagał.

Interesując się moją powrotną drogą do Ankary, nakłaniał mnie minister Muhlis do powrotu tą samą drogą którą przyjechałem, odradzał mi natomiast usilnie, zamierzonego powrotu autobusem, na Erzindżan i Siwas. Później dopiero dowiedziałem się o napadzie buntowniczych Kurdów, którzy właśnie przed kilkoma dniami ograbiali koło Erzindżanu dwóch posłów z Erzurumu i Karsu, zmierzających wraz z dziećmi małym autem z Ankary, na powitanie ministra Muhlisa, bawiącego na terenie ich działalności. Demonstracyjny ten napad, aczkolwiek bezkrwawy i zakończony puszczaniem wybitnych posłów i ich dzieci w dalszą drogę, po ich ograbieniu, najdosłowniej jedynie w koszulach, odbił się w Turcji szerokim echem, i być może, że on to spowodował, iż minister Muhlis zaniechał zamierzonej i zapowiadanej w prasie drogi powrotnej do Ankary

przez Erzindżan i Siwas. Równocześnie, z jakichś ważnych przyczyn oczekiwany już tryumfalnymi bramami premier Ismet, któremu na życzenie ministra Muhlisa miałem być przedstawiony, cofnął zapowiedziany przyjazd do północno-wschodniej Anatolii.

Nazajutrz wieczorem znowu przyjechał po mnie do hotelu Mümtaz, po czym oczekujący nas na terenie budowy nowej rzeźni minister Muhlis, zabrał nas do stada ogierów w Ilydża. Po wspólnym zwiedzeniu zabudowań stajennych i obejrzeniu niektórych pięknych ogierów arabskich, odbyła się fachowa dyskusja na temat spraw hodowlanych, po czym burmistrz Erzurumu, w otoczeniu najwybitniejszych osobistości miasta i wilajetu, podejmował ministra wystawną kolacją. Malownicze było to nocne przyjęcie w pięknym obszernym i suto cennymi dywanami udekorowanym namiocie, przy blaskach pochodni. Siedziałem przy ministrze, który w swej doskonałej niemieckiej, rozumianej przy tej kolacji tylko przeze mnie, często zwracał się do mnie, a wyrażając mi w przyjaznych słowach swą życzliwość, informował mnie o niektórych szczegółach ogólnej rozmowy. Z innymi osobistościami, wśród których byli m. in. posłowie Erzurumu Nafiz, Nafi Atuf i Aziz, zamieniałem po turecku jedynie luźne zdania. Zwyczajem tureckim kolacja przeciągnęła się długo w noc. Ponieważ w okolicach Erzurumu na wysokości 2000 m także latem noce są bardzo chłodne, a ja nie przewidując tego nocnego przyjęcia w namiocie, byłem ubrany lekko, przeto marzłem, i lubo nie używam trunków, błogosławiłem tym razem rozgrzewające „raki“, którym dość obficie zakrapiano liczne przystawki oraz wystawną kolację.

Nadzwyczaj interesującym urozmaiceniem tego pełnego uroku przyjęcia, były demonstrowane przed namiotem przy skrzypcach i bębnie, miejscowe tańce czterech dorodnych mężczyzn, przybranych w odświeżone ludowe stroje, w barwne pasy i długie srebrne łańcuchy. Tańce te, w których — jak mnie informował minister — każdy gest i ruch ma swe symboliczne znaczenie, wykonywane zrazu w pozycji stojącej i bardzo powoli, ruchami ciała i drobnym przestępowaniem z nogi na nogę a potem już to w przysiadach, już to w podskokach, w tempie coraz szybszym, były nadzwyczaj ciekawe. Kulminacyjnym ich punktem, był tańczony parami przez dwóch mężczyzn taniec ze sztyletami, wymagający nadzwyczajnej wprost zgrabności i gibkości ruchów, a polegający na atakowaniu sztyletami i na zręcznym wymykaniu się w przysiadach wstecz, przed razami ostrzy, błyskających w szybkich ruchach. Tańczone przed namiotem w nocy, przy blaskach płonących łuczyw i pochodni, oraz przy wtórze ciekawych melodij miejscowych i chwytających

za serce melodjy azerbejdzańskich, tańce te sprawiały wprost niezatarte wrażenie. Na zapytania ministra, który tak jak ja, po raz pierwszy przyglądał się tym produkcjom w okolicach Erzurumu, o moje wrażenia, powiedziałem to, co mi wówczas tak wyraźnie rzucało się w oczy i cisnęło się do świadomości, a mianowicie, że te piękne tańce męskie, w szczególności te ze sztyletami, są do pomyślenia jedynie w społeczeństwie tak serdecznie zbratany i tak trzeźwym, jak społeczeństwo tureckie. Pod koniec przyłączyli się do tańczących Erzurumian posłowie i większość uczestników kolacji, którzy dla zaznaczenia wobec ministra swych republikańskich uczuć, podawszy sobie ręce, tańczyli zbiorowo i odtwarzali poszczególne figury i fragmenty. Późną nocą wracaliśmy do Erzurumu. Uprzejmy i sympatyczny minister, nie szczędził swych gorących uwag o Polsce i o jej czołowych postaciach współczesnych.

Następnego dnia w godzinach rannych, cała męska elita miasta zebrana w „konaku“, żegnała odjeżdżającego do Ankary ministra, odprowadzając go piechotą aż do fortecznego tunelu „Istanbulkapusu“. Po przejściu wzdłuż kompanii honorowej przy dźwiękach orkiestry wojskowej, opuszczał minister Muhlis (obecnie Muhlis Erkmen), Erzurum. Wali i niektórzy inni panowie towarzyszyli ministrowi aż do granicy wilajetu, ja zaś pożegnałem go po drodze w Ilydża, gdzie resztę dnia spędziłem na badaniu tamtejszych ogierów arabskich.

Dzięki szczęśliwej okazji spotkania na terenie mych badań ministra Muhlisa, przeżywałem zatem w Erzurumie podniosłe momenty i wrażenia, niedostępne na ogół zwykłemu śmiertelnikowi, w czasie krótkiego pobytu w obcych i nieznanym stronach.

Ale nagle oziębiło się. Opustoszał ogródek hotelu i wyjechał koncertowy zespół. Spadł pierwszy rzęsy deszcz, a równocześnie szczyty okolicznych gór zabieliły się przelotnie od śniegu. Trzeba już było zaniechać zamierzonego wyjazdu do wsi Souk Czernik i pospieszenie, póki nie rozpadały się deszcze na dobre, zdążyć do Karsu. Zaopatrzyłem się w niezbędną ciepłą odzież, poskładałem pożegnalne wizyty, przekazałem pieniądze przez bank rolny do Karsu, po czym zamówiwszy miejsce w ciężarowym autobusie, szykowałem się do wyjazdu. Inspektor tajnej policji politycznej Dżemi, o parę dni poprzedził mój wyjazd do Karsu, i depeszował mi stamtąd o wyszukaniu tłumacza. Zalecano mi nadto kontakt w Karsie z tamtejszym hodowcą i weterynarzem miejskim „rosjaninem“ Czipas-bejem, jako z doskonałym znawcą hodowlanych stosunków tamtejszych okolic. Jako konwojenta aż do Hasankale,

położonego w odległości 30 km na wschód od Erzurumu w drodze do Karsu, wyznaczono mi znajomego kapitana Tevfika. Wieczorem, dnia poprzedzającego mój odjazd, dyrektor Mümtaz zbierał ode mnie w celach urzędowych, szczegółowe dane, co do przebiegu poszczególnych dni spędzonych przeze mnie w Erzurumie, oraz co do treści moich zdjęć fotograficznych.

10. Droga do Karsu.

Z Erzurumu do Karsu można dostać się także koleją, a mianowicie do Sarykamysz wąskotorówką pochodzącą z czasów wojny światowej, zaś z Sarykamysz do Karsu, szerokotorową rosyjską linią kolejową, wiodącą do Leninakan (dawn. Aleksandropol), znajdującego się już na stronie rosyjskiej Armenii. Jednak jazda koleją jest znacznie uciążliwsza, dłuższa i mniej urozmaicona.

W dniu 12 września, już o godzinie 7 rano zgłosili się po mnie do hotelu kapitan Tevfik i dyr. Mümtaz wraz ze swym służącym Mustafą. Udaliśmy się dorożką przed hotel Kaukaski, skąd umówiony autobus ciężarowy zdążający do Karsu, miał zabrać mnie oraz kapitana Tevfika. Gdy jednak wkrótce okazało się, że z powodu małej ilości zgłoszonych pasażerów, autobus nie miał widoków rychłego odejścia, zdecydowaliśmy się na droższą jazdę małym autem („biniek otomobil“). Do Karsu miałem przed sobą 220 km drogi. Wyruszyliśmy z Erzurumu przed godziną 9. W ostatniej chwili, także uprzejmy dyr. Mümtaz, zdecydował się towarzyszyć nam do Haskankale. Prócz nas trzech i szofera, jechali nadto jacyś dwaj mężczyźni, oraz zmierzający do Karsu na nowe stanowisko pułkownik, którego obecność okazała się dla mnie korzystna, gdyż upraszczała różne formalności, jakim jako obcokrajowiec, na terenie militarnej strefy podlegać musiałem.

Dzień był pochmurny i wkrótce zaczął pokrapywać deszcz. Opuszczaliśmy twierdzę erzurumską przez forteczny tunel karski (Kars-kapusu). Za miastem na polach zboże zalegało jeszcze w snopach, a na ścierniskach i stepowych pastwiskach, mijaliśmy stada tłusto ogonowych czerwonych karamanów. Z przyjemnością i dumą słuchałem pochlebnych uwag, jakie surowy z miny pułkownik, wypowiadał po turecku do towarzyszków podróży, o doskonałej armii polskiej. Jechaliśmy zrazu płytkim lecz szerokim wąwozem rozszerzającym się w dalszym ciągu w dolinę. Po obu stronach szosy rozpościerały się zbożowe pola zachwaszczone ostem. Osty te pozostawiane przez kosarzy nieopatrznie w stanie nietkniętym,

groziły na przyszłość jeszcze większym zachwaszczeniem. Na suchych pastwiskach górskich, z których po deszczu spływała ku szosie woda, jedynie tu i ówdzie, i to tylko w partiach niższych, malowały się skąpe skrawki zieleni. Pasało się na nich czerwone bydło miejscowe, a wieśniacy zbierali skrzętnie i zwozili do wsi „tezek“, tak cenny w tych bezdrzewnych okolicach, opałowy materiał na zimę.

Gdyśmy zjeżdżali z gór w partie niższe, wyłoniły się przed nami na prawo, dwie góry w formie wulkanicznych stożków, zaś na lewo na wysokiej górze, naturalne złoża kamienne, imitujące jak gdyby fundamenty jakiejś potężnej twierdzy. Wiodła nas dobra szosa, wybita środkiem kamieniem. Wzdłuż szosy przydrożne kupki kamieni leżały w pogotowiu, na przyszłe poprawki. W wąwozach tu i ówdzie dały się obserwować podmurowania i wzmocnienia stoków; kamienne względnie betonowe mosty, były w dobrym stanie. Od czasu do czasu mijaliśmy wojskowe posterunki. Wkrótce na prawo, wyłoniły się znowu mocno poźłobione góry z charakterystycznymi skalistymi trzonami, po czym wjechaliśmy ponownie w rozległą uprawną równinę, obramowaną po bokach wysokimi górami, obniżającymi się stopniowo ku przodowi. Wysokie góry majaczyły nadto przed nami we mgle, na dalszym horyzoncie. We wsi Korudzyk, zwracały na siebie uwagę duże domy budowane z kamienia i gliny, ze stertami słomy lub ze stosami gliny na płaskich dachach. Liczne posterunki świadczyły, że wieś ta jest zamieszkała przez Kurdów. Za wsią w dalszym ciągu rozciąga się czas jakiś szeroka równina o charakterze rolniczo-hodowlanym. Za niższymi górami tworzącymi jej obramowanie od południa, wyłaniają się stopniowo nagie, skaliste i poszarpane wierzchołki, oraz wyższe góry posyte halami.

Na parę minut przed godziną 10, ukazało się przed nami na lewo od szosy Hasankale (ca 5000 mieszkańców) miejscowość kąpielowa, obfitująca przede wszystkim w doskonałe termy, zasobne w bezwodnik kwasu węglowego. Na planie bocznym, tj. od północy wznoszą się góry, a przed nimi ku szosie, u stóp skalistego wzgórzka z ruinami bardzo starego zamku arabskiego na szczycie, rozciągają się zabudowania miasteczka. W warzywnikach, wśród żółkłej już kukurydzy i słoneczników, zieleniły się jeszcze kobierce ogórków, kapusty, cebuli i innych warzyw. Na drutach telegraficznych przy szosie, zwracały na siebie uwagę chmury ptaków, a wśród nich kilka potężnych orłów. Zatrzymaliśmy się przed gmachem żandarmerii, skąd po załatwieniu formalności, oraz po pożegnaniu się z kapitanem Tevfikiem i dyrektorem Mümtazem, ruszyłem w dalszą

drogę. Pułkownik, któremu zależało na pośpiechu, naglił. Niestety formalności dotyczące mej osoby nie były załatwione należycie i u wylotu miasta posterunek żandarmerii cofnął nas z powrotem do komendy.

Dopiero o godzinie 11 opuściliśmy definitywnie Hasankale, mijając po drodze łaźienki (kaplidża), a na ulicach miasteczka ubogą ludność, w postrzępionej często odzieży i liczne żebractwo. Ledwo wyjechaliśmy za miasto, gdy puścił się z chmur drobny deszczyk, a w oddali za nami dał się słyszeć pierwszy grzmot, zwiastujący burzę. Minąwszy most za miastem, kilkakrotnie krzyżowaliśmy się z torem kolejki wiodącej do Sarykamysz, mając go już to po prawej, już to po lewej stronie szosy. Na prawo wyłoniły się potem wulkaniczne góry, a na lewo minęliśmy wioskę Köprü z łańcami słonecznika, kartofli i ogórków. Za wioską, po przeciwnej stronie szosy, zachował się w doskonałym stanie piękny, stary 6-lukowy most „Czoban-köprüsü“ nad rzeką Aras, pamiętający odległe bizantyjskie czasy. W dalszym ciągu drogi mijaliśmy skaliste góry z obsypanymi na zboczach gruzami.

Ślady niedawnej obfitej ulewy widniały na szosie, która na omawianym odcinku była gorsza i więcej wyboista. Kaluże rozpryskujące się pod kołami auta zalewały raz po raz jego przednie szyby, a niekiedy znów szuter z siłą uderzał o ściany. Auto musiało zwolnić biegu do szybkości 10—20 km na godzinę, a jedynie na lepszych odcinkach sunęliśmy z szybkością większą (30—50 km). Na lewo niskie wzgórza, a na prawo równina pozostająca pod uprawą zbóż, przedstawiały się dość monotennie. Dopiero później, wyłoniłone przed nami na horyzoncie poszarpane wulkaniczne góry ze skalistymi szczytami, dawały oku więcej urozmaicenia. W miarę naszego wspinania się wzwyż, pejzaż ożywiał się jeszcze więcej. Zwłaszcza po lewej stronie ukazała się piękna i rozległa panorama gór. Gdy z przodu krajobraz kąpał się w blaskach słońca, w tyle, tj. na zachodzie, z ciemnych chmur spływały strugi deszczu i błyskawice. Pola z ugorami lub z żółtą ściernią przedstawiały się na ogół smutno, a jedynie na dnie doliny nad samą rzeką zieleńiła się trawa, oraz byliny i drobne krzaki.

Koło stacji kolejowej Horasa (znaczonej na mapach jako Ardos) odbijał się w sposób kontrastowy od zielonej doliny rzeki górski szczyt przyprószony śniegiem (prawdopodobnie Kislar 2800 m lub Kusse 3418 m), obserwowany w oddali na prawo, który nasuwał myśli o zbliżającej się już w tych stronach zimie. W ubogiej wsi Horasa ożywionej skąpyimi warzywnikami i kępą drzew rosnących u samego jej wylotu, odbywał się sprzęt kukurydzy. O starannej

uprawie roli świadczyły tam gęsto rozmieszczone rowki, służące do regulowania wilgotności gleby. Gdyśmy mijali następnie wzgórze o całym szeregu napływowych warstwic, gromadziły się przed nami na niebie, ponad górami o pięknym fiołkowym kolorycie, gęste i czarne chmury, z których wkrótce spłynął na ziemię ulewny deszcz. Na kamienistej szosie, szuter rozrzucały kołami pędzącego auta, z całą siłą walił znowu w jego ściany, a ulewny deszcz zmoczył nie tylko umocowane po bokach auta bagaże, ale nadto przez otwarte boki, zacinał coraz silniej do środka. Przy silnym wietrze i wzmagającym się deszczu było zimno. Siedzący w tyle auta towarzysze podróży przemoczeni do nitki, szcękali najdosłowniej zębami. Pnąc się w górę, minęliśmy jakąś małą wioskę ukrytą wśród skał, po czym za wsią Horum oraz za wulkanicznymi szczytami wznoszącymi się po przeciwnej stronie szosy, wjechaliśmy po godzinie 13 na terytorium wilajetu karskiego. Pejzaż był na ogół smętny, a urozmaicały go jedynie już to fiołkowy koloryt gór, pokrytych niekiedy zieloną patyną miedzi, już to zalesione szczyty górskie, które zamigotały w oddali przelotnie, na prawo od kierunku jazdy.

Od granicy szosa wiedzie zrazu w dół, potem pnie się pętlą w górę, i znowu zjeżdża w dół, obok potężnych skał o charakterze zlepieńców. Liczne odłamki tych skał osypane jako duże głazy na zboczach aż do samej szosy, wskazują na niebezpieczeństwo, grożące na tym odcinku drogi. Zygzakami i wirażami, z całą ostrożnością, zjeżdżaliśmy do wsi Ziwin. Nagłe i ostre zakręty, które na tej przepaścistej drodze skłaniały szofera do wytężonej uwagi, trzymały pasażerów w napięciu. Przybyliśmy wreszcie do położonej malowniczo wśród wierzb nad rzeczką, wioski Ziwin, zostawiając na lewo przy wjeździe do wsi, wznoszące się na górze ruiny starego zamku. Ponieważ jazda nasza przedłużała się z powodu deszczu i rozmięklej miejscami szosy, przeto zatrzymaliśmy się w wiosce przed mostem, by w wiejskim zajeździe rozgrzać się herbatą, rozprostować strudzone członki, i posilić się zabranym w drogę prowiantem. Podłogę izby tego wiejskiego zajazdu, wyścielały pszenno-słomiane maty, a samodzielziały i kilimy zdobiły ściany.

Gdy po krótkiej przerwie o godzinie w pół do trzeciej ruszyliśmy w dalszą drogę ku Sarykamysz, deszcz ustał a przez pochmurne niebo przeblyskiwało nawet od czasu do czasu słońce i stroiło okolicę w kolory i blaski. W czasie postoju w Ziwin-köj szofer uszczelniał boki auta i ulokował mokry bagaż w jego wnętrzu, przez co ucierpiała znacznie swoboda naszych ruchów oraz względna już od samego początku wygoda jazdy.

Jadąc kiepską miejscami szosą, przez teren górzysty, pokryty wysterczającymi z gór skałami, oraz u podnóży nagich skał, minęliśmy kilka wsi, jak np. Kōtek i Karaurğan, obfitujące na polach w pszenicę, kukurydzę i konopie, na pastwiskach w tłusto ogonowe owce czerwone karamany, a w warzywnikach m. i. w kapustę, cebulę, fasolę, buraki i kartofle. Dalsza droga mocno kamienista, wiodła w połowie głębokości wąwozu, którego dnem płynie rzeczka wpadająca do Kars-czaju. Na zboczach i na szczytowych krawędziach tego wąwozu, piętrzyły się czasem pojedynczo, czasem grupami, skały — zlepierce rozsypane niekiedy w gruzy, a wśród tych skał błakało się bydło, szukając pożywienia na skąpo zadarnionych zboczach, na których od zielono-miedzianych porostów mieniły się kamienie mnogością barw. Na lewo mijaliśmy na tle tych skał ładną wieś Zaj, na prawo zaś skąpe jedynie kępy zielonej karłowatej sosny. Dopiero w dalszym ciągu jazdy pojawiały się przed nami zrazu luźno stojące duże sosny, po czym ukazał się rzadki wysokopienny las sosnowy, tak miły dla oka na tle pozbawionych zieleni okolic, który zwiastował już bliskość miasta Sarykamysz, położonego w otoczeniu sosen, na wysokości 2 200 m. Wśród zabudowań tego miasta wysuwały się w przejeździe na plan pierwszy pozostałości z 40-letniej rosyjskiej okupacji tych okolic, a więc przede wszystkim zabudowania dworca szerokotorowej kolei żelaznej, wiodącej stamtąd przez Kars do Rosji (z Sarykamysz do Karsu jazda koleją trwa 4 godziny), oraz przerobiona na meczet cerkiew prawosławna.

Po załatwieniu formalności w komendzie żandarmerii, ruszyliśmy w dalszą drogę, wiodącą przez ulice miasta, przy czym w jednej z nich auto nasze zostało zatrzymane przez młodego oficera, który wraz z rodziną wyszedł na spotkanie jadącego z nami do Karsu pułkownika. Wyraźny gest młodego oficera, złożenia pocałunku na rękę pułkownika, na co jednak ten ostatni nie zezwolił, przypominał żywo, opisane wyżej odnośnie obrazki z Erzurumu.

Za miastem, na lewo od szosy ukazały się wkrótce skalne głazy rozrzucone obficie na górach, a także po przeciwnej stronie szosy, gdy tylko skończył się las, wyłoniły się wzgórza, najeżone kamieniami, tworzącymi tam istne kamienne skorupy („taszyk“). We wsi Jağbasan obfitującej w stada czerwonych karamanów oraz w turbinowe urządzenia do nawadniania warzywników, miejscowa ludność gromadnie szufłowała w celu wysuszenia stopy zboża, zamoczonego pod gołym niebem przez nagły ulewny deszcz. Za wsią mijaliśmy w dalszym ciągu kamieniste góry, bądź to stojące w litych masywach, bądź to rozsypane w zwały kamiennych

gruzów. We wsi Czatak, kożuchy na grzbiecie u tamtejszych ludzi, przypominały znowu, bliską już w tych stronach zimę. W parę minut po godzinie 17 przejeżdżaliśmy przez obfitującą w gęsi i konie wieś Jeni Kazi, położoną nad rzeką Kars-czaj; bliskie zachodu słońce kryło się za chmury i nadawało górom piękny różowy koloryt. Jadąc następnie doskonałym odcinkiem szosy, mijaliśmy wieś: Joł Geczmes położoną na szerokiej równinie, potem Kara Hanysa, położoną również na zbożowej równinie o doskonałym czarnoziemiu, w której duże ilości „tezeku“ świadczyły o hodowli licznych inwentarzy, wreszcie Nowoselim różniącą się od innych wsi, drewnianymi domami o zewnętrznych ścianach obrzuconych gliną, oraz o dachach normalnych tj. spadzistych, krytych deskami, dachówką lub blachą.

W tej wsi bogatej, obfitującej w liczne drzewa i warzywniki, obserwowałem interesujące mnie małe gniade konie typu tarpana. Za wsią Olukły, słońce zaszło już definitywnie. Przez wieś Belli Ahmet, Ladi Kars i Petrowka mknęliśmy już o zmroku, rozległą równiną (owa) wśród zbożowych pól, ugorów oraz pastwisk (mer'a). W jednej z tych dwóch ostatnich wsi zatrzymano nas raz jeszcze przed posterunkiem żandarmerii, po czym konwojowani przez służbowego żandarma, dotarliśmy przed godziną 19 do Karsu.

11. Tureckie Zakaukazie.

W Karsie stanąłem w najlepszym hotelu miasta, tj. w Dżumhurijet-oteli, gdzie wskazano mi pokójce malutki wprawdzie, ale czyste. Trudności były jedynie z myciem się, gdyż wobec braku miednic i łazienek, odbywało się ono przy zbiorowej umywalni na korytarzu i to jedynie pod cieniutką strugą wody, spływającej z małego blaszanego zbiornika. Usłużny gospodarz proponował mi wprawdzie korzystanie z „kąpeli“ na strychu, tj. zaofiarował się z gotowością polewania mnie tam wodą ponad balią, nie korzystałem jednak z tej ryzykownej propozycji, a to z powodu silnych wiatrów i hulających na strychu przeciągów.

Wkrótce po moim przyjeździe do Karsu, zgłosił się u mnie w hotelu naczelny lekarz weterynaryjny oraz hodowca wilajetu karskiego Kemal Güney, powiadomiony przez władze Erzurumu o moim wyjeździe stamtąd. Od niego dowiedziałem się m. in., że wspomniany mi w Erzurumie rosyjski jego współpracownik „Czipasbej“ bynajmniej nie jest Rosjaninem, lecz że pochodzi z okolic Wilna i zna mowę polską. Składając nazajutrz rano wizytę Ke-

malowi Güney w jego biurze, zastałem tam również sympatycznego szczupłego staruszka p. Stefana Czibasa, który nie mogąc się już mnie doczekać, ścisnął mi dłoń z widocznym wzruszeniem. Pochodzi on właściwie z Kowna, z ojca krwi polsko-białoruskiej, oraz z matki Litwinki. Wyższe studia kończył w Charkowie, po czym od lat 35 żyje i pracuje jako weterynarz i hodowca w Karsie, skąd jedynie raz za cały ten czas, a mianowicie w roku 1905, odwiedzał ojczyste strony tj. Kowno, Wilno i Warszawę. Podobnie jak ongiś jego ojciec, mówi po polsku, toteż z ambicją ofiarował mi się za tłumacza wobec swego szefa i współpracownika. Ponieważ jednak w zapomnieniu wplatał często wyrazy i nawet całe zdania tureckie, i nie w zupełności mnie rozumiał, przeto ta pierwsza rozmowa była obustronnie bardzo męcząca i denerwująca. Wielokrotnie musieliśmy ją przerywać, w obawie o serce p. Czibasa, osłabione niedawnymi atakami malarycznymi i podniecone wzruszeniem oraz dużym wysiłkiem przypominania sobie wyrazów polskich, nieużywanych od długich lat. Ożeniony z Ormianką, jedną z kilku dziś zaledwie obywateli Karsu tej narodowości, ma p. Czibas trzech dorodnych synów, których imiona Władysław, Witold i Olgierd, tak wymownie świadczą o jego przywiązaniu do dawnych świętych tradycji i wspomnień.

Właśnie nadszedł do urzędu dorodny Olgierd, z sympatyczną pucułowatą i roześmianą twarzą, mającą tak wiele polskości w wyrazie. Patrząc na ten okaz zdrowia i siły, nikt by nie przypuszczał, że przed rokiem (1933) przechodził on straszną i ciężką 6-miesięczną chorobę śpiączki afrykańskiej, powodowaną pasożytem *Trypanosoma gambiense*, pokrewnym z *Trypanosoma spirocheta*, wywołującym kiłę u koni. W początkach tej choroby, której nabawił się w Stambule, zrazu słabo widział, potem przez 4 miesiące „spał“, lubo chodził przy tym i jadał. W związku z leczeniem przechodził aż 4 operacje lewej nogi, którą chciano nawet amputować. W czasie choroby ciepłotę ciała miał stale normalną, ale wychudł, jak się to mówi „do skóry i kości“. Po wyleczeniu zrazu łatwo i często tracił pamięć, którą dziś ma znowu doskonałą. Twierdzi, iż chociaż czuje się obecnie całkiem dobrze, był przed chorobą mocniejszy. Zastrzykami dożylnymi „sylootropiny“, którą zaczęto produkować od roku 1928, tj. od chwili wykrycia zarazka śpiączki afrykańskiej, wyleczył go z takim powodzeniem słynny neurolog turecki w Stambule, Hairullah. Ten opisany wypadek śpiączki afrykańskiej Olgierda Czibasa był głośny w Turcji i jest interesujący z tego powodu, że po dwóch analogicznych w Turcji wypadkach z okresu wojny światowej, z których pierwszy

zakończył się utratą rozumu, a drugi paraliżem szyi i głowy, był on w Turcji trzecim, a zarazem jedynym wypadkiem tej choroby, zakończonym całkowitym wyleczeniem, jak dotąd bez jakichkolwiek widocznych ujemnych następstw.

Z powodu słabej niemczyzny p. K. Güneja, słabej turecczyzny mojej, oraz wobec szybkiego wyczerpywania się p. Czibasa i jego początkowych trudności w mowie polskiej, sprowadzono do pomocy tłumacza ze znajomością języka niemieckiego. Później gdy p. Czibas rozgadał się po polsku, rozmowa nasza szła już całkiem gładko, a nadto Hajri, dyrektor miejscowej fabryki konserw mlecznych, mówiący biegle po niemiecku, był mi wielce pomocny w zbieraniu informacji fachowych.

Miasto Kars, położone nad rzeką tej samej nazwy (Kars-czaj) na rozległym płaskowyżu wysokości 1750 m, liczy 11 000 mieszkańców. Jest ono głównym miastem wilajetu, które należy już do Zakaukazia. Wilajet karski obejmuje 10 powiatów, a mianowicie w kierunku z północy na południe, następujące: Poshof, Ardahan, Czyldyr, Arpaczaj, Kars, Göle, Sarykamysz, Kağizman, Tusludża i Iğdyr. Wsi jest w wilajecie 1 000, z czego na sam powiat karski przypada ich 128. Większych majątków jest na terenie wilajetu niewiele. Ze względu na duże odrębności klimatyczne, rozróżnia się na terenie wilajetu aż trzy rodzaje klimatu, a mianowicie: 1) klimat bardzo ostry (syberyjski) w powiatach Ardahan, Czyldyr, Göle i Sarykamysz, z maksymalną temperaturą latem 10—15° ciepła, zaś minimalną w zimie 35—40° zimna, 2) mniej zimny klimat w powiatach Kars i Arpaczaj, o maksymalnej temperaturze latem 15—20° ciepła, oraz o minimalnej temperaturze zimą 30—35° zimna, 3) wreszcie więcej gorący klimat w powiatach Poshof, Kağizman, Tusludża i Iğdyr, o maksymalnej temperaturze latem 20—25° ciepła, zaś minimalnej zimą 25—30° zimna. W tej trzeciej strefie klimatycznej w powiecie Iğdyr maximum letnie wynosi 40°, zaś minimum zimowe 15—20°. To też w Iğdyr kwitnie uprawa bawełny, ryżu i sezamu, a nadto powiat ten słynie z uprawy winogron i z innych owoców, w które zresztą obfituje cała trzecia strefa klimatyczna wilajetu. Najwięcej opadów deszczowych, przypadających głównie na miesiące maj i czerwiec, panuje w trzeciej strefie klimatycznej. Częste i silne wiatry, są charakterystyczne dla całego wilajetu. Na terenie wilajetu zima trwa 6—7 miesięcy, a śnieżna powłoka zalega na polach od października do maja. Jedynie w Iğdyr zima jest krótsza, 4-miesięczna. Zamrażalność włościan jest średnia, zaś poziom uprawy roli i jej wydajność są słabsze, nie tylko z powodów klimatycznych, ale

zwłaszcza z powodu słabej siły nawozowej gleby, gdyż nawóz i odchody zwierzęce służą wyłącznie na opał. Natomiast pod względem hodowlanym wilajet karski jest dla Turcji bardzo ważny i uchodzi pod tym względem za najlepszy w państwie. Obfituje on w doskonale pastwiska górskie (jajła) i równinowe (mer'a) i produkuje bardzo dużo znakomitego siana, które choć krótkie, jest bardzo dobre i jak zapewniano, nie ustępuje w górach najlepszemu sianu alpejskiemu. W powiecie Göle, nawet na terenach o charakterze podmokłych trzęsawisk, ruszających się pod nogami i obfitujących w chorobotwórczą motylicę, siano jest dla bydła dobre. Ze zwierząt domowych hoduje się w okolicach Karsu głównie bydło, owce i konie, a w mniejszym stopniu także bawoły, kozy i osły.

Zaraz na wstępie, w związku z rozmowami na temat spraw hodowlanych, dowiedziałem się interesujących szczegółów o zamieszkałych w okolicach Karsu „mołokanach“, których nazwa wiąże się ponoć z rosyjskim określeniem mleka „mołoko“. Mołokanie jest to sekta rosyjskich przeciwników wojny, która prześladowana i tępiona przez rząd rosyjski, została wysiedlona swego czasu z Rosji zachodniej i środkowej, do Syberii, na Kaukaz i do Turkiestanu. W roku 1877 przesiedlili się oni częściowo również do tureckiego Zakaukazia. Zajmując się ze szczególnym zamiłowaniem hodowlą zwierząt domowych, przywędrowali oni w okolice Karsu wraz z końmi i stepowym ukraińskim bydlęciem. Hodowla zwierząt i mleczarstwo przedstawiają główne ich zajęcia. Są oni nie tylko przeciwnikami wojny, ale w ogóle unikają krwi i nie chcą jej widzieć na oczy. Poza tym nie używają alkoholu, nie palą tytoniu, brzydzą się kłamstwem oraz kradzieżą. Wierni swym zasadom, zrazu uchylali się od służby wojskowej w tureckiej armii i emigrowali w tym celu do Bolszewii, skoro jednak przekonali się, że i tam obecnie musieliby służyć w wojsku, powrócili do dawnych siedzib w wilajecie karskim. Wyznają wiarę chrześcijańską, uznają ewangelię, nie uznają jednak ani kościoła, ani obrazów, ani krzyża. Święcą niedzielę, a na modły zbierają się w prywatnych domach pod egidą pastora, którym automatycznie jest najstarszy we wsi mołokanin. Przy wymawianiu słowa Bóg, celem oddania mu czci podskakują, i w ogóle ich modły, po których niekiedy popadają w konwulsje, odbywają się w ekstazie. Co sobotę myją się gruntownie, i w sposób prymitywny lecz oryginalny, a mianowicie lejąc zimną wodę na rozżarzone kamienie, poddają ciało dezynfekcji przez działanie pary. W niedzielę odświętnie ubrani nie pracują, co Turkom jako mahometanom, nie przestrzegającym ściśle wypoczynku w piątkowe dni bajramu, wydaje się oryginalne.

Podobną do mołokanów jest rosyjska sekta „duchoborów“ tj. znawców dusz (po turecku „Ruh Perest“). Także duchoborzy są przeciwnikami wojny i również zajmują się z zapałem hodowlą zwierząt. W obrębie obu tych sekt mężczyźni zapuszczają w wieku męskim długie brody, których nie golą wcale przez całe życie. Z czasem członkowie tych sekt tak się przemieszali, że dziś nie łatwo dają się rozróżnić. Jak długo mołokanin jest kawalerem, sypia w pokoju wspólnie z rodziną na otwartym łóżku (czasem dwie do pięciu osób razem), lecz gdy się żeni — co ma miejsce wcześniej — otrzymuje kotarę na małżeńskie łóże. W rozmowie pomiędzy sobą mołokanie posługują się językiem rosyjskim, ale znają też dobrze język turecki. Przy powitaniach podobnie jak Żydzi w Turcji, używają arabskich wyrazów „selamin alejküm“. Za swe dobre dusze i łagodny charakter — zarówno mołokanie jak i duchoborzy — są w Turcji lubiani i uchodzą tam za dobrych obywateli państwa. Wspominano mi w Karsie, że w Rumunii w okolicach Braiły, w obrębie podobnej sekty mężczyźni w określonym, podeszłym wieku życia, zrywają z życiem doczesnym i celem dokończenia go w całkowitej kontemplacji poddają się zabiegom sterylizacji. Natomiast nie umiano mi powiedzieć, czy w Turcji mołokanie i duchoborzy poddają się podobnym zabiegom. Gdy mowa o tych różnych sektach i ich oryginalnych zwyczajach, należy tu jeszcze wspomnieć o zabronionych obecnie w Turcji religijnych obyczajach perskich, polegających na dobrowolnym kaleczeniu ciała w ciągu 10-dniowych świąt Muharrem, zaczynających się w dniu 17 kwietnia.

Na terenie wilajetu karskiego omawiani mołokanie i ruh-perest hodują najlepsze konie, poprawione i pogrubione krwią kłusaków orłowskich, bitiugów oraz perszeronów. Wszyscy mężczyźni tych sekt są doskonałymi woźnicami i jeżdżą stale czwórką koni zaprzęgniętych do dużych, czterokolnych wozów. Dzięki wpływowi rosyjskim, prymitywnych anatolijskich dwukolnych wozów o drewnianych osiach („kağny“) nie spotyka się na terenie wilajetu karskiego wcale. Nie bez poczucia pewnej kulturalnej wyższości, zwracali mi na to niejednokrotnie uwagę tureccy rolnicy tamtejszych okolic.

Mimo iż Kars leży niżej niż Erzurum, bliskość wysokich gór Zakaukasia i Kaukazu, oraz przeciągające doliną rzeki ostre wiatry sprawiały, że zwłaszcza wobec spóźnionej już pory, było w Karsie zimno. Obecność śniegu widoczna w okolicznych górach, oraz zapocone rankami pojedyncze okna hotelu potęgowały te wrażenia. Dawaly się nadto we znaki tak charakterystyczne dla Karsu rap-

towne skoki temperatury w ciągu dnia. Niekiedy kilkakrotnie w ciągu dnia trzeba było zmieniać wierzchnią odzież. Po chłodnych rankach godziny południa były zwykle gorące tak, iż wystarczało samo ubranie, a wieczorami mimo dwóch nieraz płaszczy, trzeba się było szybko poruszać, by nie marznąć. Ciepła odzież, którą w drodze do Karsu kupiłem w ostatniej chwili w Erzurumie „na wszelki wypadek“, okazała się istotnie wysoce przydatna.

W porównaniu z Erzurumem, który położeniem i klimatem góruje nad Karsem, zaznaczają się w Karsie, zarówno w rozplanowaniu miasta jak i w jego budynkach, wyraźnie wpływy rosyjskie. Wskazują na to szerokie ulice, większe i solidniejsze na ogół domy — choć wiele z nich było w ruinie — wreszcie obecność licznych w większości pozamykanych prawosławnych cerkwi. W mieście rozciąga się nad rzeką ogród miejski, a za nią w pobliżu, na jednym ze szczytów otaczających miasto wyniosłości, wznosi się ciężki i wspaniały zamek-twierdza, stojący na straży bezpieczeństwa Turcji od północo-wschodu. Malowniczością swego położenia, potężnymi rozmiarami i w szczególności tchnącą średnio-wieczem całością wyglądu, sprawia ten ciężki zamek karski silne wrażenie. Uzyskanie jego reprodukcji było niestety niemożliwe. O ile ze względów strategicznych, widoki miasta Karsu były w ogóle prawie nie do nabycia, tak iż jedynie ze starych klisz pewnego miejscowego fotografa udało mi się uzyskać parę zdjęć fragmentarycznych, to fotografowanie zamczyska jest nie tylko surowo zakazane, ale nadto bardzo surowo karane.

Kars kilkakrotnie przechodził w ręce rosyjskie, zanim ostatnio został włączony do republiki tureckiej. Po raz pierwszy był on zajęty przez Rosjan w roku 1828, lecz w tym samym jeszcze roku powrócił do Turcji. Potem tak samo na krótko, zajęła go armia rosyjska w roku 1855. Wreszcie zajęty przez Rosjan w latach 1877/78 pozostawał pod ich okupacją przez lat 40, tj. do roku 1918. Opuszczony wówczas przez armię i władze rosyjskie, pozostawał zrazu w rękach miejscowej ludności, pod rządami tzw. „Milli Sura“, tj. Rady Narodowej. W lutym 1919 r. zajęli Kars Anglicy, usunęli „Milli Sura“, a zesławszy jej członków na Malte, oddali miasto i okolicę Ormianom. Dopiero w dniu 30 października 1920, po wypędzeniu Ormian, zajęli Turcy wilajet karski definitywnie, odzyskując go za pomoc, udzieloną Rosji bolszewickiej przy likwidacji niepodległościowych aspiracji trzech zakaukaskich republik, a mianowicie Gruzji, Azerbejdżanu oraz Armenii, które dziś w ramach Rosji bolszewickiej, korzystają jedynie z tak względnej autonomii.

Wolne od zajęć chwile wieczorne spędzałem już to w gościnnym domu p. Kemala Güney, który w otoczeniu miłej małżonki oraz sporej gromadki drobnych dzieci podejmował mnie z turecką gościnnością, już to zwłaszcza w tak mi bliskim uczuciami domu pp. Czibasów, gdzie w miłym nastroju, nacechowanym z jednej strony chrześcijańskim duchem całej rodziny, z drugiej zaś szczerym przywiązaniem do Turcji i entuzjazmem dla jej współczesnego kierunku, wiązały nas nadto tęskne wspomnienia p. Stefana Czibasa o Polsce i o jego ojczystych stronach. Jako nie tylko doskonały praktyk, ale zarazem jako człowiek mego fachu o dobrych podstawach teoretycznych, był on dla mnie nadto pierwszorzędnym źródłem wartościowych, fachowych informacji. Nie mogąc mi towarzyszyć z powodu malarii i lichego zdrowia, nie szczędził mi swych cennych uwag, a do pomocy w terenowych badaniach oddał mi do dyspozycji swego syna Olgierda, który jako student hodowli i weterynarii w Ankarze, dzieląc me zainteresowania, był mi bardzo pomocny.

Pewnego razu dyrektor Kemal Güney, nawiązując do moich zainteresowań na temat reformy prawa małżeńskiego we współczesnej Turcji, opowiadał mi o niesnaskach i wprost o domowych wojnach, jakie na tle zniesionego obecnie w Turcji (od roku 1926) wielożeństwa, panowały tam dawniej często pomiędzy poszczególnymi żonami i ich dziećmi, oraz o ciężkim i niełatwym zadaniu mężczyzny, który musiał utrzymywać w ryzach skłóconą rodzinę. W związku z tym opowiadał mi on znaną turecką anegdotę o dwóch Turkach, którzy zazwyczaj już bardzo wczesnym rankiem spotykali się w meczecie, gdzie — jak się okazało — szukali nie tyle natchnienia do modlitwy, ile raczej schronienia przed domowymi awanturami na tle wielożeństwa.

Po złożeniu wizyt w Karsie, oraz po zebraniu informacji fachowych, dotyczących całokształtu stosunków hodowlanych na terenie wilajetu, urządziłem codzienne bliższe lub dalsze wycieczki do ważniejszych okolicznych punktów badań. Pierwszą była całodzienna wycieczka do wsi Ağczalar i Zöhrap w powiecie Arpaczaj. Wycieczkę tę odbywałem zaprzężoną w trzy konie arabskie, w towarzystwie dyrektora K. Güneja oraz Olgierda Czibasa. Dzień był pogodny i słoneczny, lecz chłodny. Zatrzymując się od czasu do czasu przy stadach owiec, jechaliśmy zrazu na wschód, potem na północ, rozległą równiną o glebie żyznej, lecz ubogiej w wodę. Na dalszym planie obserwowaliśmy okoliczne góry, w większości białe od śniegu. W tyle mieliśmy za sobą górę Aflach Ekbar (3 114 m) w powiecie Sarykamysz, na prawo tj. na wschodzie, już w ro-

syjskim, armeńskim Zakaukaziu, Alagöz (4 096 m), z przodu więcej na lewo, górę Kysyr (3 200 m), a przed sobą górę Akbaba (3 040 m). Nieco później, po prawej stronie od kierunku jazdy, wyłonił się na dalekim horyzoncie duży Ararat (5 756 m) zwany „Arką Noego“, który jak wiadomo, jest wygasłym wulkanem, charakterystycznym przez obecność krateru i wiecznego śniegu; nieco później dał się też widzieć bliźniaczy Ararat mały (3 915 m). Ten widok potężnych i białych od śniegu szczytów, na tle uprawnych pól i pięknej słonecznej pogody sprawiał przepiękne wrażenie i wprowadzał nas wszystkich w radosny nastrój. Jedyne nasz arabadzi, zacinając raz po raz konie do szybszej jazdy, nucił jakieś smętne melodie.

W odległości 13 km od Karsu minęliśmy turecką wieś Mezrea, gdzie kobiety suszyły jogurt, oraz drewnianymi pałkami rozdrabniały ziarno pszenicy na krupy i mąkę. Nieco dalej na lewo minęliśmy również turecką wieś Dżamszausz, po czym ładnym wiszącym mostem żelaznym przeprawiliśmy się przez skalisty wąwóz, toczący wody Kars-czaju. Za mostem na polach, dobrze umundurowane oddziały armii tureckiej odbywały manewry. Jadąc dalej, spotkaliśmy po drodze pierwszych mołokanów, zdążających potężną wiejską arabą do Karsu. Jako znajomi moich towarzyszy, zatrzymali się, porozmawiali i częstowali nas dorodnymi tarczami słońca, zwanymi żartobliwie w okolicach Karsu „mołokańską gazetą“. Pochodzi to stąd, że w chwilach wolnych od zajęć, a zwłaszcza w niedziele, wyluskując i rozgryzając pracowicie ziarnka słońca, uprawianego na większą skalę, oddają się mołokanie rozmyślaniom na temat różnych spraw świata. Toteż i my zaopatrzeni w liczne egzemplarze „mołokańskich gazet“, idąc wzorem mołokanów, zagłębialiśmy się pracowicie w ich treść i rozmyślaliśmy o interesujących nas sprawach.

Ciszę przerywał jedynie częsty i silny gwizd naszego arabadzi, który prócz bata, w ten oryginalny i charakterystyczny dla okolic Karsu sposób, popędzał ciągnącą nas trójkę koni. W odległości 20 km od Karsu, wjechaliśmy w długą wieś Uzun Zaim, zamieszkałą przez kaukaskich Turków (Turkmenów), zwanych tam „Terekeme“, którzy po wojnie przesiedlili się z Kaukazu do Anatolii. Niektóre lepsze domy o spadzistych dachach krytych dachówką, są tam pozostałością po mołokanach, którzy jak już o tym była mowa, próbowali emigrować do Bolszewii. Ozdobą wsi jest ładna szkoła, budowana z kamienia i kryta czerwono malowaną blachą, przerebiona z dawnego mołokańskiego domu modlitwy. Tam w Uzun Zaim, w stadzie kóz, spotkałem po raz pierwszy bardzo interesu-

jące domowe kozy o szablasytch tj. półkolistych rogach, typu dzikiej kozy bezoarowej (*Capra aegagrus*), ważne z tego szczególnie powodu, że ostatnio w nauce negowano istnienie domowych kóz tego typu. W odległości 1 km za Uzun Zaim minęliśmy na prawo wieś Kurdów Akcze-kale, wreszcie na kwadrans przed samym południem, stanęliśmy w czysto tureckiej wzorowej wsi Ağczalar.

Jak mnie informowano, w każdym powiecie wilajetu karskiego istnieje obecnie jedna do dwóch takich wsi wzorowych (tzw. numune-köj), w których pod opieką czynników rządowych prowadzi się gospodarkę przykładową dla wsi okolicznych. Przyjął nas naczelnik wsi Arslan-oğlu Iskender. Wzorowa wieś Ağczalar obejmuje 50 domów i 350 dusz. Na zagrodę naczelnika tej wsi składają się prócz innych płaskodachych budynków stawianych z kamienia i gliny, dwuizbowy domek mieszkalny z przybudówką, obejmującą kuchnię, spichlerz i magazyn na narzędzia rolnicze, osobny budynek mieszczący kuźnię i warsztat ciesielsko-stolarski, oraz mały budynek gościnny, wyposażony w drewnianą pryczę, stół, ławki i krzesła. W sypialnych pokojach mieszkalnego domku o podłodze z glinianej polepy, rzuciły się w oczy duże ilości pościeli, zwłaszcza poduszek i kołder, a w magazynie narzędzi m. in. dwie nowe kosiarki oraz grabiarka. W obszernej izbie budynku gościnnego po umyciu przez nas rąk, przyjmował nas Arslan-oğlu Iskender sutym obiadem, na który składały się pieczone kury, sery, jaja, chleb, jogurt, placki i herbata, nadto przywieziony przez nas z Karsu kawon. Podczas posiłku informowano mnie, że we wsi znajduje się związek hodowców koni obejmujący 160 sztuk koni mołokańskich, w czym 63 klaczy. Na okolicznych pastwiskach górskich — które zwiedzałem nazajutrz — znajdowała się prymitywna stajnia ogierów rządowych, przysyłanych corocznie na okres kopulacyjny. Poza tym w ogóle stan zwierząt domowych był w Ağczalar duży — jak o tym świadczą następujące cyfry: owiec 2 100, bydła 800, kóz 100. Z narzędzi rolniczych samych kosiarek było we wsi aż 25. Po obiedzie i zbadaniu większej ilości koni, pożegnaliśmy gościnnego gospodarza i ruszyliśmy w dalszą drogę do mołokańskiej wsi Zöhrap, położonej w odległości 3—4 km od Ağczalar. Czas jakiś biegły za nami potężne psy anatolijskie, śmietankowo żółte, lub wilczate, o ciemnych twarzach, o krótkiej lub długiej sierści na tułowiu.

Do mołokańskiej wsi Zöhrap droga wiodła przez doskonałą groblę, a następnie przez szpaler drzew, ciągnący się też wzdłuż wsi po obu jej bokach. Wyjeżdżający właśnie ze wsi pastor Mi-



Wieś Göz pod Erzurumem, ze stertami słomy na płaskich dachach domów, jako zabezpieczeniem przed zimowymi opadami atmosferycznymi (zdjęcie autora)

Fragment wsi Ilydża koło Erzurumu nad rzeką Pulur-czaj, dopływem Eufratu. Widoczne na ziemi kopy suszonych odchodów zwierzęcych („tezek“), służących na opał (zdjęcie autora)



Młocka („harman“) pszenicy prymitywnym narzędziem „dögen“, ciągniętym przez woły, w okolicach Erzurumu (zdjęcie autora)





Fragment ogólnego widoku miasta Karsu (zdjęcie tureckie)



Obiad u agi Mehmeta,
na halach Keczebürk,
w okolicach Karsu
(zdjęcie autora)

U pracowitych mo-
łokanów wsi Zöhrap
w okolicach Karsu
(zdjęcie autora)



kołaj Efimowicz ucieszył się naszym przybyciem i zawrócił z nami. Po drodze pewien mołokanin zatrudniony w zagonach, zapytany przez Olgierda Czibasa o „gazetę“, podał istotnie piękne tarcze słonecznika. Potężnie szerokim gościńcem, mijając liczne bielone domki o spadzistych dachach, wjechaliśmy do zagrody pastora. Na pytania stawiane przeze mnie po polsku, sędziwy pastor odpowiadał po rosyjsku. Wieś Zöhrap obejmuje 74 domów i 640 dusz. Rola w ilości 1 660 dziesięcin tworzy wspólnotę, dzieloną pomiędzy dusze. Ogólny stan zwierząt domowych liczył we wsi 250 koni, 800 sztuk bydła, 500 owiec i trochę kóz. W dużej izbie domu pastora wpadły mi w oczy przede wszystkim dwa zasłonięte kotarami łóżka. Na dziedzińcu pod gołym niebem, w otoczeniu całej gromady, spożywaliśmy przy dużym stole podwieczorek, złożony z herbaty, chleba, plastrów miodu i ogórków. Mężczyźni mołokańscy „chłop w chłopu“ wszyscy prezentowali się zdrowo i okazale. U starszych uderzały długie brody, które w połączeniu z obfitym zarostem twarzy pozwalały niekiedy, spod daszków czapek, oglądać jedynie oczy i zaledwie skrawki nieobrośniętej dokoła nich twarzy. Łagodny wyraz i dobroduszość były z dużych mołokańskich obliczy. Kobiety mołokańskie na sposób rosyjski, nie zasłaniają oblicza i pracują wspólnie z mężczyznami. Wzorowa gospodarka i schludna oraz dobrze zorganizowana praca całej rodziny przy młynkowaniu zboża, obserwowane w zagrodzie pastora, sprawiały jak najlepsze wrażenie.

Ponieważ z powodu zimnych w okolicach Karsu wieczorów i nocy dyr. Kemal Güney naglił do powrotu, przeto już o godzinie 17 opuściliśmy gościnną zagrodę Mikołaja Efimowicza i żegnani serdecznie przez męską mołokańską gromadę, ruszyliśmy na krótsze drogi w stronę Karsu. Szczególnie szybko i przy nieukrywanym niepokoju dyrektora Güneja mijaliśmy wioski zamieszkałe przez Terekeme, gdyż jak mi on opowiadał, ci Terekeme — zimą i latem chodzący w baranich „papachach“ na głowie — słyną z zapalczywości i pochopności do rozbojów.

Dzień następny pogodny wprawdzie, lecz z powodu ostrego wiatru zimny, poświęciłem na poszukiwanie kóz, które na tle interesujących mnie zagadnień, z tego co już widziałem, i jak mogłem wnosić z rozmów zapowiadały się w tureckim Zakaukaziu najciekawiej. Ponieważ dyrektor Güney nie mógł mi w tym dniu towarzyszyć, przeto dla obrony i bezpieczeństwa przydzielono mi na ten dzień młodego uzbrojonego żandarma, niejakiego Mehmeta. Razem więc z nim i w towarzystwie usłużnego Olgierda, pojechaliśmy arabą do Keczebürk — jaja (Ağczalar — jaja), a więc na

halę Keczebürk, przynależną do znanej nam już z dnia poprzedniego wzorowej wsi Ağczalar. Hala ta położona u stóp góry Bütük Jahyn, w niedużej odległości od mniejszej góry Kütçük Jahyn, jest pobożowiskiem z okresu wojny światowej, kiedy to Turcy z Kütçük Jahyn a Rosjanie z Bütük Jahyn prażyli do siebie wzajemnie z fortecznych murów, których widoczne z dala szczątki nasuwają tam dziś jeszcze te reminiscencje.

Droga do Keczebürk-jajła wiodła przez wieś Taszkof, poprzez rozległe kamieniste nieużytki („taszłyk“). Na hali spotkałem po raz pierwszy bardzo ciekawe kozy gruzińskie typu Capra falconeri, o rogach u samców skręconych do środka, przy tym sterzących pionowo lub krzyżujących się niekiedy w swym dalszym pionowym przebiegu, gdy natomiast mleczne samice tej rasy są na ogół bezrogie. Po pracy korzystaliśmy tam z gościny bogatego mieszkańca wsi Ağczalar. Gościł nas w towarzystwie znanego nam już naczelnika wsi Arslan-oğlu Iskender, niejaki Mehmet ağa efendi. (Jak wiadomo zniesiony obecnie w Turcji tytuł ağa, odpowiadający szlacheckiemu tytułowi bej, przysługiwał najbogatszym włościanom). Obaj wymienieni gospodarze posiadają w Keczebürk-jajła rozległe hale (jajła), otrzymane od rządu tureckiego. W maju 1934 roku rząd turecki, za wzorową gospodarkę hodowlaną, obdarzył mianowicie sześciu tamtejszych włościan, a wśród nich obu wymienionych, pastwiskami o łącznej powierzchni 12 000 denüm tj. 1 200 ha. Otrzymali więc oni po 2 000 denüm tj. po 200 ha pastwisk na osobę. Na mienie Mehmeta aghi, który nas gościł, składało się co następuje: 2 000 denüm (tj. 200 ha) roli w Ağczalar, 2 000 denüm (200 ha) pastwiska w Keczebürk, 30 koni, 100 sztuk bydła, 800 owiec i 50 kóz. Na obiad który z powodu ostrego wiatru spożywaliliśmy pod ścianą potężnej sterty siana, na barwnym i wzorzystym wołokowym kobiercu, a do którego po starannym umyciu rąk zasiedli po turecku prócz mnie i Olgierda, Mehmet ağa, Arslan oğlu Iskender, żandarm Mehmet i nasz arabadzi (woźnica), złożyły się następujące potrawy podane w blaszanych miskach na niziutkim stoliku, nakrytym czystą serwetą: tłusta zupa z makaronem, czerwona od pomidorów i papryki, krajane w gruby makaron kluski z jogurtem, pieczone jagnię tzw. kuzu (danie uroczyste), mięso owcze, chleb prząsny w formie znanych nam już cienkich i wiotkich placków, cebula, jogurt i chudy ser.

Gdyśmy wracali do Karsu, atakowały nas od czasu do czasu duże grupy potężnych krótkowłosych psów pasterskich. Wesoły arabadzi pogwizdywał i śpiewał z fantazją, a Olgierd wtórował mu

ochoczo, pragnąc widocznie zostawić mi z okolic Karsu jak najweselsze wspomnienia. Gdy za zgodą żandarma ubił on z jego karabinu okazałego orla, wesoly nastrój spotęgował się jeszcze więcej. Góry Samawat, tworzące obramowanie Karsu od północy, rysowały się malowniczo w wieczornym nastroju.

Wieczorem po powrocie zostałem przedstawiony posłowi Karsu Ömerowi, jednemu z dwóch posłów którzy — jak o tym była mowa wyżej — byli napadnięci przez Kurdów w okolicach Erzindżanu. Zarówno poseł Ömer jak i inni panowie zachęcali mnie jeszcze do wycieczek hodowlanych w okolice Czyłydyr i Göle, słynących zwłaszcza z hodowli bydła czerwonego, uchodzącego w Anatolii za najlepsze miejscowe bydło tureckie w ogóle. Później przy kolacji zgłosił się do mnie w restauracji sympatyczny rodak, z zawodu zduń, bawiący od przeszło 30 lat w Karsie i stęskniony za ojczyzną. Oczy świeciły mu się ze wzruszenia że mógł porozmawiać ze mną po polsku i o Polsce, a i mnie chwyciło za serce, gdy ten skromny lecz miły człowiek, nie godząc się „u siebie“ w Karsie na mój poczęstunek, prosił mnie staropolskim zwyczajem na kieliszek wódki, który wychyliliśmy po polsku, tj. bez dodatku wody.

Do Czyłydyr wybraliśmy się w dniu 17 września małym autem, wspólnie z Olgierdem Czibasem oraz z dyrektorem Kemalem Günejem, który zabrał nadto w drogę jednego ze swych małych synków. Przy ostrym i zimnym wietrze przed którym ochraniały nas dostarczone przez dyrektora kozuchy i futra, jechaliśmy na Arpaczaj zrazu w kierunku Ağczalar i Zöhrap, następnie drogą pełną zakrętów, zbieżnymi kamienistych wzgórz. Znane nam już góry tureckiego i rosyjskiego Zakaukazia, tonęły jeszcze więcej niż poprzednio w bieli śniegu. Po drodze zatrzymywaliśmy się przy stadzie tłusto ogonowych płochliwych owiec rasy herik. Potem nad jeziorem Czyłydyr, położonym już w pobliżu granicy rosyjskiej Armenii i Gruzji, za wsią Sormagöz, położoną na tle skał i trzech wzgórz zawalonych dosłownie kamiennymi głazami, zatrzymał nas tabun miejscowych koni, ciekawych także dla tego, że u niektórych z nich p. Kemal Güney demonstrował mi ostre objawy kiły końskiej.

Wzdłuż zachodniego brzegu jeziora jechaliśmy na przestrzeni ponad 20 km. Gdyśmy minęli położoną nad jeziorem wieś Pekriszin (wzgl. Perkiszen), długo jeszcze ścigały nas z głośnym szczekaniem zgraje niewyliniałych jeszcze potężnych psów, maści od jasnej śmietankowo-żółtej do ciemnej tygryskiej, uniemożliwiając nam opuszczenie auta, w interesującym nas punkcie. Chociaż za miesiąc zima była tam już spodziewana w całej pełni, zboża na polach

były nie tylko w początkach żniwa, ale owsy były jeszcze nawet zielone. W miarę zbliżania się do Czyłdyr, było coraz zimniej. Od świeżo ośnieżonych gór Kysyr, u podnóży których przejeżdżaliśmy, ciągnął zimny wiatr. Dzwoniąc zębami, coraz więcej naciągaliśmy na głowy ciepłe czapki oraz zawijaliśmy się w futra, zabrane przezornie na drogę przez Kemala. W kałużach na drodze ścięta lodem woda, wskazywała na panujący już w tych okolicach mróz. Dotarliśmy wreszcie do wsi Prot-köj, położonej w gminie Czyłdyr (70 km od Karsu i 15—20 km od granicy rosyjskiej), gdzie natrafiliśmy na kozy typu *Capra falconeri*, oraz w zagrodzie bogatego włościanina Kämil ağa, na owce herik. Odbijające się od gór głośnym echem zbiorowe krzyki i nawoływania płynęły z pól, na których pracowici oracze poganiali w ten charakterystyczny sposób zaprzęgnięte do pługów bawoły i woły.

Kämil ağa posiadał zaledwie 40 denüm roli tj. 4 ha, ale dzięki dużej ilości użytkowanych zbiorowo pastwisk górskich (jajła) okazał się właścicielem licznego inwentarza żywego, obejmującego 300 sztuk owiec, 70 bydła, 30 koni, 10 bawołów i 15 kóz; przyjął on nas w obszernej gościnnej izbie swego domu podwieczorkiem. Zagrzawszy się cośkolwiek gorącą herbatą i posiliwszy się chlebem z masłem, serem i miodem, ruszyliśmy w drogę powrotną do Karsu, rezygnując już z powodu przejmującego zimna i z powodu trudności noclegowych, z dotarcia na noc do Czyłdyr. Zaopatrzeni w Zöhrap w świeże „wieczne wydanie“ mołokańskiej gazety, „studiowanej“ skrzętnie dla rozgrzewki, zziębnięci, lecz radzi, że nie wypadło nam nocować w Czyłdyr, późnym wieczorem stanęliśmy z powrotem w Karsie. Niestety nie natrafiliśmy na kozy abchaskie, które w drodze do Czyłdyr obiecano mi pokazać, a które wnosząc ze szczegółowych opisów dyr. Kemala Güneja miałyby przedstawiać udomowioną formę dzikiej kozy bezoarowej, na wzór spotkanej w Uzun Zaim małej i zgrabnej kozy o szablasytch półksiężycowatych rogach.

Do miejscowości Göle odległej od Karsu o 111 km w kierunku zachodnim, wybrałem się wraz z Olgierdem Czibasem. Zaofiarował nam nadto swoje towarzystwo młody absolwent akademii rolniczej w Halkali pod Stambułem Ilmas, właściciel wsi Urut w powiecie Göle. Młody sympatyczny chłopak z bujną kruczą czupryną i silnym charakterystycznym dla Turków zarostem na twarzy i rękach, wyglądał znacznie poważniej ponad swoje lata, co jest tak znamienne w Turcji, na tle wczesnego dojrzewania tamtejszego społeczeństwa. Ze względu na panujące zimno, jakie nam się dało we znaki w okolicach Czyłdyr, Kemal Güney nie tylko odradzał nam wyprawę

do Göle, ale nadto zatrzymany sprawami służbowymi nie wziął w niej udziału. Wyjechaliśmy z Karsu w kierunku znanej nam już wsi Mezrea, po czym zaraz za wiszącym nad Kars-czajem mostem, skręciliśmy na lewo. Minęliśmy malowniczą wieś Melik, położoną wśród licznych topól i obfitującą w wodne młyny nad Karsczajem, po czym przez pagórkowate tereny o charakterze „tepe“ (pagórek), wjechaliśmy we wzgórze Boğa-tepe. Droga wiodła tutaj wśród licznych ostów i rozrzuconych na wzgórzach kamieni. Na pastwiskach zatrzymywały nas większe stada bydła, bawołów i owiec, a za położoną wśród skał wsią Karakale, zwracały naszą uwagę wałęsające się po polach psy, krótkowłose charty. Również jezioro Ajgyr, odbijające malowniczo swym szafirem od monotonnego tła nagich wzgórz, zatrzymało nas na chwilę. Przyprószone śniegiem góry Hoczuwan, minęliśmy na prawo. Mimo pięknej pogody było zimno z powodu ostrego wiatru, ciągnącego z ośnieżonych gór.

W Boğa-tepe główną atrakcją były dla nas dwie hodowlano-mleczne osady, odległe od siebie zaledwie o 1 km, a mianowicie zamieszkałe przez znanych nam już Terekeme, osady Bäjük Zawot i Küczük Zawot. Imigrując do Anatolii, Terekeme przywieźli tu z sobą z Kaukazu tamtejsze mleczne bydło, przekrzyżowane silnie szwajcarskimi szwycami i symentalami, i jak na to wskazuje rosyjski wyraz „zawod“, prowadzą w Boğa-tepe gospodarkę mleczną, połączoną z produkcją serów i masła. Dla braku czasu odwiedziliśmy jedynie osadę Bäjük Zawot (tj. Duży Zawot), w której przyjmował nas jej muhtar (naczelnik), młody, sympatyczny i postępowy Ejup ağa. Według jego informacji Duży Zawot obejmuje 1 800 dziesięcin pola, w czym głównie pastwiska, 1 200 sztuk bydła, 100 koni, 500 owiec. Miejscowy związek serowarski istnieje tam od lat 8, a jego produkty tj. masło i sery cieszą się popytem na rynku stambulskim. Pokazywano nam prymitywną lecz sprawnie funkcjonującą fabrykę serów, a w jej magazynach gotowe i dojrzewające sery, jak: 1) „kaszar“ drobno i rzadko dziurkowany żółty ser, średnicy 33 cm, grubości 16,5 cm, wagi 8 kg, produkowany w rocznej ilości 300—500 pudów tj. 4 800—8 000 kg, 2) „grojer“ czyli ser ementalski, grubo dziurkowany średnicy 85 cm, grubości (wysokości) 12 cm, wagi 64 kg, wreszcie 3) „ser tuszyński“ („tuncz“), biały, dziurkowany, więcej słony i ostry, wyrabiany w foremnych gomulach średnicy 27 cm, wysokości 18 cm, wagi 8 kg. Prócz serów, pokazywano nam również duże ilości smacznego masła dobrej konsystencji, pakowanego starannie w większych porcjach. Na zakończenie pobytu w Bäjük Zawot, gościnnie i postępowy

muhtar, bogacz, jak już wskazuje na to jego przydomek ağa, podejmował nas w obszernej i czystej izbie, zdobnej w wiszące na ścianach dywany i kilimy domowej roboty, herbatą, chlebem, masłem i serami. Zanim pokazano nam następnie pracownię kilimów, muhtar wydobyl dyskretnie ze skrzyni odświętne szaty niewieście i wymknął się, by doręczyć je pracującym przy kilimach kobietom. Przy zręcznej pracy w kilimiarni, zastaliśmy cztery urodziwe czarnobrewne Turczynki kaukaskie, w czym dwie mężatki, z twarzami przewiązаныmi na ukos chustkami. Szerokie kaukaskie srebrne i zdobne pasy oraz srebrne na szyi łańcuchy świadczyły wymownie, że przy ręcznych tkalniach siedziały domownicy agi.

Po sfotografowaniu kilku ciekawszych scen i obiektów, już spóźnieni ruszyliśmy pośpiesznie w kierunku Göle. Towarzysze moi urozmaicali i ożywiali podróż tureckimi melodiami, które i ja podtrzymywałem od czasu do czasu. Minąwszy wieś Lele-Varginis, wjechaliśmy w wąwóz, którym ponad strumykiem przez czas dłuższy wiodła nasza droga. W odróżnieniu od skalistego i nagiego prawego zbocza wąwozu, na lewym ukazał się wkrótce sosnowy las, ciągnący się na dłuższej przestrzeni. Kontrast tych dwóch zboczy wąwozu rysował się malowniczo w szczególności w dalszej perspektywie, u ich zbiegu. Gdy skończył się wąwóz, a wraz z nim także las sosnowy, wjechaliśmy zrazu w wąską lekko pagórkowatą dolinę, obfitującą w pasące się bydło. Dopiero za wioską Demir-Kapu, położoną nad strumykiem tuż przy szosie, po prawej jej stronie, żyzna uprawna równina (owa) rozpostarła się szeroko. Skoszone zboże stało jeszcze w polu w prymitywnych kopcach, przypominających nasze kopki siana. W dalszym ciągu zostawiliśmy za sobą wioskę Pilimor rozsiadłą na prawo na małym wzgórzu, po czym znaleźliśmy się w obszernej dolinie, obramowanej wokół górami, zalesionymi na południowym zachodzie. Minąwszy wieś Siwin, stanęliśmy wreszcie przed godziną 17 we wsi Merdenik, czyli Göle. Chowwały się już za góry ostatnie promienie zachodzącego słońca, gdyśmy po odszukaniu miejscowych władz, mogli przystąpić do oglądania i fotografowania spędzonego dla mnie specjalnie z kilku miejscowych zagród, drobnego brachycerycznego bydła czerwonego, hodowlanej osobliwości okolic Göle. Wracając późnym wieczorem do Karsu, obserwowaliśmy z oddali łuny światel elektrycznych, błyszczących po stronie rosyjskiego Zakaukazia w mieście Leninakan (dawn. Aleksandropol), oraz w różnych drobnych wioskach.

Po odwiedzeniu okolic Czyłdyr i Göle, myśli kierowały się już tylko do powrotu, do którego prócz przemęczenia oraz braku

czasu i szczupłości rozporządzalnych środków, nagliły nadto ostre w okolicach Karsu warunki klimatyczne, rosnące z dnia na dzień ryzyko jazdy do Trapezuntu nie chroniącym należycie przed zimnem autobusem ciężarowym, oraz potęgująca się jesienią ku ziemie perspektywa burz na Morzu Czarnym. Wreszcie także zwykłe następstwa braków natury higienicznej, zaczęły już dokuczać w Karsie. Wszystko to składało się na rozdrażnienie i uczucie pewnego niepokoju, które spędzając niekiedy sen z oczu, były sygnałami do drogi powrotnej. Kierując się z powrotem tą samą drogą którą przyjechałem, miałem przed sobą daleką i uciążliwą drogę, wynoszącą z Karsu do Stambułu aż 2661 km.

Przedostatni dzień pobytu w Karsie spędzony w mieście minął szybko, częścią na kontrolowaniu niektórych jeszcze wątpliwych szczegółów dotyczących moich badań, częścią na pakowaniu się do drogi, oraz na pożegnalnych wizytach. Zwiedziłem też karską farbykę sproszkowanego suszonego mleka, będącą największą w Turcji fabryką konserw mlecznych tego typu. Czynna zaledwie od roku, w sezonie trwającym od kwietnia do września, fabryka ta przerabia dziennie 15—20 ton pełnego mleka krowiego, dając 11—12% gotowego produktu, który w drewnianych skrzyniach po 40 kg, odsyła się do Stambułu dla fabrykacji czekolady. Do czasu mego pobytu w Karsie produkcja tej fabryki wynosiła 70 ton proszku mlecznego, nadto większą ilość masła, produkowanego z nadwyżek dostarczanego fabryce mleka.

12. Powrót.

Gdy nadszedł wreszcie upragniony dzień powrotu (20 września), serdecznie i ze łzami w oczach żegnał mnie p. Stefan Czibas po spożytym w jego domu śniadaniu, poruczając mi na odjeźdym jedną lecz gorącą prośbę, a mianowicie bym spróbował odszukać na Wileńszczyźnie — o ile jeszcze żyje — jego brata ks. Kazimierza Czibasa, który przed wojną światową był proboszczem w Święcianach³⁾. Pożegnawszy po drodze raz jeszcze rodzinę dyrektora Kemala Güney, ruszyłem o godzinie 10 w kierunku Erzurumu autobusem ciężarowym. Z przerwą nocną w Erzurumie, niezbędną dla zapakowania zostawionych tam rzeczy i zbiorów naukowych, autobus ten miał mnie zawieźć aż do Trapezuntu. Dzień choć

³⁾ Za pośrednictwem Kurii Metropolitalnej w Wilnie, udało mi się odszukać listownie ks. Kazimierza Czibasa w Onuszkis na Litwie i skomunikować ze sobą braci, po długich latach rozłąki.

zimny był słoneczny i pogodny, toteż jazda nowym i solidnym wozem prowadzonym przez młodego i zręcznego szofera, zapowiadała się jak najlepiej. Niestety jednak, wbrew tym dobrym horoskopom, droga powrotna z Karsu była najeżona tak licznymi przeszkodami, że powrót z Karsu do Polski trwał aż trzy tygodnie. Jedna przeszkoda pociągała za sobą następne. Na pierwszą natknęliśmy zaraz w pierwszym dniu powrotu w Hasankale, gdzieśmy stanęli wieczorem po godzinie 18. Nie zastaliśmy mianowicie służbowego oficera, który na godzinę przed naszym przybyciem, odjechał już z grupką Persów do Erzurumu. Dalsza moja jazda była więc niemożliwa. Oficera żandarmerii nie było już na posterunku, a z żandarmami trudno mi było dogadać się. Choć obiecali telefonować do Erzurumu i chociaż czynili to istotnie w mojej obecności, niemniej jednak, znając zwyczaje i procedurę, twierdzili z góry, że wobec spóźnionej pory i bajramu w dniu następnym, dopiero nazajutrz wieczorem mogę oczekiwać przyjazdu po mnie z Erzurumu oficera służbowego. Nie chciałem zrazu wierzyć, gdyż celem uniknięcia jakiegokolwiek zwłoki, zgodnie z życzeniem dyr. Mümtaza, depeszowałem o dniu mego wyjazdu z Karsu. Gdy jednak godziny mijały bezskutecznie, zrezygnowałem z dalszych zabiegów i złożyłem rzeczy w miejscowym hotelu. Szofer, aby nie komplikować mego powrotu, całkiem samorzutnie zdecydował się spędzić noc nie w Erzurumie lecz w Hasankale, w nadziei, że na skutek mych zabiegów, nazajutrz rano będziemy mogli ruszyć w dalszą drogę, aby zdążyć na przewidziany statek, zmierzający z Trapezuntu w kierunku Samsunu.

Niestety nazajutrz sytuacja bynajmniej nie poprawiała się. Nie pomagała również telefoniczna interwencja przygodnie spotkanego majora, oraz komendanta żandarmerii. Żandarmi mieli rację. Na próżno w skwarze słońca wystawałem raz po raz u skraju miasteczka i zapuszczałem wzrok w kierunku Erzurumu. Ponieważ jako obcokrajowiec nie miałem możliwości korzystać w strefie wojskowej z telefonu, przeto koło południa zredagowałem po turecku i wysłałem krótką depezę do dyr. Mümtaza. Poczciwy szofer, mimo iż kilkakrotnie — nie chcąc nadużywać jego uprzejmości — proponowałem mu odjazd beze mnie, czekał wraz ze mną z istic świętą turecką cierpliwością. Wreszcie wieczorem zdołałem go nakłonić do dalszej jazdy, prosząc jedynie, by w Erzurumie powiadomił władze wilajetu i Mümtaza, o mej przykrej sytuacji. Nie upłynęło pół godziny od ruszenia autobusu w dalszą drogę beze mnie, gdy współczujący już ze mną mieszkańcy miasta przynieśli mi wieść o przybyciu służbowego oficera — kapitana. Jak ucieszyła mnie

ta wiadomość, łagodząca posunięte już do najwyższych granic zniecierpliwienie, tak jeszcze więcej zdumiała mnie okoliczność, że zacyzny mój szofer, nie bacząc na pośpiech z towarem i na poniesioną znaczną stratę czasu, spotkawszy po drodze jadącego po mnie oficera, zawrócił również z drogi, by wywiązać się z umowy odstąpienia mnie z Karsu aż do Trapezuntu. Czyż nie zasługuje na podkreślenie ten piękny rys charakteru prostego Anatolijczyka, który w sposób tak subtelny potrafił wczuć się w przykrą sytuację cudzoziemca, narażonego na takie trudności! Wkrótce ujawniło się, że przyczyną przetrzymania mnie w Hasankale były zarządzone niespodzianie nocne ćwiczenia całego garnizonu erzurumskiego, które przeciągnęły się także na następny dzień bajramu. Po załatwieniu służbowych formalności, przybyły po mnie kapitan przysiadł się do mego autobusu i ruszyliśmy nareszcie w stronę Erzurumu.

Telegram mój nie pozostał jednak bez skutku, gdyż za chwilę spotkalśmy już po drodze, drugiego oficera, którego wysłano po mnie pod wpływem zabiegów dyr. Mümtaza. Mijając na tle ciemnego wieczornego pejzażu malowniczo wśród ogni bielejące wojskowe namioty i obozowiska, przybyliśmy wreszcie późną porą do Erzurumu, gdzie nakłoniony przez Mümtaza, zdecydowałem się wypocząć przez cały następny dzień. Okazało się to zresztą konieczne, gdyż w międzyczasie wspomniane wyżej następstwa braków natury higienicznej, zaczęły już na dobre dawać się we znaki. Na szczęście, z pomocą swych cennych i skutecznych fachowych wskazówek, uwolnił mnie od nich w Erzurumie uprzejmy lekarz wojskowy, major dr Hadi.

Dopiero następnego dnia, tj. 23 września, odjechałem z Erzurumu do Trabzonu przyłączając się do transportu skór, przewożonych dwoma ciężarowymi autobusami, będącymi własnością jednego i tego samego przedsiębiorcy. Z powodu przedłużającego się załadunku towaru, konwojowany aż do Ilydża przez służbowego oficera, opuściłem Erzurum dopiero o godzinie pół do drugiej po południu. Choć byłem grubo spóźniony, miałem nadzieję, że nadrabiając nocą, zdążę jeszcze w Trabzonie na okręt, odchodzący w dniu następnym do Samsunu. Ale niestety, wkrótce po opuszczeniu Ilydży, starszy z naszych dwóch autobusów, prowadzony w dodatku przez niedoświadczonego i niezaradnego szofera, zaczął się psuć. Ponieważ cała odpowiedzialność za transport i wozy spoczywała na barkach doświadczonego starszego szofera, prowadzącego wóz którym jechałem, przeto defekty starego gruchotu hamowały także jazdę naszego Chevroleta. Defekty te, polegające

na złym funkcjonowaniu motoru z powodu zanieczyszczenia, powtarzały się w krótkich odstępach niestety raz po raz. Tymczasem w miarę zbliżania się zachodu słońca, zrywał się coraz silniejszy wicher i zimno zaczęło dokuczać na dobre. W miarę wspinania się w tereny coraz wyższe, sytuacja zaczynała być nawet niebezpieczna, gdyż zdawało się już, że wypadnie nam spędzić noc na środku szosy, bez ciepłych okryć i w słabo zabezpieczonym autobusie, zdala od osad ludzkich. Niezamałony niczym spokój naszego cierpliwego szofera, pobożnego mahometanina dawnego typu, który przy naprawach zepsutej maszyny nie zapomniał także o Allahu, już to uspakajał nas, już to irytował.

Odetchnęliśmy nareszcie z ulgą, gdy po ostatnim dłuższym postoju, podczas którego przy kawałku pochodni rozbierano i czyszczono gruntownie zacinający się ustawicznie motor, maszyna zaczęła pracować prawidłowo, i gdy wreszcie oba wozy pomknęły już bez defektów naprzód, ku Aszkale. Wspaniała i pełna malowniczych efektów była ślimacza serpentynowa jazda przy blaskach księżycy przez potężną górę Kop, ze zboczy której gróźny, ale imponujący, widok roztaczał się na pożar, niszczący wiejskie zabudowania, którejś z wiosek, położonych u stóp Kopu. Jechaliśmy już gładko bez jakichkolwiek przeszkód, przystając jedynie od czasu do czasu dla skontrolowania normalnego posuwania się w oddali za nami nieszczęsnego drugiego autobusu. Zamiast zdążyć na noc do Gümüşhane, o godzinie 23 dotarliśmy dopiero do Bajburtu. O dalszej jeździe nocą do Gümüşhane nie było mowy, a to przede wszystkim z powodu znużenia i senności naszego flegmatycznego szofera. W hotelu Dżumhurijet, miejsce dawniejszego uprzejmego gospodarza, który lokował mnie w swoim pokoju, na własnym łóżku, zajął nowy młody i mniej uprzejmy jego następcą, który nie mógł zrozumieć mych wyszukanych zachcianek, dotyczących osobnego pokoju. Także moi towarzysze podróży uważali to za jakiś kaprys wielkopański. Wreszcie dogadaliśmy się z gospodarzem i otrzymałem dla siebie pokój o kilku łóżkach, pod warunkiem, na który chętnie przystałem, zapłacenia za wszystkie łóżka obecne w pokoju. Gospodarz hotelu i jego służący nie przywykli widać do takich w ich pojęciu wielkopańskich manier, teraz dopiero zaczęli krzątać się koło mnie na wyścigi, i wkrótce znalazła się ciepła woda i herbata, na wzmiankę o których, jeszcze przed chwilą, wzruszali obojętnie ramionami. Jeszcze tylko o zmianę pościeli potargowaliśmy się coś nie coś, po czym otrzymawszy świeżą pościel, pograżyłem się we śnie, przy szumie toczącego po kamieniach swe wody Czoruhu.

Skutkiem guzdralstwa jednego z pasażerów, który także na innych postojach hamował tempo naszej jazdy, wyjechaliśmy z Bajburtu nazajutrz dopiero o godzinie 7 rano. W przejeździe przez wieś Keczi-Kalesi (kozi zamek) udało mi się nabyć przybite na fasadzie jednego z domów, okazałe rogi dzikiej kozy bezoarowej. W Gümüşhane, gdzie zatrzymaliśmy się na posiłek obiadowy, przeciągnął się niestety postój, gdyż nieczuły na nasz pośpiech flegmatyczny szofer, zapragnął nie tylko posilić się, ale nadto wykapać się, oraz pomodlić w miejscowym meczecie. Gdyśmy mijali granicę wilajetu Trabzon, wyprzedziło nas małe auto, w którym poprzez szybę rozpoznałem dobroduszne oblicze inspektora policji Dżemi, który widocznie skończył już swoją misję na terytorium wilajetów Erzurum i Kars i śpieszył również na statek, mający wieczorem odejść z Trapezuntu. Gdy wieczorem o godzinie pół do ósmej autobus nasz zatrzymał się u wjazdu do Trabzonu przed komisariatem policji, gotowy do drogi turecki statek („Vatan“) stał jeszcze na kotwicy, i mnóstwem świateł błyszczał z oddali. Moja radość była jednak przedwczesna. W komisariacie zatrzymano bowiem mój turecki dokument podróży, z tym, że dopiero nazajutrz będę go mógł odebrać na policji głównej, oraz że wcześniej mogłbym go otrzymać jedynie na polecenie dyrektora policji. Zanim zdążyłem na tę policję i zanim uprzejmy jej dyrektor w zrozumieniu mej sytuacji i mego pośpiechu, zdążył upomnieć się telegraficznie o mój dokument, oraz zatelefonować do portu w sprawie wstrzymania odjazdu statku, okazało się, że przed dwoma minutami statek ruszył w drogę. Niestety nie zdawałem sobie sprawy z tego, że mogłem telegraficznie, czy to z Bajburtu, czy z Gümüşhane prosić o opóźnienie odejścia statku, i rad nie rad, musiałem całe dwa dni odczekać w Trapezuncie na statek następny. Wraz z czasem, trzeba było tracić niepotrzebnie topniejące resztki pieniężne, i żal było spokojnej tafli morskiej, o którą na Czarnym Morzu jesienią tak trudno.

W przeciwieństwie do Karsu i Erzurumu, panowała w Trabzonie ciepła lecz wilgotna aura. Rosił drobny deszczyk, a w porównaniu z zaśnieżonymi górami Zakaukazia, z tamtejszymi przy-mrozkami, zimnymi wiatrami i wypalonymi stepami, tym większy kontrast tworzyła w Trabzonie zielona roślinność, a na rabatach i klombach miejskiego skweru, barwne kobierce. Jedynie oleandry, choć jeszcze ustrojone kwieciami, nie były już tak świeże jak poprzednio. Także triumfalne bramy, które nie doczekały się szczytu witania drugiego po Kemal Ataturku ulubieńca narodu, premiera Ismeta İnönü, straciły na świeżości swych zielo-

nych girland. Dojrzały już fiolkowe figi, sprzedawane za bezcen. Opustoszało natomiast wybrzeże morskie, i brakło już nad nim igrającej wśród spienionych fal młodzieży. Tym liczniej za to gromadzili się mieszkańcy miasta w ogródku miejskim, zwłaszcza na skalistym tarasie z latarnią morską, przy czarnej kawie i przy tonach smętnej muzyki, płynącej z płyt patefonowych.

Było szaro i dżdżysto, gdy po dwóch dniach o piątej po południu, żegnany przez znajomych wyruszałem z Trabzonu motorówką, ku stojącemu w oddali na kotwicy, jednemu z największych i nowszych statków tureckich kursujących na Morzu Czarnym, „Kara Deniz“. Wprawdzie morze falowało dość silnie, jednak wysuszony w górach i w nadfioletach okolic Erzurumu i Karsu, łatwo wskoczyłem z łodzi na pomost okrętowych schodków, zanim przyplływająca fala zdążyła cofnąć łódź od pomostu. Jechałem wygodnie I klasą statku, ale interesując się jego obsadą zaglądałem na wszystkie pokłady. W III klasie zetknąłem się z liczną młodzieżą licealną i seminariálną, która wobec braku liceów i seminariów w Trabzonie, musiała zmierzać na studia już to do Siwas, już to do Ankary lub nawet do Stambułu. Na dolnym pokładzie dawały znać o sobie bekiem liczne stada owiec czerwonych karamanów, te same które jako pędzone na rzeź do Stambułu, oglądałem i badałem przed kilkoma tygodniami w okolicach Erzurumu. Na górnym pokładzie zwracali na siebie uwagę dwaj oo. kapucyni włoscy zmierzający z Trabzonu do Gireson, grupka oficerów i zamożniejszej młodzieży, nadto kilku Persów. Jechał też wielokrotnie wspomniany inspektor tajnej policji Dżemi, którego drogi w północno-wschodniej Anatolii, tak dziwnie splatały się z moimi, a który po spełnieniu swej misji, z utęsknieniem wracał już do Stambułu. Towarzyskie rozmowy i inne rozrywki uprzejmiały jazdę, a z abchaskimi Turkami mogłem przynajmniej „nagadać się“ na temat abchaskich kóz, których niestety nie było mi dane spotkać na terenie mych badań.

Cały następny dzień jazdy był dżdżysty. Z powodu dużych załadunków, utrudnionych skutkiem coraz silniej falującego morza, postoje w Vakfi-Kebir i w Gireson przeciągały się znacznie. Nie sposób mi tutaj odtworzyć tych „dantejskich scen“, obserwowanych z górnego pokładu statku, jakie w obu tych portach, a w szczególności w Gireson, rozgrywały się przy wsiadaniu i wysiadaniu pasażerów na pełnym, silnie wzburzonym morzu. U widzów niezwykajnych podobnych przeżyć i obrazków, sceny te mroziły po prostu krew. Jednak ci ludzie, wychowani od dzieciństwa w opisywanych warunkach, mimo gwałtownego balansowania łodzi i wzburzonych fal, bez względu na płeć i wiek wsiadali i wysiadali na pełnym

morzu z akrobatyczną wprost zręcznością, a tylko co najwyżej przewracali się, tracąc równowagę przy zderzaniu się łodzi. Można sobie wyobrazić towarzyszące tym scenom krzyki, zgiełk i wrzawę, oraz w szczególności okrzyki przerażenia pasażerów statku, przykutychnych wzrokiem do tych groźnych scen.

Gdy wreszcie ruszył statek w dalszą drogę, sytuacja bynajmniej nie poprawiała się, ale przeciwnie ku wieczorowi wiatr szalał jeszcze silniej, i fale morskie kłębiły się coraz więcej. Gdy spadł ulewny deszcz, pasażerowie w nadziei, że spodziewanej burzy już nie będzie, odetchnęli swobodniej. Istotnie przycichło nieco morze, ale jedynie na krótko. Po kolacji było jeszcze gorzej. Rzęsiste błyskawice rzucały na skłębione morze groźne refleksy, a wtórujące im grzmoty i łaskoty, potęgowały niesamowity nastrój, jaki się rychło udzielił jadącym. Z ust strwożonych pasażerów coraz częściej wymykały się na głos groźne wyrazy: „fyrtyna“ (burza) albo „fyrtyna gelior“ (burza nadchodzi), i coraz częściej jakiś strwożony głos odwoływał się do Ałłacha. Było jeszcze więcej niesamowicie, gdy pewien Turek zaczął rozprawiać o śmierci. Toteż rzucawszy raz jeszcze okiem na wzburzone morze z górnego pokładu, rozeszliśmy się wszyscy drżącymi nogami do kabin, by w objęciach snu zapomnieć o rzeczywistości, przespać zapowiadane groźniejsze momenty i uniknąć morskiej choroby. Obudziłem się dopiero rano już w Samsunie, a w międzyczasie wyszumiało się i uspokoiło morze na tyle, że szczęśliwie bez komplikacji można było wskakiwać do łodzi. Pociąg do Ankary odszedł już niestety i wypadło czekać na najbliższy do dnia następnego. Opowiadano w Samsunie, że mimo opisanego wzburzenia morza mieliśmy i tak jeszcze szczęście, gdyż przed paru dniami szalała na morzu burza tak silna, że o wysiadaniu w Samsunie mowy w ogóle nie było.

Po całodziennym pobycie w Samsunie, spędzonym na miłych pogwarkach ze znajomymi, rankiem dnia następnego odjechałem znaną linią kolejową przez Amasję, Siwas i Kajseri do Ankary. Dzień był piękny i słoneczny, przy skąpych jedynie białych obłokach na niebie. W uroczej Amasji dojrzały w międzyczasie znakomite jabłka, którymi częstowali mnie w pociągu liceanci, zmierzający do Siwas na nowy rok szkolny. W Siwas byliśmy wieczorem, a następny piękny ale mroźny ranek obudził mnie w Kajseri, gdzie potężna widoczna za miastem góra Erdziesz (3 916 m) bielila się w śnieżnej szacie. W Jerkōj wsiadł przed południem do pociągu turecki minister oświaty Abidin, w drodze powrotnej z kontroli wykopalisk. Wieczorem przed godziną 6 (w dniu 30 września), po 10 dniach drogi, dotarłem wreszcie do utęsknionej Ankary,

z którą wiązałem nadzieję kilkudniowego bodaj wypoczynku, zwłaszcza że w szczególności wygody pomieszczenia w gmachu ambasady, stwarzały jak najlepsze perspektywy. Po tylu trudach i niewygodach błogo odsypiałem pierwszą noc, spędzoną dosłownie na puchach i niezbyt pilno było mi nazajutrz z urzędowymi sprawozdawczymi wizytami.

Niestety jednak nadzieje odpoczynku w Ankarze okazały się płonne. Gdy bowiem następnego dnia po południu całkiem przypadkowo zaszedłem do biura podróży dla sprawdzenia ruchu rumuńskich statków, kursujących pomiędzy Stambułem i Konstancą normalnie co 2—3 dni, dowiedziałem się nie bez konsternacji, że jeśli nie wyjadę z Ankary najbliższym pociągiem, tj. w ciągu kilku godzin i nie zdążę na statek odchodzący ze Stambułu nazajutrz, wówczas z powodu jakiejś wyjątkowo w tym czasie długiej przerwy w ruchu statków, musiałbym aż 8 dni czekać na statek następny. Nie pozostawało więc nic innego, jak zrezygnować z załatwienia szeregu urzędowych spraw i wizyt, i jechać pośpiesznie najpierw do rzeźni miejskiej położonej w Ak-köprü pod Ankarą, po zdeponowane tam materiały naukowe, a następnie do ambasady po bagaże, by zdążyć na wieczorny pociąg. Niestety nieobecność dyrektora rzeźni i jej nieczynność w godzinach popołudniowych, uczyniły w tym dniu odjazd niemożliwym. Ze względu na pośpiech do kraju, pozostawały więc jedynie widoki powrotu kosztowną i uciążliwą drogą lądową przez Turcję europejską, Bułgarię i Rumunię. W międzyczasie nadeszła jednak do biura podróży pomyślna dla mnie wiadomość o dwóch pasażerskich statkach włoskich, odchodzących w dwa dni później ze Stambułu do Konstancy, przez Burgas i Warnę. Ta całkiem przypadkowa możliwość powrotu drogą morską, mimo iż te statki włoskie miały wstępować do portów bułgarskich, wydawała się tym korzystniejsza, że zostawiając mi dzień następny na załatwienie najważniejszych spraw w Ankarze, gwarantowała — wobec dużej ilości bagażu, powrót tańszy i mniej kłopotliwy. Wieczorem dnia następnego (tj. 2 października) rozstałem się z Ankarą, żegnany na dworcu przez sekretarza uprzedniego ministra rolnictwa, oraz przez grupkę przyjaciół hodowców.

W miłym tureckim towarzystwie, czas jazdy zeszedł tym szybciej, że pewien inteligentny i sympatyczny lekarz opowiadał przez całą noc wiele ciekawych szczegółów na temat sanitarnych i obyczajowych stosunków panujących w Turcji dawniej i obecnie. Gdyśmy stanęli w Hajdarpasza i przeprawili się wreszcie przez skrawek Morza Marmara do Stambułu, opanowało mnie miłe uczucie, nie tylko na myśl, że już powróciłem do Europy, ale nadto, gdyż zda-

wało mi się, iż już jestem prawie w domu. Tymczasem zaszły dalsze nieprzewidziane i przykre w skutkach przeszkody. We włoskim biurze okrętowym odmówiono mi mianowicie wydania biletu na jeden z dwóch statków włoskich, gdyż okazało się najniespodzianie, że widocznie skutkiem jakiegoś przeoczenia, w paszporcie zaopatrzonem w Warszawie w wizy poszczególnych konsulatów, brakło rumuńskiej wizy na powrotny przejazd statkiem przez Morze Czarne, a uzyskanie tej wizy w konsulacie rumuńskim w Stambule okazało się w owym dniu niemożliwe, z powodu chwilowej nieobecności w mieście rumuńskiego konsula i jego zastępcy. Broniąc się jeszcze przed ostatecznością, tj. przed decyzją czekania w Stambule na następny statek rumuński całych osiem dni, udałem się pośpiesznie wraz z całym bagażem i ze skrzyniami na dworzec kolejowy, by próbować dalszej jazdy drogą lądową. Gdy się jednak okazało, że wobec nadmiernych kosztów powrotu i transportowania skrzyń drogą lądową, oraz wobec braku waluty bułgarskiej, przy tamtejszych trudnościach dewizowych, powrót drogą lądową mógłby spowodować dalsze komplikacje, nie pozostawało mi w końcu nic innego, jak *volens volens* pozostać w Stambule i czekać na rumuński statek. Wobec braku przechowalni bagażu na stambulskim dworcu kolejowym, był jeszcze kłopot z ulokowaniem skrzyń oraz waliz, toteż dopiero po zdeponowaniu tych rzeczy w jakimś prywatnym przedsiębiorstwie w pobliżu dworca, już pod wieczór, na czczo od rana, zziębnięty i przemęczony, kazałem się zawieźć do Domu Polskiego w europejskiej dzielnicy miasta, gdzie znalazłem oparcie na czas tego przymusowego zatrzymania się w Stambule.

Prywatna pomoc pieniężna wybrała mnie na szczęście z opresji i uchroniła mnie przed przykrą koniecznością zwracania się o tę pomoc do konsulatu. A byłoby to tym więcej krępujące, że niejednokrotnie w czasie mych podróży naukowych spotykałem się ze znamienym i tak drażniącym zjawiskiem, iż pozbawione często ważniejszego celu wycieczki zwłaszcza naszej młodzieży, organizowane nadto nieraz lekkomyślnie, bez potrzebnych środków pieniężnych, kończą się zwykle w sposób chroniczny apelowaniem do kas naszych konsularnych placówek, albo po prostu do prywatnych kieszeni urzędników konsularnych. Między innymi właśnie w Stambule, spotkałem grupkę panien rodaczek, które po ukończeniu swych wakacyjnych praktyk w Rumunii, ot tak sobie, wybrały się „na mały, trzydniowy wypad“ z Konstancy do Stambułu, a które z powodu braku powrotnego statku w przewidzianym terminie, zdane aż na 8-dniowy pobyt nad Bosforem, pędziły tam dni „o głodzie i chłodzie“, narzekając i płacząc na los,

na Stambuł, na konsulaty, oraz — i to jedynie słusznie — na własną lekkomyślność.

Z miłych momentów w czasie niepożądanego tym razem pobytu nad Bosforem, należy wymienić spotkanie w Stambule naszego orientalisty prof. Tadeusza Kowalskiego z Krakowa, oraz wspólnie z nim spacer i wycieczki, gościnność pp. ambasadorstwa Potockich w letniej rezydencji naszej ambasady w Jeniköj nad Bosforem, poznanie niektórych nieznanymi mi dotąd osobliwości Stambułu a zwłaszcza niektórych instytutów uniwersytetu itd. Ciekawe było też zetknięcie się w Domu Polskim z grupującymi się około niego rodakami. Żał mi było w szczególności tych niektórych rozbitków życiowych, których nieprzyjemne losy skazywały na daleką wędrówkę po świecie, zmuszając ich w walce o chleb codzienny, do stałego zaprzętania sobie głowy sprawami, tak odległymi od naszych aktualnych zagadnień ojczystych. Po każdej rozmowie z nimi myślałem sobie w duchu, o starej prawdzie, że lepszy na codzień chleb z wodą w ojczyźnie, aniżeli względne kokosy poza jej granicami.

Gdy nadszedł wreszcie oczekiwany z utęsknieniem dzień powrotu, Morze Czarne niestety nie było zbyt przyjazne. Po nocnej burzy z grzmotami i błyskawicami jaka przeszła nad Stambułem, dzień odjazdu był pochmurny i szary. Wracaliśmy razem z prof. dr T. Kowalskim rumuńskim statkiem Regele Carol I, w samo południe odbijając od portu w Galacie. Niebo było spowite w gęste ołowiane chmury, a wody morza kłębiły się silnie, tworząc charakterystyczną górzystą konfigurację powierzchni i rozpryskując spienione grzywy fal na znaczne wysokości. W miarę coraz silniejszego arytmicznego wznoszenia się i opadania statku pod wpływem rozkołysanych fal, pokłady były coraz silniej zalewane wodą, a choroba morska coraz więcej przerzedzała pokłady i sale statku, spychając ludzi do kajut. Po raz pierwszy za cały czas opisywanej podróży, zmęczony już całym jej przebiegiem, dzieliłem smętne losy większości pasażerów. Szczególnie fascynujący był moment, gdy przez otwarte okno kajuty, na zamknięcie którego pewien Jugosłowianin jadący wraz z nami, zrazu z powodu duszności się nie godził, wzburzone fale kilkakrotnie raz po raz, wtłoczyły wodę do wnętrza kajuty. Gdy pogrążony w rezygnacji i apatii zerwałem się na równe nogi by zamknąć wreszcie okno, zostałem uprzedzony w tej czynności przez służbę okrętową, która wyraźnie zaniepokojona, biegała od kajuty do kajuty i właśnie kontrolowała hermetyczność okien. Rozlegające się raz po raz sygnały dzwonek elektrycznych i nawoływania na służbę świadczyły

wymownie o ogólnym podnieceniu i rosnącym niepokoju. Zdołałem wreszcie zasnąć, a gdy się zbudziłem, statek stał już nareszcie na kotwicy. W Konstancy unikałem widoku morza, które choć znacznie już spokojniejsze, dyszało jeszcze i pienilo się po opisanym wzburzeniu.

Nazajutrz tj. w dniu 13 października, przybyłem wreszcie przed wieczorem do Krakowa. Rodzina oczekiwała mnie z niepokojem, gdyż dzienniki donosiły właśnie o zamachu komunistów rumuńskich na pociąg pospieszny, zmierzający z Rumunii do Polski. Dotyczyło to jednak pociągu innego. Tego więc jeszcze tylko brakowało w pełnej przygód i przeszkód powrotnej drodze z Karsu, trwającej tak długo!

Przywiozłem z Anatolii nie tylko interesujące materiały i zdobycze naukowe, ale nadto wywiozłem stamtąd piękne przeżycia i wrażenia, oraz w szczególności uczucia szczerego podziwu dla szybkich postępów kulturalnych i cywilizacyjnych. Droga Polsce Turcja, odrodzona i skonsolidowana pod rządami Kemala Atatürka i jego wybitnych współpracowników, swym dotychczasowym dorobkiem słusznie się dziś szczycić może zarówno wobec całego cywilizowanego świata, jak i przede wszystkim wobec własnej przyszłości, dla której od lat kilkunastu cały naród turecki w zgodnym wysiłku, ramię przy ramieniu, kładzie granitowe i mocarne podwaliny.

W związku z drugą podróżą naukową do Turcji, winien jestem wdzięczność następującym instytucjom oraz osobom:

Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie w osobach Prezesa Prof. Dra Stanisława Wróblewskiego, Wiceprezesa Prof. Dra Henryka Hoyera, Sekretarza Generalnego Prof. Dr. Stanisława Kutrzeby, oraz Dyrektora Muzeum Fizjograficznego Prof. Jana Stacha, Radzie Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego U. S. B. w Wilnie; Wydziałowi Wschodniemu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w osobach: Pana Ministra Tadeusza Schätzla, jego byłego zastępcy, a obecnego Posła w Wiedniu, Pana Ministra Jana Gawrońskiego, oraz p. Radcy A. Zawiszy; Dyrektorowi Funduszu Kultury Narodowej p. Dr Stanisławowi Michalskiemu; Ambasadzie Polskiej w Turcji w osobach: Pana Ambasadora Jerzego hr. Potockiego, Konsula Generalnego p. R. Wegnerowicza, byłego Sekretarza Ambasady p. Dr J. Kruszyńskiego i p. Radcy K. Dubicza-Penthera; nadto urzędnikom Ambasady w Ankarze p. Jadwidze Dobrowolskiej i p. K. Słowikowskiemu; Radcy Handlowemu i Kierownikowi Konsulatu Generalnego

w Bukareszcie memu bratu Zygmunutowi Vetulaniemu, oraz Polskiemu Agentowi Konsularnemu w Konstancy p. Mieczysławowi Kliszczyńskiemu.

W Turcji wdzięczność moja należy się nadto następującym tureckim instytucjom, oraz członkom tureckiego społeczeństwa:

Ministerstwu Rolnictwa w Ankarze w osobach: Pana Ministra Prof. Muhlisa-Erkmena, Dyrektora Departamentu Wet.-Hod. Prof. H. Sabri Okutmana, Naczelnika Wydziału Hodowlanego Mehmeta Nurettina Arala, i in.; Ministerstwu Wojny; byłemu Ministrowi Rolnictwa, obecnemu Dyrektorowi Banku Rolnego w Ankarze Prof. Ihsan Abidinowi; w Wyższej Akademii Rolniczej w Ankarze, kolegom: Prof. Abravanelowi Samuelowi Aysoy, Dr. Latifowi, Inż. Kerim Ömer-Czağlar; w Szova: Kierownikowi Stacji Hodowli Roślin inż. Emcet Jektay; w Czifteler: Dyrektorowi Stadniny Tevfikowi Bulak; w poszczególnych wilajetach Panom Valim i im podwładnym urzędom, a nadto w szczególności: w Samsunie Dyr. Abdülkadirowi i Dr. Rafet Ahmetowi, w Trabzonie Dyr. Hassanowi, Lek. wet. Sabri i tłumaczowi Osmanowi Oğuzlu zade; w Erzurumie p. Generałowi Abdurahman Nafiz, Dyr. Mümtazowi, i Majorowi Dr. Hadi; w Itydża Dyrektorowi Stada ogierów Mustafie Nuri, w Karsie Posłowi Ömerowi, Dyr. Kemalowi Güney, oraz Lek. wet. p. Stefanowi Czibasowi i Jego Rodzinie.

Wszystkim wymienionym instytucjom i osobom, jak również tym wszystkim osobom w Rumunii i w Turcji, którym zawdzięczam okazaną mi w czasie mej podróży życzliwość i pomoc, a których jedynie z powodu braku miejsca nie jestem w możności już tutaj wymienić, składam najszczerze podziękowania.

Dziękuję nadto najserdeczniej Pani Walerii Szalay-Groele, oraz Panu Feliksowi Marii Nowowiejskiemu, za łaskawe i cenne wskazówki dotyczące technicznego układu tej książki, a Instytutowi Wschodniemu w Warszawie, w szczególności zaś Prof. Dr. Olgierdowi Górcze, za łaskawe zajęcie się jej wydaniem.

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr.



Mapa Turcji z oznaczonymi miejscami pobytu i badań, oraz przejazdów autora. (Kółka i podkreślenia oznaczają miejsca pobytu i badań; krzyżyki oznaczają miejscowości, przez które autor jedynie przejeżdżał)

SPIS RZECZY

CZĘŚĆ PIERWSZA

| | Str. |
|----------------------------|------|
| 1. Wstęp | 7 |
| 2. Krajobrazy | 11 |
| 3. Społeczeństwo | 17 |

CZĘŚĆ DRUGA

| | |
|---|-----|
| 1. Nad Bosforem | 35 |
| 2. Eskiszehir | 37 |
| 3. Ankara | 39 |
| 4. Stepy i osiedla środkowej Anatolii | 54 |
| 5. Samsun | 62 |
| 6. Północne brzegi Anatolii | 64 |
| 7. Trabzon | 68 |
| 8. Góry Pontu | 71 |
| 9. Erzurum | 78 |
| 10. Droga do Karsu | 93 |
| 11. Tureckie Zakaukazie | 98 |
| 12. Powrót | 113 |



50

8900